

ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER



SPRAWA LEWORĘCZNEJ LADY

„Ciekawa fabuła detektywistyczno-emancypacyjna”

- JOANNA OLECH - „KSIĄŻKI. MAGAZYN DO CZYTANIA”

TOM - 2 -



 Poradnia K

NANCY SPRINGER

ENOLA
HOLMES

SPRAWA
LEWORĘCZNEJ
LADY

PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁAZKA-SALAMON



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Zrozumiałam, że przyszła śmierć...

Londyn, styczeń 1889 roku

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Nadal w objęciach zimy, luty 1889

Przypisy

An Enola Holmes Mystery. The case of the left-handed lady

Copyright © Nancy Springer, 2007

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Gałązka-Salamon

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2019

Wydanie I

Projekt graficzny serii: Poradnia K

Projekt okładki: ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Projekt typograficzny i łamanie: Monika Świtalska – Good Mood Studio

Redakcja: MAGDALENA GERAGA

Korekta: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK

ISBN 978-83-66005-46-4

Poradnia K Sp. z o.o.

ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa

e-mail: poradniak@poradniak.pl

www: www.poradniak.pl

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla mojej matki
N.S.

ZROZUMIAŁAM, ŻE PRZYSZŁA ŚMIERĆ...

Idąc dalej, sama zaczęłam dygotać. I z zimna, i ze strachu. Nasłuchiwałam.

Zbyt późno się zorientowałam, że ktoś za mną idzie.

Zdradził go jakiś cichy odgłos, może skrzypnięcie skórzanej podeszwy na zamarzniętym błocie i kruszącym się bruku, może złowieszczy świst oddechu – ale mimo że otworzyłam usta, żeby zaczerpnąć powietrza, i uskokczyłam w bok, żeby się odwrócić, coś zacisnęło się na mojej szyi.

Niewidzialne, czające się za mną.

Przerażająco silne.

Dławiące coraz mocniej.

To nie była ludzka ręka. Coś złowieszczo cienkiego, węzowatego, duszącego wżynało mi się w krtań. Nie byłam w stanie myśleć, nie sięgnęłam nawet po sztylet; odruchowo upuściłam na ziemię latarnię, a moje dłonie poszybowały w górę, by uwolnić szyję z zabójczego uścisku – czułam jednak, że nie zdołam już zaczerpnąć powietrza; moim ciałem wstrząsały paroksyzmy bólu, usta rozwarły się w niemym krzyku, przed oczyma narastała ciemność i zrozumiałam, że przyszła śmierć.

LONDYN, STYCZEŃ 1889 ROKU

Nie znaleźlibyśmy się w tej opłakanej sytuacji – stwierdza młodszy i szczuplejszy z dwóch mężczyzn siedzących w małym klubowym saloniku – gdybyś się nie uparł, by koniecznie wysłać ją do szkoły z internatem! – Chodzi nerwowo po pokoju, a jego ostre rysy i szczupłość granicząca z chudością, lśniące czarne buty, czarne spodnie i mocno wycięty czarny wieczorowy frak z długimi ogonami nasuwają skojarzenia z brodzącą czarną czapłą.

– Mój drogi braciszku. – Usadowiony wygodnie w głębokim marokinowym fotelu starszy i bardziej przysadzisty z dwóch panów unosi przypominające oszroniony żywopłot brwi. – Taka gderliwość nie leży w twoim charakterze. – Mówi to spokojnym, zrelaksowanym tonem. Jest przecież we własnym klubie, w swoim bezpiecznym, prywatnym pokoju do rozmów, a jego myśli krążą już wokół przepysznej kolacji z rostbefem, więc stara się ułagodzić młodszego brata. – Nie ulega wątpliwości, że nierozważna pannica przebywa całkiem sama w tyglu wielkiego miasta i być może została już okradziona i pozostawiona bez środków do życia, albo gorzej, odarta z dziewczęcej czci, jednak nie możesz podchodzić do tej całej sprawy aż tak emocjonalnie.

– Jak to? – Maszerujący po saloniku mężczyzna obraca się na pięcie, by rzucić bratu mordercze spojrzenie. – Przecież to nasza siostra!

– A druga z zaginionych przedstawicielek płci żeńskiej jest naszą matką, no i co z tego? Czy zachowując się jak lis w psiarni, ułatwisz sobie jej odszukanie? Jeśli masz już kogo winić – dodaje rozparty w fotelu jegomość, krzyżując ręce na niezmiernych połaciach swej jedwabnej kamizelki – to właśnie nasza matka powinna być obiektem twojej złości. – I, będąc

entuzjastą logiki, wymienia powody: – To nasza matka, zamiast wyrabiać w niej salonowe umiejętności, pozwalała dziewczysku rozbijać się w męskich pumpach na rowerze. To nasza matka całymi dniami malowała bukietki kwiatów, podczas gdy jej latorośl łąziła po drzewach. I to nasza matka sprzeniewierzyła fundusze, za które miała zapewnić swej nieletniej córce guwernantkę, nauczyciela tańca, strojne kobiece szmatki i tym podobne. I to wreszcie nasza matka porzuciła w końcu własne dziecko.

– I to w dniu jego czternastych urodzin – mruczy przechadzający się mężczyzna.

– W dniu urodzin czy w jakimkolwiek innym dniu, co to za różnica? – obrusza się starszy z braci, zdradzający już oznaki znużenia tematem. – To właśnie matka wykazała się tak wielkim brakiem odpowiedzialności, by opuścić córkę i...

– Ale wówczas ty narzuciłeś swoją wolę biednej, skrzywdzonej dziewczynie, każąc jej porzucić jedyny znany jej dotychczas świat, który zatrzęsł się nagle w posadach...

– Bo nie było innego rozsądnego sposobu na to, by zrobić z niej coś choćby pozornie przypominającego pannę z porządnego domu! – przerywa mu szorstko starszy z panów. – Przecież sam, bardziej niż ktokolwiek inny, powinienes dostrzegać logikę...

– Logika to nie wszystko.

– Doprawdy, po raz pierwszy słyszę taką herezję z twoich ust! – Nastrój spokoju i błogiej wygody prysnął. Zażywny jegomość prostuje się w fotelu, wbijając w drewnianą posadzkę obcasy okrytych nieskazitelnie czystymi getrami trzewików. Domaga się wyjaśnień: – Dlaczego traktujesz sprawę aż tak emocjonalnie i z taką afektacją? Czym się różni ustalenie miejsca pobytu naszej zbuntowanej uciekinierki od rozwiązywania innych drobnych zagadek...

– Ponieważ chodzi o naszą siostrę!

– Młodszą o kilkadziesiąt lat, z którą miałeś kontakt raptem dwa razy w życiu.

Wysoki i podenerwowany mężczyzna o jastrzębim profilu zamiera w bezruchu.

– Wystarczyłby mi i jeden raz. – Mówi teraz wolniej, a ton jego głosu nagle łagodnieje, jednak zamiast patrzeć na rozmówcę, wbija wzrok w dębową boazerię klubowego saloniku, jakby chciał przez nią wypatrzyć jakieś odległe miejsce czy wspomnienie. I ciągnie dalej: – Przypomina mi mnie w jej wieku, skóra i kości, niezdarnego, niezgrabnego, nieumiejącego znaleźć sobie miejsca w żadnym...

– Nonsens! – Starszy brat nie może dłużej słuchać podobnych bzdur. – Niedorzeczność! Rozmawiamy o *kobiecie*! O istocie z ograniczonymi możliwościami intelektualnymi, wymagającej opieki... Tu nie ma porównania! – Ściągnąwszy brwi, niczym mąż stanu opanowuje jednak gniewny ton, by zyskać przewagę. – Tego rodzaju kwestionowanie przeszłych zdarzeń niczemu nie służy; jedynym racjonalnym pytaniem jest teraz to, w jaki sposób planujesz ją odnaleźć.

Wysoki mężczyzna z widocznym trudem odrywa wzrok od dalekich przestrzeni i wbija spojrzenie swoich szarych, świdrujących oczu w brata. Po krótkiej chwili oznajmia:

– Mam plan.

– Spodziewam się. Mógłbyś mi go łaskawie zdradzić?

Milczenie.

Sadowiąc się głębiej w fotelu, starszy brat uśmiecha się kwaśno.

– Musisz koniecznie działać za zasłoną tajemniczości, co, Sherlocku?

Młodszy z braci, cieszący się sławą wielkiego detektywa, wzrusza ramionami, i odpowiada z chłodną powściągliwością, równą powściągliwości starszego:

– Nie istnieje żaden praktyczny powód, dla którego miałbym cię o czymkolwiek informować, mój drogi Mycroftie. Jeśli będzie mi potrzebna twoja pomoc, to zapewniam cię, że nie omieszkać się do ciebie zwrócić.

– Więc w jakim celu tu dziś przyszedłeś?

– Choćby po to, żeby przedstawić ci stan mego umysłu.

– Czy rzeczywiście kierujesz się umysłem, mój drogi Sherlocku? Zdaje mi się, że twoim procesom myślowym zabrakło dyscypliny. Chyba za bardzo wzięłeś sobie to do serca. Nerwy odmawiają ci posłuszeństwa.

– Lepsze nieposłuszne nerwy niż całkowity ich brak. – Z widocznym zamiarem zakończenia spotkania, Sherlock Holmes sięga po kapelusz, rękawiczki i laskę, po czym kieruje swoje kroki w stronę drzwi. – Dobranoc, Mycroftcie.

– Życzę z całego serca, by twój plan się powiódł, mój drogi. Dobranoc.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z pełnym zaskoczenia niedowierzaniem przeczytałam tekst z leżącej na srebrnej tacce wizytówki przyniesionej mi przez młodocianego lokaja.

– „John Watson, doktor nauk medycznych” – wypowiedziałam słowa na głos, żeby się upewnić, czy wzrok nie spletał mi figła. Nie mogłam uwierzyć, że ze wszystkich możliwych osób pierwszym klientem, który zjawi się w nowo otwartym – w styczniu 1889 roku – biurze jedyne w Londynie, a nawet i na całym świecie – Naukowca Perdytorysty będzie...

Doktor John Watson? John to pospolite imię, ale Watson? I na dodatek lekarz? To musiał być on, mimo że wciąż wzdragałam się przed tym, by w to uwierzyć.

– Czy to jest osoba, o której myślę, Joddy?

– A skąd mogę to wiedzieć, jaśnie pani?

– Joddy, prosiłam cię już, żebyś tytułował mnie „panną Meshle”. *Panną Meshle*. – Przewróciłam oczyma, ale czego można się spodziewać po chłopaku, któremu matka dała na chrzcie imię Jodhpur (przekręcone na „Jodper” przez dokonującą wpisu w księdze parafialnej), tylko dlatego, że inna nazwa bryczesów do konnej jazdy kojarzyła jej się z czymś wyjątkowo dystygowanym^[1]. Wiem, że podziw, jaki budziły w nim moje żaboty i bufiaste rękawy, nakazywał mu tytułować mnie „jaśnie panią”, jednak musiałam go od tego odwodzić, w obawie, że osoby postronne mogłyby nabrać podejrzeń. Chciałam wprawdzie podtrzymać w nieletnim lokaju podziw, który czynił go ślepym na to, że jestem zwyczajną, niewiele starszą od niego dziewczyną, jednak musiałam mu wybić z głowy „jaśnie panią”.

Opanowawszy się nieco i pilnując akcentu, mogącego nasunąć jakieś skojarzenia z przynależnością do wyższych sfer, spytałam:

– Ale powiadomiłeś tego dżentelmena, że nie zastał doktora Ragostina?

– Tak, jaśnie pani. To znaczy... tak, panno Meshle.

Na szyldzie biura Naukowca Perdytorysty widniało nazwisko niejakiego doktora Lesliego T. Ragostina. Uczony musi być wszak mężczyzną. W dodatku wiecznie nieobecny, ponieważ pan doktor – w tym przypadku doktor nauk przyrodniczych – istniał wyłącznie w mojej wyobraźni oraz na ulotkach i wizytówkach, które zostawiałam we wszystkich kioskach, straganach z warzywami, salach wykładowych i gdzie się tylko dało.

– Bądź tak miły i poproś doktora Watsona do mojego gabinetu, być może będę mogła służyć mu pomocą.

Joddy wybiegł z pokoju. Miał bardzo zmyślny strój – kontrastujący z jego bezmyślnością; składały się na niego lokajska kurtka z szamerunkiem, spodnie z lampasami, białe rękawiczki i pasiasty kapelusik nasuwający skojarzenia z wielowarstwowym tortem – ale czemu nie? Większość uniformów wygląda absurdalnie.

Z chwilą gdy znikły mi z oczu jego plecy, osunęłam się rozpaczliwie w drewnianym fotelu, który zajmowałam, siedząc za biurkiem. Kolana dygotały mi tak, że słychać było szeleszczące halki. Tak nie można. Nabrałam w płuca powietrza, zamknęłam oczy i przywołałam w myślach twarz mojej matki. Obraz ten nieodmiennie przywodził na myśl powtarzane przez nią słowa: „Doskonale sobie poradzisz sama, Enolu”.

Zaimprovizowane ćwiczenie umysłowe przyniosło spodziewany skutek. Uspokoiliłam się i otworzyłam oczy. Dokładnie w tym samym momencie Joddy wprowadził doktora Watsona z przerobionego na poczekalnię saloniku.

– Panie doktorze, jestem sekretarką doktora Ragostina. Ivy Meshle. – Podnosząc się i wyciągając w jego kierunku rękę, dostrzegłam cechy, których domyślałam się, czytając jego pisma: stał przede mną solidny brytyjski dżentelmen, może nieprzesadnie zamożny, ale z pewnością wykształcony, z czerstwą twarzą, łagodnym spojrzeniem i lekko już widoczną skłonnością do tycia.

Gorąco liczyłam na to, że on także dostrzegł we mnie osobę, którą udawałam: do bólu konwencjonalną młodą pannę urzędniczkę z pękata

broszką zdobiacą gors sukni i z równie niegustownymi kolczykami w uszach, przystrojona w uszyte z tanich materiałów fatałaszkę usiłując naśladować najnowsze tendencje w modzie, równie absurdalne jak w przypadku uniformów. Dziewczynę o bujnych lokach, z których nie wszystkie były darem natury; część zdobiła ongiś – z dużą dozą prawdopodobieństwa – głowę jakiejś bawarskiej chłopki. Ogólnie rzecz biorąc, miał przed sobą szacownie wyglądającą młodą kobietę niskiego pochodzenia. Jej ojcem mógł być siodlarz albo oberżysta. Dziewczynę, której głównym życiowym dążeniem było znalezienie męża. Jeśli wzmiankowane wyżej broszka, aksamitka na szyi, przesadna liczba falbanek i wstążek oraz widoczne na pierwszy rzut oka uzupełnienia we fryzurze wywoływały razem takie wrażenie, moje przebranie było trafione w dziesiątkę.

– Miło mi panią poznać, panno Meshle. – Doktor Watson zdążył już, rzecz jasna, zdjąć kapelusz, jednak zgodnie z zasadami dobrego tonu uściśnął mi dłoń, zanim zsunął z dłoni rękawiczki, by wręczyć je wraz z laską lokajowi.

– Będzie pan łaskaw spocząć. – Wskazałam mu fotel. – I proszę się przysunąć bliżej kominka. Okrutny dziś ziąb, nieprawdaż?

– Koszmarny. Jeszcze nigdy nie widziałem Tamizy skutej lodem do tego stopnia, by łyżwiarze mogli bez obaw przejechać na drugi brzeg. – Mówiąc to, rozcierał ręce, a po chwili wyciągnął je w stronę ognia. Mimo najlepszych starań służby pomieszczenie było wychłodzone, zazdrościłam więc trochę gościowi, że siedzi w głębokim tapicerowanym fotelu. Kiedyś nie przejmowałam się ani zimnem, ani wilgocią. Do czasu, kiedy po przybyciu do Londynu zobaczyłam żebraka – a raczej jego doczesne szczątki – przymarzniętego do chodnika.

Wyprostowawszy się w niewygodnym drewnianym krześle za biurkiem, otuliłam się mocniej szalem, również roztarłam ręce (zgrabiałe, mimo włóczkowych mitenek z których wystawały mi palce), po czym sięgnęłam po notes i ołówek.

– Niezmiernie mi przykro, panie Watson, ale doktor Ragostin musiał wyjść. Z pewnością byłby zachwycony, mogąc pana poznać. Pan jest zapewne *tym* doktorem Watsonem, współpracownikiem pana Sherlocka

Holmesa, czyż nie?

– W rzeczy samej. – Grzecznie, wręcz unżenie, odwrócił się w moją stronę. – I właśnie w jego imieniu tu przychodzę.

Serce zabiło mi tak głośno, że na chwilę zdjęła mnie obawa, iż mój gość je usłyszy. Już nie mogłam łudzić się nadzieją, że przywiódł go do mnie jakiś szczęśliwy czy nieszczęśliwy traf.

Przyszedł tu, żeby zasięgnąć opinii jedyne go na świecie zawodowego poszukiwacza rzeczy i osób zaginionych.

Próbowałam jednak zachować ugrzeczniiony ton i właściwy klasie średniej akcent, z domieszką odpowiedniej dawki urzędniczej operatywności i usłużności.

– Doprawdy? – Przybrawszy pozę osoby biorącej się do sporządzania notatek, spytałam: – Jakiej natury są kłopoty pana Holmesa?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, panno Meshle, jednak wolałbym osobiście wyluszczyć sprawę samemu doktorowi Ragostinowi.

Uśmiechnęłam się.

– A ja liczę na to, że rozumie pan, panie doktorze, iż chlebodawca upoważnił mnie do załatwiania wstępnych formalności, w celu oszczędzenia swego bezcennego czasu. Jestem oficjalną przedstawicielką doktora Lesliego Ragostina. Oczywiście nieupoważnioną do podejmowania żadnych działań – poprawiłam się szybko, znając jego wrodzony brak zaufania do płci żeńskiej – niemniej często służę mu za oczy i uszy. Tak jak pan we współpracy z panem Sherlockiem Holmesem – dodałam znacząco, starając się przy tym, by gość nie wyczuł w moim głosie tonu perswazji.

A raczej, starając się nie okazać, że w duszy zawodzę błagalnie. *Proszę, proszę. Muszę wiedzieć, czy dobrze się domyślam przyczyny, która tu pana przywiodła.*

– No tak – odrzekł doktor Watson z pewną dozą niepewności. – W istocie. – Im bardziej się denerwował, tym jego spojrzenie stawało się łagodniejsze. – Ale nie jestem pewien... Sprawa jest delikatna. Widzi pani, Holmes nie wie, że tu jestem.

Zaraz... mój brat go nie przysłał?

Moje serce uspokoiło się nieco, jednak poczułam w nim ukłucie.

Nadając głosowi możliwie bezbarwny ton, odpowiedziałam doktorowi Watsonowi:

– Może pan liczyć na całkowitą dyskrecję z mojej strony.

– W rzeczy samej. Oczywiście. – I zdaje się, że moja udawana obojętność ośmieliła w końcu zafrasowanego biedaka do zrzucenia ciężaru z serca. Zacisnąwszy dłonie na oparciach fotela, rozpoczął swoją opowieść: – Z pewnością wiadomo pani, że przez kilka lat, na samym początku niezwyklej kariery pana Sherlocka Holmesa, zajmowaliśmy wspólne lokum, teraz jednak, kiedy jestem już człowiekiem żonatym i prowadzę własną praktykę jako doktor nauk medycznych, widuję go znacznie rzadziej niż poprzednio. A jednak nie uszedł mojej uwadze fakt, że od minionego lata coś go najwyraźniej trapi. Stał się wyjątkowo rozkojarzony, nie odżywia się jak należy, nie wysypia się... co obudziło we mnie obawy i mówię to zarówno jako przyjaciel, jak i lekarz. Wychudł, ma niezdrową cerę, stał się melancholijny i drażliwy.

Notując to wszystko na potrzeby „doktora Ragostina”, pochylałam nad papierem głowę, więc doktor Watson nie mógł widzieć mojej twarzy. I cieszę się z tego bardzo, ponieważ z pewnością dostrzegłby zboląłą minę i błyszczące w oczach łzy. Mój brat, wzorzec chłodnego logicznego rozumowania, wpadł w przygnębienie? Zaniedbywał pory posiłków i snu? Nie podejrzewałam go o taką głębię uczuć. A już na pewno nie z mojego powodu.

Doktor Watson ciągnął dalej:

– Choć wielokrotnie usiłowałem dociec, co go gryzie, twierdził zawsze, że nie ma żadnych kłopotów. Jednak kiedy wczoraj ponownie go o to spytałem, wpadł w taką furię, w rozdrażnienie tak nielicujące z jego stalowymi nerwami, w stan tak daleki od wszelkiej racjonalności, że poczułem się zobowiązany do podjęcia jakichś kroków, chociażby wbrew jego woli. W związku z czym wybrałem się do jego brata, pana Mycrofta Holmesa...

Uświadomiłam sobie nagle, że panna Ivy Meshle nie powinna mieć pojęcia o istnieniu brata Sherlocka Holmesa. Wpadłam zatem doktorowi w słowo:

– Podpowie mi pan, jak zapisać jego imię?

– Niespotykane, prawda? – Watson przeliterował imię i podał mi londyński adres Mycrofta, po czym podjął przerwany wątek. – Nie bez oporów Mycroft Holmes wyjawiał mi, że jego i Sherlocka dotknęło nieszczęście związane z niemożnością ustalenia miejsca pobytu ich matki. Gorzej, bez śladu zaginęła nie tylko matka, ale także ich młodsza siostra. Dwie najbliższe krewne – a raczej jedyne żyjące przedstawicielki rodu – zniknęły.

– Okropność – mruknęłam, nie podnosząc wzroku. Już nie zbierało mi się na płacz, przeciwnie, miałam ochotę szeroko się uśmiechnąć i zagrać na nosie przejętemu rolę starszego brata Mycroftowi, który chciał ze mnie zrobić afektowaną młodą damulkę – i z trudem przyszło mi zachowanie miny osoby słuchającej z rosnącym zainteresowaniem relacji z wydarzeń, o których teoretycznie nie miała zielonego pojęcia. – Czyżby porywacze?

Doktor Watson potrząsnął głową.

– Nie przysłano im żądania okupu. Nie, obie kobiety są uciekinierkami.

– Szokujące. – Udawałam, że nic na ten temat nie wiem. – Czy zbiegły razem?

– Nie! Osobno. Matka zaginęła w porze letniej, młodsza z pań zniknęła półtora miesiąca później, tuż przed zaplanowanym wyjazdem do żeńskiej szkoły z internatem. Uciekła w pojedynkę. I sędzę, że właśnie dlatego Holmes tak bardzo się tym przejął. Gdyby dziewczyna zbiegła w towarzystwie matki, mógłby się na to zżymać, jednak wiedziałby, że siostra jest bezpieczna. Natomiast wszystko wskazuje na to, iż dziewczę – a w istocie rzeczy jeszcze dziecko – udało się samotnie w podróż do Londynu.

– Dziecko, powiada pan?

– Czternastoletnia dziewczynka. Mycroft Holmes wyjawiał mi, że obaj

z bratem mają powody podejrzewać, iż uzyskała dostęp do sporych zasobów finansowych...

Zesztywniałam, zdjęta nagłym niepokojem. Jakim cudem mogli się o tym dowiedzieć?

– ...co pozwoliłoby jej udawać młodego dżentelmena prowadzącego próżniaczy tryb życia...

Odetchnęłam z ulgą, że ich domysły aż tak bardzo mijają się z prawdą. Sama żywiłam nadzieję, że los nigdy nie zmusi mnie do tego, bym uciekła się do ogranego w przedstawieniach teatralnych taniego chwytu podawania się za mężczyznę. Chociaż, rzecz jasna, nie ograniczę się do bycia panną Ivy Meshle.

– ...naraziłoby na kontakt z dekadencją światem – ciągnął doktor Watson – a co za tym idzie, groziłoby wciągnięciem w wir nieobyczajności.

Nieobyczajności? Nie miałam pojęcia, o co może mu chodzić, jednak skrętnie to zanotowałam.

– Czy panowie Mycroft i Sherlock Holmes mają podstawy, by się obawiać takiego rozwoju spraw? – spytałam.

– Tak. Ich matka była... a raczej jest... wojującą sufrażystką, a siostra również nie przejawia, niestety, powołania do roli kobiety, jak miemam.

– Doprawdy. Jakie to smutne. – Zerknęłam na niego spod napuszonej sztucznej grzywki, zatrzepotałam doklejonymi rzęsami i wykrzywiłam subtelnie podmalowane usta w uśmiechu. Przyznam się też od razu, że rozproszłam po policzkach odrobinę zdrożnej substancji, zwanej „różem”, by ożywić ziemistą, arystokratycznie bladą cerę i przydać jej plebejskiej rumianości. – Czy mógłby pan dostarczyć doktorowi Ragostinowi fotografię tej dziewczyny?

– Nie. Nie dysponuję także zdjęciem starszej z pań. Obie konsekwentnie unikały fotografów.

– Z jakiego powodu?

Westchnął, a wyraz jego twarzy po raz pierwszy stał się antypatyczny.

– Widać było to wpisane w ich plan buntu przeciw kobiecej naturze.

– Czy mogę prosić o ich imiona i rysopisy?

Podał mi imiona i nazwiska: Lady Eudoria Vernet Holmes, panna Enola Holmes (mama okazała się przewidująca, bowiem Enola czytana wstak to *alone*, samotna).

Doktor Watson powiedział:

– Z tego, co mi mówiono, córka ma bardziej charakterystyczny wygląd. Wysoka, chuda...

Próbowałam przytyć, ale jak dotąd bez skutku, żywiona przez skąpą gospodynię zupami na wywarze z rybich głów i potrawkami z owczej główizny.

– ...o pociągłej twarzy z wydatnym, żeby nie powiedzieć cycerońskim nosem i podbródkiem...

Jakże taktownie opisał fakt, że jestem niemal wierną kopią mojego brata Sherlocka. Na szczęście, w związku z niemożnością przybrania na wadze, umieściłam pod każdym z policzków gumowy wypełniacz, stworzony z myślą o przydawaniu krągłości nieco innym, wstydlivszym partiom ciała. Dzięki nim i wkładkom do nosa udało mi się zmodyfikować w znacznym stopniu kształt mojej twarzy.

– ...raczej kanciasta z figury, pozbawiona kobiecych powabów – mówił dalej doktor Watson. – Cechuje ją zamiłowanie do męskich strojów i skłonność do chłopięcego zachowania, ruchy ma zamaszyste, krok typowo męski... Istnieje obawa, że będzie stracona dla przyzwoitego świata, jeśli jej się szybko nie odnajdzie.

– A matka? – spytałam, chcąc zmienić temat, zanim parsknę śmiechem.

– Skończyła sześćdziesiąt cztery lata, choć wygląda na znacznie młodszą. Fizycznie nie wyróżnia się niczym szczególnym, cechuje ją jednak wielka nieugiętość i upór. Ma wybitne uzdolnienia plastyczne, jednak w pożałowania godny sposób całą swoją energię poświęciła walce o tak zwane prawa kobiet.

– O? Pragnie nosić spodnie?

Uśmiechnął się na myśl, że sama równie kpiąco odnoszę się do kwestii

emancypacji pań.

– Prawdopodobnie. Jest zwolenniczką racjonalizmu w modzie.

– Czy istnieją jakieś przesłanki wskazujące na to, gdzie mogłaby teraz przebywać?

– Nie. Ale, jak już wspomniałem, jej córka prawdopodobnie jest w Londynie.

Odłożyłam ołówek, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Doskonale, panie Watson. Przekażę doktorowi Ragostinowi szczegóły. Ostrzegam jednak, że prawdopodobnie nie zechce się zająć tą sprawą. – Pech chciał, że moim pierwszym zleceniem byłoby odszukanie samej siebie. Nie mogłam się w to plątać.

– Ale dlaczego?

Miałam na to przygotowaną odpowiedź.

– Ponieważ pan doktor nie przyjmuje zleceń od pośredników. Będzie dociekał, dlaczego pan Holmes nie przyszedł tu osobiście...

Doktor Watson obruszył się, choć jego gniew nie był skierowany na mnie.

– Ależ Holmes jest zbyt powściągliwy, zbyt dumny. Skoro nawet *mnie* nie chciał wyjawić powodu swojego zmartwienia, to wyobraża pani sobie, że zwierza się zupełnie obcej osobie?

– Ale też koledze po fachu – zauważyłam łagodnym tonem.

– To jeszcze gorzej. Poczulby się poniżony w obecności... – Raptownie urwał, a potem spytał: – No właśnie, można by zadać sobie pytanie, któż to taki, ten doktor Ragostin? Pani wybaczy, panno... em...

– Meshle. – Bierzemy nazwisko „Holmes”, przestawiamy sylaby: „Mes hol”, zapisujemy w sposób zgodny z wymową: „Meshle” – proste jak drut. A jednak nigdy by na to nie wpadł. Nikt by na to nie wpadł.

– Panno Meshle. Proszę się nie obrazić, ale zasięgnąłem języka i nikt nie słyszał o doktorze Ragostinie. Przyszedłem tu tylko dlatego, że mieni się specjalistą od wyszukiwania osób zaginionych...

– Wszelkich rzeczy zaginionych – wtrąciłam.

– Ale nie znalazłem nikogo, kto mógłby za niego poręczyć.

– Ponieważ dopiero rozpoczyna karierę, podobnie jak ongiś pański przyjaciel. Doktor Ragostin nie wyrobił sobie jeszcze renomy. Ale może zainteresuje pana fakt, że pilnie studiował metody pana Sherlocka Holmesa.

– Doprawdy? – Doktor Watson nagle poczuł się udobruchany.

– Tak. Darzy go wręcz bałwochwalczą czcią. I zapewne zdziwi go niepomiarne fakt, że jego idol nie jest w stanie samodzielnie ustalić miejsca pobytu matki i siostry.

Wyprostowawszy się gwałtownie, jakby zajmowany przez ten fotel okazał się niewygodny, doktor Watson odchrząknął głośno.

– Domyślam się – powiedział, cedząc słowa – przyczyny: Holmes nie interesuje się zazwyczaj tego rodzaju przypadkami. Uważa je za pospolite i nieciekawe, odmawia zatem prowadzenia w takich sprawach śledztwa. Nawet nie dawniej jak wczoraj – dodał Watson – kiedy przyszedłem do niego z wizytą, minąłem się w drzwiach z sir Eustace'em Alistairem i jego małżonką. Przyszli go błagać o odszukanie ich zaginionej córki i zostali odesłani z kwitkiem.

Zbyłam milczeniem bezsens wystawiania kwitków za niewykonaną pracę, ponieważ całą moją uwagę pochłonęła treść wypowiedzi.

– Sir Eustace Alistair? Zaginęła jego córka? W gazetach nic o tym nie pisano...

Watson uniósł dłoń do ust i zakaszłał.

– Rodzina wyciszyła sprawę, żeby uniknąć skandalu.

Obawiali się zatem, że dziewczynę omotał jakiś uwodziciel.

Muszę się tym zająć. Wiedziałam, że doktor Watson nie zdradzi mi szczegółów sprawy, ponieważ zamilkł, jakby czuł, że i tak ujawnił zbyt wiele. To nic, dzięki niemu zdobędę swoje pierwsze zlecenie. Odszukam zaginioną córkę baroneta.

Watson podniósł się z miejsca z niezbyt zadowoloną miną. Rozmowa dobiegła końca. Sięgnęłam po sznur dzwonka i przywołałam Joddy'ego, by odprowadził gościa do wyjścia.

– Pragnąłbym poznać doktora Ragostina osobiście – oświadczył mi Watson – zanim podejmie w tej sprawie jakieś kroki.

– Oczywiście. Poda mi pan swój adres? Doktor Ragostin zgłosi się do pana, kiedy tylko przejrzy moje notatki – skłamałam.

Zapisawszy jego adres, wstałam, by odprowadzić go do drzwi.

Po jego wyjściu usiadłam w zwolnionym przez niego fotelu, ale mimo bliskości ognia zaczęłam drzeć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drżałam ze strachu.

Ze strachu przed uwielbianym bratem Sherlockiem.

Był moim bohaterem. Moją nemezis. Darzyłam go niemal bałwochwalczą czcią. Ale gdyby mnie odszukał, utraciłabym na zawsze wolność.

A jednak... czy naprawdę aż tak się przejął moim losem?

Nie mogłam już sobie wmawiać, że moje zniknięcie zadało cios jedynie jego dumie.

Tylko co teraz robić? Gdybym dała Sherlockowi najmniejszą wskazówkę, że mimo wszystko dobrze sobie radzę, wykorzystałby to, aby mnie zwabić w pułapkę.

Musiałam też pamiętać o mamie. Ile zostało jej przed śmiercią czasu, by mogła nacieszyć się wolnością i szczęściem po ucieczce od wymogów przyzwoitości i przekonania, że „kobieta powinna znać swoje miejsce”? Miejsce, które wykluczało poczucie własnej godności, zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

Starszym z braci, czyli Mycroftem, nie zaprzętałam sobie zbytnio głowy; nie przejmowałam się dociekaniem, czy jego duma ucierpi czy nie. Choć dorównywał Sherlockowi inteligencją, pod każdym innym względem przypominał kartofel z wczorajszej kolacji: zimny i bez życia. Nie zależało mu na siostrze, nie do tego stopnia, by podjąć wysiłek poszukiwań.

Pozostawała do rozwikłania jeszcze jedna kwestia: dlaczego Mycroft zadał sobie trud, by opowiedzieć o mnie Watsonowi?

A jeśli to wszystko kłamstwo? Jeśli odwiedziny doktora Watsona to podstęp? Może Sherlock wysłał przyjaciela na przeszeptanie?

Nonsens. Mój brat nie mógł wiedzieć...

A jednak *skądś* wiedział o czymś, o czym nie powinien mieć pojęcia: o tym, że dysponuję gotówką. Mógł też skojarzyć fakt, że doktor Ragostin przejął biuro po tak zwanej „astralnej perdytorystce”, do aresztowania której przyczyniłam się ja, Enola. A jeśli Sherlock dostrzegł związek między jednym a drugim?

Mało prawdopodobne – zdecydowałam po głębszej analizie. Bardziej realne było to, że jeśli Sherlock Holmes wysłał Watsona na przeszpiegi, to z czystej ciekawości, chcąc ustalić, czy „naukowiec perdytorysta” mógłby stanowić konkurencję dla jego detektywistycznej działalności.

Czy w takim razie istniała możliwość, że mój brat nie popadł w przygnębienie?

A jednak byłabym gotowa przysiąc, że w oczach Watsona malowała się autentyczna troska.

Do diaska, skąd mam wiedzieć, co myśleć o własnej rodzinie? Już chyba zdolność spirytystów do lewitacji kryła w sobie mniej tajemnic.

Tak bardzo chciałam obgadać to wszystko z mamą. Nie widziałam się z nią od tamtego pamiętnego lipcowego dnia, w którym postanowiła niespodziewanie zniknąć. Nie miałam pojęcia, gdzie przebywa. Utrzymywałam z nią kontakt jedynie za pośrednictwem działu ogłoszeń drobnych „Pall Mall Gazette” (jej ukochanego dziennika, który ceniła za wysoki poziom i większą postępowość niż „Times”), „Modern Womanhood”, „Journal of Personal Rights” oraz kilku innych periodyków, w których zamieszczałyśmy szyfrowane anonse. Na przykład, kiedy wysnułam hipotezę, że mama przystała do cygańskiego taboru, wykupiłam następujący tekst:

Moja Chryzantemo: czwarta litera przykrości, piąta litera tego samego, pierwsza litera wdzięczności, trzecia litera myśli, pierwsze trzy litery prawdziwej miłości.
Czy dobrze zgaduję? Bluszcz.

„Chryzantema” była kryptonimem oznaczającym „matkę”, a cała reszta nawiązywała do haseł z *Mowy kwiatów*, podręcznika ofiarowanego mi przez

mamę, tłumaczącego osobom obdarowanym i obdarowującym utajoną symbolikę roślin. W moim ogłoszeniu – będącym czymś w rodzaju bukietu na opak – „przykrość” była hiacyntem, „wdzięczność” goździkiem i tak dalej: goździk, bratek i trzy niezapominajki. Czwarta i piąta litera „hiacyntu” to CY, pierwsza litera „goździka” to G... a wszystko razem układało się w słowo CYGANIE.

Po tygodniu mama odpowiedziała mi, stosując ten sam system kodowania: „Tak. A gdzie ty jesteś?”.

Zamieściłam zaszyfrowaną wiadomość: „Londyn”.

I to był cały nasz kontakt. Chciałam się spotkać z mamą, jednak powstrzymywały mnie niejednoznaczne uczucia, które wobec niej żywiłam.

Nie wszystkich też byłam do końca pewna. Dlatego uznałam, że lepiej będzie, jeśli odszukam ją w odpowiednim dla siebie czasie i na własnych warunkach.

Ale teraz... po tak niepokojących informacjach na temat Sherlocka... uznałam, że trzeba będzie odłożyć na bok swoje wątpliwości.

Chciałam omówić całą sprawę z mamą. *Musiałam* to zrobić.

Ale przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności.

Musiałam z tym poczekać, aż znajdę się w domu, z dala od Joddy’ego i reszty służby.

Chociaż mogłam się urządzić w którymś z przestronnych mieszkań znajdujących się na górnych piętrach neogotyckiej kamienicy, której parter zajmowało biuro doktora Ragostina, ze względów bezpieczeństwa wybrałam inne rozwiązanie. „Doktor Ragostin” odnajmował wspomniane lokale rozlicznym osobnikom wiodącym raczej koczowniczy tryb życia (dzięki czemu miałam stały dochód), a ja zamieszkałam w skromnym pokoiku na East Endzie, gdzie z całą pewnością nie zajrzałyby mój brat, ponieważ nigdy nie wpadłby na pomysł, że mogłabym osiąść w tak nędznej dzielnicy. Byłam jedyną lokatorką wynajmującą cokolwiek w sypiącym się budyńeczku, wciśniętym pomiędzy szarobure czynszówki. Jego właścicielką była

przeziła, starsza wdowa, pani Tupper, szczęśliwym dla mnie trafem przygłucha. Wszelki kontakt z mojej strony wymagał krzyczenia w wylot trąbki, którą przytykała sobie do ucha. Nie musiałam się zatem martwić, że zasypie mnie gradem pytań. Przychodziła tam także – co istotne, w godzinach mojej pracy w biurze – tak zwana dziewczyna do wszystkiego. Jednym słowem idealne miejsce dla kogoś, kto pragnie pozostać niezauważony.

Zaczekałam do wieczora. Wówczas to, w bezpiecznym zaciszu mojej skromnej sypialni, pozbywszy się balastu gorsetu, uzdatniacza biustu, falbanek, sztucznych loczków i gumowych wypełniaczy składających się na pannę Meshle, mogłam się wreszcie odprężyć przy kominku, otulona w szlafrok, z nogami na podnóżku – co chroniło je przed hulającym przy podłodze zimnym przeciągiem.

Przysunęłam bliżej świecę i zaczęłam szyfrować kolejną wiadomość dla mamy.

DEREŃ CZTERY IRYS DWA PO TRZY FIOŁKI I KWIATY JABŁONI ILE?

Tym razem musi być inaczej skonstruowana niż poprzednie i trudniejsza do rozgryzienia. Skąd mój brat Sherlock wiedział, że mam pieniądze? Nie dawało mi to spokoju. Skoro wiedział o mnie aż tyle, to być może udało mu się odszyfrować i powiązać z mamą i mną wcześniejsze ogłoszenia, zamieszczone w dziale ogłoszeń drobnych „Pall Mall Gazette”?

Przepisałam utworzony tekst, grupując jego litery w trójki:

DER EŃC ZTE RYI RYS DWA POT RZY FIO ŁKI IKW IAT YJA BŁO NII LE?

Postanowiłam zrezygnować z „bluszczu” dla bezpieczeństwa, licząc jednak, że mama domyśli się, że to mój anons, ponieważ irys w mowie kwiatów oznacza „wiadomość”.

Jednocześnie żywiłam gorącą nadzieję, że mama zorientuje się w zmianie sposobu szyfrowania. Irys wyróżnia się tym, że ma trzy większe płatki na

górze i tyle samo mniejszych na dole, kwiat derenia jest nietypowy ze swoimi czterema płatkami, a kwitnący fiołek i kwiat jabłoni mają ich po pięć. Dodatkowo fiołek symbolizuje wierność. A kiedy byłam mała, mama przekrawała czasem jabłko w poprzek, żeby mi pokazać pięcioramienną gwiazdę gniazda nasiennego i wyjaśnić jej ścisły związek z liczbą płatków kwiatu.

Podzieliwszy tekst na trzyliterowe zbitki, zapisałam je w ten sposób:

LE? NII BŁO YJA IAT IKW ŁKI FIO RZY POT DWA RYS RYI ZTE EŃC DER

Przyjrzałam się, marszcząc brwi, znakowi zapytania. Niepotrzebnie chyba ułatwiał odczytanie wiadomości. Zastąpiłam go znakiem, który mama nazywała „krzyżykiem”.

LEX NII BŁO YJA IAT IKW ŁKI FIO RZY POT DWA RYS RYI ZTE EŃC DER

Gotowe. Mama nie powinna mieć kłopotów z rozwiązaniem tej łamigłówki, ponieważ przypominała nieco jej pierwszą kodowaną wiadomość, którą tak mnie zafrapowała. Ale był to tylko wstęp, żeby naprowadzić mamę na trop liczby pięć.

Miałam nadzieję, że zrozumie, iż można podzielić alfabet na pięć grup:

ABCDE
FGHIJ
KLMNO
PQRST
UVWXYZ

Każda z nich, z wyjątkiem ostatniej, składa się z pięciu liter. Ale iks występuje w piśmie tak rzadko, że można go połączyć z Y.

Przyszła kolej na zapisanie prawdziwej wiadomości do mamy: MOST LONDYŃSKI WALI SIĘ MUSIMY PILNIE POROZMAWIAĆ^[2].

Zaszyfrowałam ją następująco:

L jest w trzeciej grupie liter i zajmuje w niej drugą pozycję: 32, O jest piątą literą trzeciej grupy:35.

I tak dalej.

33354445 323534145534443124 53113224 442415 335144243355 412432342415
4135433556331153241113

Zastanawiałam się, czy nie zapisać wszystkich cyfr w jednym ciągu, który mama sama mogłaby rozbić na wyrazy, uznałam jednak, że lepiej tego nie robić. I tak będzie miała kłopot z rozgryzieniem szyfru (trzecia litera, druga linijka czy trzecia linijka, druga litera?) i zrozumieniem aluzji do londyńskiego mostu, który zdradzał miejsce kłopotów oraz konieczność rozmowy.

Ostatecznie tekst wyglądał tak:

LEX NII BŁO YJA IAT IKW ŁKI FIO RZY POT DWA RYS RYI ZTE EŃC DER
33354445 323534145534443124 53113224 442415 335144243355 412432342415
4135433556331153241113

Przepisałam go kilkakrotnie, ponieważ miał trafić do kilku pism. Każdą z kopii sprawdziłam po trzy razy, w celu wyłapania ewentualnej pomyłki, przed złożeniem kartki na troje i zapieczętowaniu brzegów woskiem. Musiałam się posłużyć roztopioną świecą, ponieważ nie dysponowałam w pokoiku lakiem. Wypisawszy po drugiej stronie adresy redakcji, odłożyłam listy na bok.

Jutro zaniosę je na Fleet Street.

A potem, aż do ukazania się odpowiedzi mamy, pozostanie mi tylko czekać.

Nie znoszę czekać.

Niestety, w kwestii zaginięcia córki sir Eustace'a Alistaira również musiałam uzbroić się w cierpliwość. Zabiorę się za to nazajutrz.

Ale musiałam zrobić *coś innego*, żeby w ogóle móc zasnąć.

Opuściłam swoje przytulne legowisko przy kominku i zaczęłam się ubierać. Ponownie. Ale tym razem zupełnie inaczej. Zamiast odziać się w bieliznę godną damy, wskoczyłam we flanelowe ineksprymable i koszulę, które ogrzewały mnie od kostek po przeguby rąk. Na to stary gorset, który kiedyś uratował mnie przed zadżganiem; zasnurowałam go na tyle mocno, żeby się ze mnie nie zsunął – nie miał bowiem podkreślać moich kształtów, tylko mnie chronić. I służyć za arsenał. W miejsce stalowej brykli, usztywniającej przedtem gors, wsunęłam sztylet o cienkim, długim na pięć cali ostrzu. Wpasował się idealnie w sztywno nakrochmalony materiał. Broń – naostrzona z obu stron jak brzytwa – po którą mogłam sięgnąć przez rozcięcie nałożonej na to wszystko kolejnej części garderoby: czarnej szaty o prostym kroju, uszytej własnoręcznie w nadziei, że większość osób weźmie ją za habit mniszki. Zapięłam aż pod brodę usztywniany fiszbinami kołnierz, zabezpieczający przed atakiem nożownika. Na grube pończochy wciągnęłam swoje stare, czarne buciory. W końcu upięłam czarny kaptur i welon, zasłaniając głowę i twarz.

Oto ubiór, w którym prowadziłam swoje nocne życie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bezszelestnie wymknęłam się z pokoju. Pani Tupper zgodnie z ustalonym zwyczajem udała się już wcześniej do swojej sypialni i nawet jeśli jeszcze nie spała, to i tak głuchota nie dałaby jej usłyszeć moich kroków. Habit przechowywałam w stelażu łóżka, więc wdowa nie domyślała się nawet, że udostępnia pokój nie tylko przemiłej sekretareczce, pannie Meshle, ale także drugiej osobie, chuderlawej Siostrze Miłosierdzia, prowadzącej nocny tryb życia.

Schody pokonałam po omacku, ponieważ, rzecz jasna, w tak nędznej kamieniczce, a raczej ruderze, nie było oświetlenia gazowego. Wymacałam w ciemności dziurkę od klucza i otworzyłam drzwi frontowe, wyszłam na zewnątrz, zamknęłam drzwi na zamek i oddaliłam się szybkim krokiem, by zmniejszyć ryzyko, że jakiś spóźniony przechodzień wypatrzy, gdzie mieszkam.

Szłam przed siebie, wybrawszy inną trasę niż dzień czy dwa przedtem. Przemykałam się cienistymi, wąskimi pasażami w mizernym świetle gazowych latarni. Na East Endzie nie uświadczysz oświetlonych latarniami pojazdów konnych, płonących pochodni przy domach zamożnych osób czy nowomodnego oświetlenia elektrycznego, na które stać jedynie bogaczy. Słabe i chybotliwe płomyki rozpływają się, a raczej toną w morzu szaroburej mgły; Londyn osacza tu przechodnia w szczególny, duszący sposób. O północy zapada chłód, na który składają się sadza, węglowy kopeć, dym palonego drewna i chorobliwe wyziewy przynieszone przez wiatr znad Tamizy. Wydaje ci się, że płyniesz przez mgłę zimniejszą niż lód, która nigdy nie zamarza, za to przenika cię na wskroś przez ubranie aż do szpiku kości. Wszechogarniający, wilgotny ziąb zagnał wszystkich, którzy mieli się gdzie schronić, pod dach. Nawet w sieniach domów widać było śpiących

włóczęgów. Nędzarzy, którym za cały opał musiała wystarczyć garstka końskiego nawozu przemieszanego ze słomą, wykradzionego ze stajni; nędzarzy, z których część nie dożyje świtu.

Kiedy uznałam, że oddaliłam się już wystarczająco daleko od swojego domostwa, skręciłam w wąski zaułek oddzielający dwa budynki, i zapaliłam zabraną w drogę latarnię olejową. Zgrabiałe na mrozie palce z trudem utrzymały zapalną.

Ktoś mógłby się zastanowić, co robi młoda dama z dobrego domu w tak odrażającym otoczeniu. Sama nie byłam w stanie zrozumieć przyczyn, które mnie pchały do tych nocnych eskapad. Może jestem dotknięta lekką monomanią, która każe mi nieustannie tropić, sondować, badać, poszukiwać, znajdować. Szukać odpowiedzi, lokalizować przedmioty, wypatrywać osób – tak jak tej nocy, kiedy rozglądałam się za kimś, komu mogłabym pomóc przetrwać.

Na habicie i zarzuconej na niego ciężkiej wełnianej pelerynie ponaszywałam całe mnóstwo głębokich kieszeni, które wypełniały teraz mogące się przydać przedmioty: ogarki świec i zapalniczki, szylingi i pensy, ciepłe skarpety i rękawiczki, jabłka, suchary, buteleczki napelnione brandy. Jedną ręką trzymałam przewieszony przez ramię uszyty własnoręcznie koc, w drugiej dzierżyłam latarnię.

Podszyte futerkiem rękawiczki chroniły dłonie przed mrozem, mogłam więc podnieść wysoko latarnię, by lustrować zaułki i zakamarki, wyteżając cały czas słuch, czy nie pojawią się zwiastuny zagrożenia: odgłosy kłótni, krzyki, stukot kroków za plecami.

Nasłuchiwałam też, czy ktoś nie płacze.

Nie czekałam długo.

Usłyszałam stłumiony, monotony szloch. Mimowolny, jakby płacząca osoba dała za wygraną i płakała tylko po to, by oddychać. Kierując się słuchem – bo latarnia rozświetlała jedynie kilka kroków bruku wyłaniającego się z czarnej mgły – trafiłam w końcu na staruszkę kulącą się na schodkach przed drzwiami, usiłującą otulić się przykrótkim szalem, którego starczało tylko na okrycie głowy i ramion.

Na dźwięk moich kroków zalękniona kobieta podniosła rękę ku ustom, próbując zdławić płacz, po czym rozszlochała się ze zdwojoną siłą – tym razem na znak ulgi. Rozpoznała mnie. Wiele jej podobnych istot wiedziało już, kim jestem.

– Siostrze – wyszeptała. – Siostrze Uliczna. – I wyciągnęła ku mnie drżącą, wychudłą rękę.

W milczeniu – ponieważ Siostra nigdy nie odzywała się słowem ani nie wydawała żadnych innych dźwięków – ruszyłam w jej kierunku jak wielka, koścista czarna kwoka spiesząca okryć przed chłodem kurczątko, po czym otuliłam ją w przyniesiony przez siebie pled. Był bardzo toporny, szylałam bowiem koce z kawałków starych łachów. Wszelkie lepsze okrycia padłyby od razu łupem złodziei.

Kobieta podniosła ku mnie twarz i zobaczyłam, że wcale nie jest tak wiekowa, jak sądziłam, jedynie wyniszczona trudami życia. Jej wymizerowane ciało było zniekształcone przez krzywicę i głód. Czy to wdowa albo stara panna oddalona z przytułku za brak ośmiopensówki? Czy wygnały ją na chłód i poniewierkę ciosy pijanego męża? Wiedząc, że nigdy nie poznam prawdy, wsunęłam jej na nagie stopy grube, wełniane pończochy, po czym wyciągnęłam z jednej z przepastnych kieszeni przedmiot, który był moim oryginalnym wynalazkiem: sporą puszkę wypchaną po brzegi zwitkami papieru zalanymi parafiną. Potarłam zapalką o draskę i nietypowe przenośne ognisko buchnęło jasnym płomieniem. Ustawiłam puszkę na progu, na którym przycupnęła nędzarka. Ogień płonął wysoko i jasno, wydzielając przy tym sporo ciepła. Wprawdzie po godzinie miał zgasnąć, jednak pozwalał się przez ten czas nieco rozgrzać.

Miałam też nadzieję, że jest na tyle ukryty, że nie ściągnie niepożądanych osobników.

Dałam kobiecie jabłko, kilka sucharów oraz pasztecik z mięsem. Pasztecików nie kupowałam od ulicznych sprzedawców, lecz u piekarza, dzięki czemu mogłam podejrzewać, że do farszu użyto pełnowartościowego mięsa, bez przymieszki psiny i kociny.

– Bardzo Siostrze dziękuję. – Wydawało się, że kobieta nigdy nie

przestanie płakać, wiedziałam jednak, że wkrótce po moim odejściu się uspokoi. Wsunęłam jej pospiesznie w dłoń kilka szylingów, sumę, która przez parę dni zapewni jej pożywienie i dach nad głową, jednak na tyle małą, by nikogo nie kusilo pozbawić dla niej życia. A potem wycofałam się, odwróciłam i odeszłam. Liczyłam, iż kobieta rozumie, że nic więcej nie mogę dla niej zrobić.

– Siostró Uliczna, niech ci Pan Bóg wynagrodzi! – zawołała za mną.

Słyszając ten wybuch wdzięczności, poczułam się jak oszustka, komediantka, osoba niegodna podziękowań, ponieważ potrzebujących pomocy było wielu, zbyt wielu, a ja nie miałam możliwości, by do wszystkich z nich dotrzeć.

Idąc dalej, sama zaczęłam dygotać. I z zimna, i ze strachu. Nasłuchiwałam.

Z sąsiedniej ulicy dobiegło echo bełkotliwych śpiewów i pijackich wrzasków. O tej porze działa jeszcze pub? Ciekawe, czy to zgodne z przepisami. Władze z pewnością...

Chwila dekoncentracji i zbyt późno zorientowałam się, że ktoś za mną idzie.

Zdradził go jakiś cichy odgłos, może skrzypnięcie skórzanej podeszwy na zamarzniętym błocie i kruszącym się bruku, może złowieszczy świst oddechu – ale mimo że otworzyłam usta, żeby zaczerpnąć powietrza, i uskokczyłam w bok, żeby się odwrócić, coś zacisnęło się na mojej szyi.

Niewidzialne, czające się za mną.

Przerażająco silne.

Dławiące coraz mocniej.

To nie była ludzka ręka. Coś złowieszczo cienkiego, węzowatego, duszącego wżynało mi się w krtań. Nie byłam w stanie myśleć, nie sięgnęłam nawet po sztylet; odruchowo upuściłam na ziemię latarnię, a moje dłonie poszybowały w górę, by uwolnić szyję z zabójczego uścisku – czułam jednak, że nie zdołam już zaczerpnąć powietrza; moim ciałem wstrząsnęły paroksyzmy bólu, usta rozwarły się w niemym krzyku, przed oczyma

narastała ciemność i zrozumiałam, że przyszła śmierć.

Po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że dostrzegam w mroku światło, niebudzące jednak wcale otuchy, wściekle pomarańczowe, roztańczone, diaboliczne. Mrugając rozpaczliwie, by odzyskać ostrość widzenia, uczułam pod sobą chłód i twardość bruku. Ujrzałam wokół siebie tańczące płomienie. Plama oleju, który wyciekł z mojej rozbitej latarni, płonęła żywym ogniem. W jego radosnej poświacie dostrzegłam twarze trzech czy czterech przyglądających mi się mężczyzn. Wszystko jawiło mi się jednak niewyraźnie, przesłonięte mrokiem nocy i mgłą, niezrozumiałe w chaosie zdezorientowania i bólu, zasłonięte częściowo przez czarny welon. Równie niezrozumiałe, jak ich przepite głosy.

– Zabita?

– Co za łajza mógł zarzucić na szyjkę siostrzyczki garotę?

– Może to ci zagramaniczni anarchiści, co to nie cierpią religii?

– Widział go który?

– Czy ona jeszcze dycha?

Jeden z nich pochylił się nade mną, żeby odsunąć welon.

Obawiam się, że zdołał dostrzec moją twarz, zanim odepchnęłam jego rękę. Tuż przed tym, jak oburzenie spowodowane tym grubiaństwem obudziło mnie z – właśnie, z czego? Z omdlenia? Nie, nie można powiedzieć, że padłam bez czucia jak delikatna dama. Kogoś, kogo omal nie zaduszono na śmierć trudno podejrzewać o omdlenie.

Tak czy inaczej najwyraźniej potrzebowałam paru chwil, by dojść do siebie, bo niezbyt wyraźnie to pamiętam. Zdaje się, że rzuciłam się na mężczyznę, który usiłował zajrzeć pod mój welon, zasłoniłam ponownie twarz, odsunęłam się od ognia i chwiejnie stanęłam na nogi.

– Ej, paniusiu, dokąd ci tak śpieszno?

– Powoli, staruszko.

– Uważaj, siostrzyczko, bo upadniesz.

Pamiętam, jak wyciągnęli w moją stronę ręce. Nie przyjąłm jednak ich pomocy – bądź co bądź sama chwiałam się na nogach wskutek chwilowego

osłabienia, oni natomiast zataczali się z przepicia – i uciekłam.

Zrejterowałam, jakby to powiedzieli wojskowi, w rozsypce. Nawet nie wyciągnąwszy broni. Spanikowana i rozszołchana. Nie mam pojęcia, jak udało mi się dotrzeć do swojego azylu. Faktem jest, że jakimś cudem ponownie znalazłam się w swym pokoiku, drżącymi rękoma zapaliłam wszystkie lampy i świece, a także rozrzutnie zasilałam drewnem i węglem kominek, aż ciemności nocy rozjaśnił gorący blask. Rzuciłam się na fotel i znieruchomiałam, starając się zapanować nad zadyszką, ponieważ każde silniejsze zaczerpnięcie powietrza raniło boleśnie krtań. Zamknęłam usta i przetykałam raz po raz ślinę, a wraz z nią upokorzenie i ból.

Mimo buzującego ognia nie mogłam się rozgrzać. Przemarzałam nie tylko fizycznie, chłód przenikał mnie aż do szpiku duszy. Musiałam się położyć. Chwiejąc się na nogach, zaczęłam rozpinać wysoki kołnierz....

Drżące palce wymacały coś, co zwisało mi z szyi.

Jakiś obcy twór, coś długiego, gładkiego, miękkiego... jak oplatający szyję wąż. Mimo bólu skatowanego gardła wrzasnęłam głośno, chwyciłam ten nierozpoznany przedmiot, zdałam z siebie i cisnęłam na podłogę.

Wylądował na dywaniku przed kominkiem.

Garota.

Słyszałam, że robi się je z drutu, tę jednak sporządzono z jakiejś gładkiej, białej linki zasupłanej na kawałku drewna.

Wplątało się w nią pasmo ciemnych włosów. Moich własnych. Wyrwanych ze skóry przez zaciskającą się na szyi garotę.

Zatoczyłam się w miejscu i aż zamknęłam z wrażenia oczy, uświadomiłam sobie bowiem, że mój usztywniony fiszbinami kołnierzyc ocalił mi życie. Londyńscy posterunkowi także nosili zapinane pod brodę usztywniane kurtki. Niesamowite, przerażające, że tak proste urządzenie mogło sterroryzować całą metropolię, łącznie z policją.

Przerażające i zawstydzające było także to, że nie uszłam z życiem dzięki własnej odwadze czy przebiegłości. Zapomniawszy o tym, że jestem uzbrojona, szarpałam się i wierzgałam jak pierwsza lepsza napadnięta

przedstawicielka słabszej płci. Mniejsza o kołnierz z fiszbinami, mogłabym już nie żyć, gdyby w porę nie napatoczyła się grupka pijaków. Tak, to jedyne wyjaśnienie: ich pojawienie się spłoszyło sprawcę. Bo nie ma innego wytłumaczenia na to, że zostawił mi na szyi sporządzone z taką pieczołowitością narzędzie zbrodni.

Roztrzęsiona, zmusiłam się do otwarcia oczu, by przyjrzeć się dokładnie odrażającemu przedmiotowi.

Sporządzono go z pieczołowitością, to fakt. Uchwyt z polerowanego rattanu mógł być fragmentem laski należącej do dżentelmena. Ulicznych zbirów trudno podejrzewać o posiadanie takowej. Natomiast linka...

Sznurówka.

Innymi słowy, tasiemka z damskiego *gorsetu*.

Nagle ogarnęły mnie mdłości, którym towarzyszył przyływ furii. Chwyciłam złowieszczy, nikczemny przedmiot i cisnęłam go w ogień.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwa kolejne dni przeleżałam w łóżku, wmówiwszy pani Tupper, że boli mnie gardło. O tej porze roku to częsta przypadłość, więc z pewnością fakt ten nie wzbudził w niej podejrzeń. Wysoki falbaniasty kołnierzyk mojej koszuli nocnej skutecznie zasłaniał czerwone pręgi na szyi.

Nic jednak nie mogło ukoić moich posiniaczonych i sponiewieranych uczuć. Przywykłam znosić mężnie ból fizyczny – w dzieciństwie zaliczyłam niejednen upadek z roweru, z konia czy z drzewa – nie mogłam się jednak pogodzić z tym, że ktoś mnie tak bezceremonialnie usiłował skrzywdzić. Nie tylko opuchnięte gardło uniemożliwiało mi spożywanie przygotowanych przez panią Tupper zupek i galaretek. Nie mogłam ich przełknąć, bo podłość sprawcy przyprawiała mnie o mdłości.

Podłość i nieprzyzwoitość. Nie, coś więcej niż nieprzyzwoitość. Było w tym *zło*, którego nie umiałam dokładnie określić.

Zło związane ze sznurówką od gorsetu.

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby napadać na kobietę przy użyciu broni sporządzonej z laski – z rodzaju tych, których używa się w szkołach do karcenia niesfornych dzieci – i części *gorsetu*? Intymnego składnika garderoby damy z wyższych sfer, który ścisnął jej ciało, by wpasować je w ośmieszające suknie, sprowadzając ją do roli ozdóbki podatnej na omdlenia, i fundując groźące śmiercią obrażenia wewnętrzne? Uciekłam spod kurateli Mycrofta i Sherlocka właśnie po to, żeby się wyzwolić z tej sznurowanej niewoli. Zbiegłam, żeby uniknąć poniżenia i przecięcia na pół na tak zwanej pensji dla dziewcząt, a teraz ktoś mi to – to odrażające coś – zakłada na szyję?

W jakim celu? Z czego chciał mnie okraść?

I dlaczego posłużył się tak niepokojąco dziwaczną bronią?

Czy padłam ofiarą *mężczyzny*, czy też może zaatakowała mnie jakaś obłąkana kobieta?

Na te pytania nie potrafiłam sobie odpowiedzieć.

Trzeciego dnia odzyskałam głos na tyle, by móc powrócić do biura doktora Ragostina. Odetchnęłam nieco – w sensie fizycznym, jeśli nie psychicznym – podczas lektury stosiku gazet, które nagromadziły się pod moją nieobecność.

Znalazłam w nich swoją wiadomość do mamy, rozesłaną pocztą do kilku redakcji przy Fleet Street, jednak nie natrafiłam nigdzie na odpowiedź z jej strony.

Oczywiście, było za wcześnie, żeby spodziewać się jej reakcji. Mimo to nie mogłam się oprzeć pokusie przejrzenia działu anonsów. Chciałam...

Nie, tak nie można. Roztkliwiam się nad sobą, jak dziecko, które chce do mamusi. Co by mi teraz powiedziała, gdyby była przy mnie? „Doskonale sobie poradzisz sama, Enolu”.

Zdanie, które zawsze traktowałam jak komplement.

Mimo to, w tej konkretnej chwili, kiedy ból nadwerżonej krtani spotęgował się pod wpływem ściskania w gardle, uświadomiłam sobie, jak bardzo czegoś pragnę. Albo kogoś.

Już nie chciałam być sama.

Enola, *alone*, bez nikogo, kto by mi towarzyszył.

Bez nikogo, komu mogłabym się zwierzać.

Bez nikogo, kto by mnie pocieszał.

Doskonale przy tym wiedziałam, że żadne bliższe kontakty towarzyskie nie wchodzi w grę przez kolejnych siedem lat. Dopóki nie stanę się w świetle prawa pełnoletnia, każda znajomość grozi ujawnieniem mojego prawdziwego ja. Joddy – ogromne ryzyko, gdyby zbyt wiele się o mnie dowiedział. Podobnie pani Tupper. Sklepikarze i piekarze, u których zaopatrywałam się w artykuły spożywcze dla biednych, praczka, w której ręce trafiały niepasujące do siebie zestawy garderoby, blacharz, u którego obstalowałam sztylety, każda z tych osób stanowiła zagrożenie. Myślałam

o sprawieniu sobie psa, ale i on mógłby mnie pogrzyść, rozpoznając mnie w najmniej odpowiedniej chwili. Gdyby stary Reginald, nasz owczarek szkocki z Ferndell, jakimś cudem zawitał do Londynu i spotkał mnie na ulicy, rzuciłby się na mnie z ekstatycznym skomleniem, niezależnie od tego, w jakim byłabym przebraniu. A gdyby towarzyszył mu kamerdyner Lane z małżonką i gdyby *oni* także mnie rozpoznali... Kobięcina rozplakałaby się z radości, ponieważ traktowała mnie jak matka, a nawet była o wiele czulsza niż...

Przestań. Enolu Holmes, masz się natychmiast przestać mazać.

Musiałam się ruszyć, zacząć działać, czegoś dokonać.

Świetnie. Chwilowo kwestia kontaktu z mamą pozostawała poza moim zasięgiem, podobnie jak kwestia rozterek Sherlocka – dopóki mama się nie odezwie. I – choć gorączkowo pragnęłam sprawiedliwości, ba, zemsty! – na tym etapie nie mogłam zrobić nic w sprawie nieznanego mi złoczyńcy z garotą, który z kolei *mnie* przyprawił o rozterki.

A jednak było coś, co mogłabym zdziałać w dziedzinie, do której czułam się powołana, czyli jako perdytorystka. Mogłabym pomóc sir Eustace'owi Alisterowi odnaleźć córkę. Obiecałam sobie, że „doktor Ragostin” zajmie się „swoim” pierwszym śledztwem i ją odszuka.

Tylko trzeba będzie się zapoznać ze szczegółami sprawy.

Po chwili zastanowienia podniosłam się i przeszłam krętymi korytarzami do kuchni, gdzie kucharka i gospościa raczyły się właśnie południową herbatką. Obie wyglądały na zaskoczone moją nieoczekiwaną obecnością i nastroszyły się nieco, że nie przywołałam ich tak jak zwykle dzwonkiem. Cóż takiego się stało?

– Pani Bailey – wychrypiałam w stronę kucharki – trochę kiepsko się czuję. Okropnie boli mnie gardło. Czy sądzi pani...

– Oczywiście – zakrzyknęła pani Bailey z widoczną ulgą, odgadując moją prośbę, zanim zdołałam ją sformułować. Choroba znakomicie tłumaczyła moje pojawienie się w kuchni, czyli w pomieszczeniu, gdzie znajdował się i kominek, i piec, i bojler, a zatem w najcieplejszym miejscu całej kamienicy.

– Herbatki? – Skoczyła na nogi, żeby postawić czajnik na fajerce^[3].

– O, to, to. Bardzo pani dziękuję.

– Niech pani spocznie, panno Meshle – zaproponowała druga z kumoszek, pani Fitzsimmons, gospodyni, wskazując na stojące najbliżej ognia krzesło.

Zasiadłam z nimi przy stole i sączyłam herbatę, odpowiadając zdawkowo na pytania o zdrowie. Po krótkiej chwili paniusie podjęły przerwana moim wejściem rozmowę. Pani Bailey udała się poprzedniego wieczoru do music hallu na występy mesmerysty, czyli magnetyzera, „jednego z tych dychawicznych, śniadych, patrzących wilkiem Francuzików o brwiach jak krzaczyska”. Asystowała mu „dziewucha w takiej francuskiej obcisłej kiece”, która leżąc na lekarskiej kozetce, wpatrywała się na jego polecenie w błyszczący przedmiot – w tym przypadku był to płomyk świecy – podczas gdy on sam potrząsał dłońmi nad jej twarzą, jakby obsypywał ją swoim „pierwiastkiem życiowym”, a następnie wykonał tradycyjne magnetyczne passy^[4] wzdłuż jej ciała. „Machał nad nią łapami nieprzyzwoicie blisko, ale jej nie macał. Leżała jak nieboszczka z otwartymi ślepiami, a on podał jej do zjedzenia kawałek mydła, który pogryzła z lubością, jakby to była ciągutka. Kiedy powiedział jej, że jest klaczą, zaczęła rzeć. Potem wmówił jej, że jest mostem, uniósł ją i położył głową na jednym, a stopami na drugim krześle. Zawisała w powietrzu sztywna niczym deska. A kiedy strzelił jej nad uchem z pistoletu...”

Siedziałam i słuchałam, z trudem kryjąc zniecierpliwienie. Przecież to wszystko czyste kuglarstwo i bzdura. Mesmeryzm już dawno temu wrzucono do jednego worka z nadawaniem pozorów życia martwym ciałom poddanym „galwanizacji”, wirującymi stolikami, mediami spisującymi na tabliczkach słowa duchów i całą resztą szarlataństwa upozowanego na naukowość i postęp.

– Zachęcał widzów, żeby podeszli i sprawdzili, czy wpadła w trans. Jeden jegomość ją uszczypnął, jego żona podsunęła jej pod nos sole trzeźwiące, a ja wbiłam w nią szpilkę od kapelusza, jednak pannica ani drgnęła. A kiedy skończyliśmy, mesmerysta zrobił kolejne magnetyczne passy dłońmi i dziewczyna hop! na nogi, cała w uśmiechach. Oklaskaliśmy ich rzęsiście

i zniknęli za kulisami. Zaraz po nich występował frenolog...

No nie, kolejna odkurzona pseudonaukowa ramota.

Wpadłam kobiecie w słowo:

– Czy to prawda, że królowa ogoliła kiedyś głowę, żeby dać się przebadać frenologicznie?

Nie mogły w to uwierzyć (nic dziwnego, bo wymyśliłam tę bajeczkę na poczekaniu, inicjując z pewnością kolejną plotkę), ale dla nich wszystko było możliwe: lady taka a taka prowadziła seans spirytystyczny, diuk taki a taki lunatykował, paru szacownych lordów eksperymentowało z gazem rozweselającym i tak dalej. Udało mi się zmienić nieco temat rozmowy i zaczęłyśmy snuć opowieści o niebywałych dziwactwach osób z wyższych sfer, o których – jak większość służby – obie panie wiedziały wszystko. Skandal można było wyciszyć w gazetach, ale żadne wydarzenie w londyńskim domu nie mogło pozostać tajemnicą, jeśli tylko pracowali w nim służący, którzy przekazywali szeptem swoją wiedzę pokojówkom i lokajom innych państwa. W pewnej chwili padło nazwisko pewnego znanego posiadacza błękitnej krwi.

Pokaszłując, by zwrócić na siebie uwagę i wywołać współczucie, spytałam:

– Czy ten pan zna może sir Eustace’a Alistaira?

– On? Wątpię! – oświadczyła pani Fitzsimmons.

– Sir Eustace to zaledwie baronet, nie wie pani? – powiedziała kucharka.

– I to na dodatek okryty hańbą – dopowiedziała gosposia, zniżając głos, a w jej oczach zapaliły się ogniki.

Zareagowałam na to skutecznie udawanym szokiem i niedowierzaniem:

– Hańbą? Jak to?

– Przez swoją córunię, lady Cecily. Okryła ich wstydem.

– Koszmar dla rodziców – orzekła kucharka. – Mówią, że lady Alistair jest zdruzgotana.

Gosposia dorzucała swoje trzy grosze, kucharka swoje i po kilku minutach ich paplaniny w moim umyśle zarysował się ogólny zarys całej afery:

Wielmożna lady Cecily Alistair, drugie wedle starszeństwa dziecko sir Eustace'a, szesnastoletnia panienska, jeszcze nieprzedstawiona na królewskim dworze, przepadła bez wieści w ubiegły wtorek. Tego samego dnia znaleziono przystawioną do okna jej sypialni drabinę. Przesłuchana przez policję przyjaciółka lady Cecily zeznała, że ubiegłego lata zaczął je („prawie żadna nie chodzi teraz z przyzwoitką, pannice same jeżdżą sobie konno, szaleją na rowerach i chodzą na zakupy, świat się kończy, kochana pani”) pewien młody dżentelmen, a raczej elegancko ubrany człowiek wątpliwego pochodzenia. Przeszukanie zawartości biurka lady Cecily ujawniło, że córka baroneta prowadziła z owym młodzianem korespondencję w tajemnicy przed rodzicami, którym nie został nawet przedstawiony. Ustalenie, kim był znany jedynie z imienia impertynent, zajęło policji całe cztery dni. Okazało się, że to syn kupca, chłopak, któremu przewróciło się w głowie, o wybujałych ponad własny stan aspiracjach. Oczywiście było już o wiele za późno („zgroza, jeśli wyszła za takiego za mąż, a jeszcze większa zgroza, jeśli nie wyszła”). Ustalono jednak, że dziewczyny z nim nie było, a młokos w ostrych słowach zapewniał o swej niewinności i czystym sumieniu („Tere fere. Chłopu tylko jedno w głowie”). Od tamtej pory jest obserwowany i śledzony, jednak nie natrafiono na żaden ślad lady Cecily.

– Dolać jeszcze herbatki, panno Meshle?

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową.

– Nie, pani Bailey, bardzo dziękuję. Myślę... uważam, że powinnam już się wziąć do pracy.

Powróciwszy do frontowej części budynku, przeniosłam się ze swojego gabinetu do biura doktora Ragostina, instruując Joddy'ego, że pod żadnym pozorem nie wolno mi przeszkadzać. Często ucinałam tam sobie drzemkę, odsypiając nocne eskapady Siostry Miłosierdzia. Sądząc po bezczelnym uśmiechu na twarzy Joddy'ego, uznał on, że spędzę parę godzin zawinięta w „afgany” na wygodnej, obitej zakardową tkaniną sofie doktora Ragostina. Zbyłam to milczeniem.

Chciałam bowiem, aby i on, i reszta służby trwali w tym właśnie

przekonaniu.

Oprócz wzmiankowanej wyżej, ustawionej naprzeciwko kominka sofy, w azylu doktora Ragostina stało także imponujących rozmiarów biurko (sama je zafundowała fikcyjnej postaci) oraz skórzane fotele dla klientów. Pod nimi rozpościerał się okazały turecki dywan. Gabinet miał dwa przesłonięte gęsto drapowanymi firanami okna, między którymi stała biblioteczka. Regały z książkami zajmowały również trzy pozostałe ściany, a między nimi wisiały gazowe kinkiety, za którymi umieszczono zwielokrotniające płomień lustra. Biblioteczne półki zostały tu w spadku po poprzednim najemcy lokalu, parającym się tak zwanym mediumizmem. To tu odbywały się seanse spirytystyczne.

Zamknąwszy się od wewnątrz na klucz, zasunęłam ciężkie story z serży, żeby zdystansować się jeszcze bardziej od świata, i podkręciłam kurek gazu w żyrandolu, rozjaśniając powstały półmrok. Podeszłam do pierwszego regału na wewnętrznej ścianie, wsunęłam dłoń za opasły tom esejów Pope'a, odciągnęłam działającą bezszelestnie zasuwkę i pociągnęłam ku sobie lewą krawędź biblioteczki. Wystarczył lekki nacisk palców, by cała półka uchyliła się bez najmniejszego skrzypnięcia – zawiasy były idealnie dopasowane i mocno naoliwione – ukazując znajdujące się za nią sekretne pomieszczenie.

Tu, jak się domyślałam, ukrywali się współpracownicy medium.

Tymczasem ja używałam tego pokoiku o rozmiarach garderoby do przechowywania w tajemnicy innych rzeczy.

Bardzo mi teraz potrzebnych. Bez nich nie zostanę wpuszczona do rezydencji baroneta. Nie mogłam się tam udać jako Ivy Meshle. Musiałam przejść całkowitą przemianę.

Zapaliłam świecę. A potem, dygocąc z zimna, jako że pomieszczenie nie było opalane – ściągnęłam z siebie tanią, zdobną w falbanki popelinową suknię panny Meshle, razem z nieodłączną pękatą broszką, którą nosiła w bardzo konkretnym celu. Przyspawana do rękodojeści sztyletu, wyglądała jak wpięta we front sukni ozdóbka, w istocie dając dostęp do ukrytej za zapiętymi guzikami broni. Chwyciwszy za „broszkę”, wyciągnęłam

teatralnym gestem tkwiący w gorsecie sztylet. Przez chwilę przyglądałam się z podziwem jego lśniącej, cienkiej i ostrej jak brzytwa klindze, po czym odłożyłam go na bok.

Zdejmowałam z siebie kolejno niepotrzebne chwilowo sztuczne loczki, kolczyki i inne fidrygalki, aż wreszcie zostałam w samej bieliźnie, której najistotniejszą – o ironio – część stanowił gorset.

Tak, mimo negatywnego nastawienia do gorsetów, zawsze miałam na sobie jakiś egzemplarz, służący mi jedynie za opiekuńczego przyjaciela, a nie ciasno sznurowane narzędzie tortur. Gorset nie był dla mnie oznaką zniewolenia, przeciwnie, gwarantował mi swobodę, dając ochronę, przebranie i skrytki. Prócz sztyletu krył w sobie mój uzdatniacz biustu (w którym przechowywałam wiele użytecznych przedmiotów, łącznie z niewielkim majątkiem w banknotach Banku Anglii), który w parze z regulatorem bioder zapewniał mi całkiem inną figurę niż ta, którą natura obdarzyła Enolę Holmes.

Pozbywszy się z siebie wszystkiego, prócz wypychaczy, ochronnego pancerza i halek, pochyliłam się nad miednicą i zmyłam z twarzy róż, krzywiąc się, ponieważ woda w mojej kryjówce była bliska zamarznięcia, a następnie spojrzałam w lustro. Moja pociągła, zwyczajna, ziemista twarz otoczona długimi, zwyczajnymi brązowymi włosami odwzajemniła mi spojrzenie.

Z włosami był wielki problem. Chcąc uchodzić za dorosłą, musiałam je upinać. Dziewczynki mogły nosić krótkie spódnice i długie włosy, kobiety *musiały* chodzić w sukniach do kostek i upinać włosy w kok. Prawie wszystkie części ciała dobrze urodzonej niewiasty pozostawały za dnia szczelnie zakryte. Wyjątek stanowiły wiecznie odsłonięte uszy.

Dziś muszę wyglądać jak dobrze urodzona dama. Niejakim problemem było to, że jaśnie panie zatrudniały do układania włosów służące, a ja takowej nie posiadałam.

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi szczegółów moich zmagania. Powiem tylko, że po niemal godzinie dobrze urodzona dama z upiętymi włosami – z których większość przykrywał imponujących rozmiarów kapelusz –

przeszła tajnymi drzwiami do gabinetu.

Miałam na sobie szarą, szytą na miarę dzienną suknię z najlepszej wełny chesankowej, o prostym, niemal pozbawionym elegancji fasonie. I tak, również i ją zdobiła broszka – tym razem był to gustowny owal z macicy perłowej. Posiadałam bowiem więcej niż jeden sztylet. Na suknię narzuciłam uroczą, podbitą futerkiem pelerynę, stanowiącą komplet z zabraną z mojej „gotowalni” mufką. Zamknęłam skrytkę, ponownie ukrywając ją przed światem. Następnie podeszłam do kolejnej półki, tej stojącej między oknami, sięgnęłam za kolejny opasły tom (*Wędrówka pielgrzyma*), odciągnęłam kolejną ukrytą zasuwkę i wymknęłam się z biura doktora Ragostina kolejnym tajnym przejściem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mój zmyślny poprzednik doskonale wybrał miejsce na sekretne drzwi wyjściowe. Prowadziły do wąskiego przesmyku między budynkami przysłoniętego od strony ulicy wiecznym zielonym krzewem. Mogłam wyjść tamtędy do miasta i mieć pewność, że nikt, nawet obdarzona sokolim wzrokiem pani Fitzsimmons, nie widział, jak opuszczam budynek. Ta ostatnia prawdopodobnie obgadywała mnie właśnie pospołu z panią Bailey, i to od chwili, gdy zniknęłam z ich pola widzenia:

„Biedne dziewczuszyko, nos i bródka wyrosnięte ponad miarę, w przeciwieństwie do wypchanej reszty; kobiety mają na te sprawy oko; jej mąż, jeśli trafi się na nią jakiś amator, będzie srodze zawiedziony”.

Zmagania z niesfornymi włosami – o barwie bagiennego mułu i sprężystości gnijących w nim badyli – zepsuły mi całkiem humor. Kiedy więc umościłam się już bezpiecznie we wnętrzu krytej dorożki, wyciągnęłam z kieszeni ołówek i papier, a następnie szybkimi ruchami naszkicowałam panie Fitzsimmons i Bailey w staroświeckich rurkowanych czepkach, pochylone ku sobie i zawzięcie plotkujące; te ich przebiegłe, podkrążone oczka i niemal pozbawione warg rozgadane usta... Coś na kształt dwóch pytlujących żółwici.

Kiedy już opadły ze mnie złe emocje, zajęłam się spokojnie innym rysunkiem. Sportretowałam młodą damę w futrzanej pelerynie z mufką, w aksamitnym kapeluszu z szerokim rondem przystrojonym piórami perkoza. Spod ronda wyzierały zmrużone oczy, ponieważ damie, choćby dotkniętej najdalej posuniętą krótkowzrocznością, nie przystoi pokazywać się publicznie w okularach. Nauczona żyć w cieniu, niemal bezbronna, szła z pochyloną głową, kuląc lekko ramiona, szara i zwyczajna mimo eleganckiego ubioru.

Nieśmiała młodziutka żona, pani Ragostinowa.

Rysunek pomógł mi się wczuć w dzisiejszą rolę.

Kiedy chwyciła mnie nagle chęć szkicowania, potrafiłabym narysować z pamięci dowolną osobę: Ivy Meshle, mamę, Sherlocka, Mycrofta, każdą znaną mi postać prócz Enoli Holmes. Siebie samej nie umiałam przedstawić na papierze. Dziwne.

Dorożka skręciła w niezwykle elegancką ulicę. Kiedy się zatrzymała, schowałam rysunki na samym dnie jednej z kieszeni. Sherlock Holmes dwukrotnie oglądał moje szkice, więc musiałam uważać, żeby ich gdzieś przypadkiem nie zostawić. Po powrocie do wynajętego pokoiku niszczyłam je w ogniu.

Wysiadłszy na rogu ulicy, wsunęłam obciążone jedwabnymi rękawiczkami dłonie w mufkę i zaczęłam, aż dorożka odjedzie. W obecnych czasach jedynie matrony nosiły jeszcze tiurniury – chwała niebiosom za to, że to nieporęczne wybrzuszenie wychodziło z mody – jednak dobrze urodzona kobieta musiała nosić suknię z trenem. Rąbek mojej długiej peleryny i tył jeszcze dłuższej spódnicy ciągnął się po lodowatych kocich łbach, zaświadczać, że przynależę do tej części społeczeństwa, która jeździ własnymi powozami. Stałam zatem tam, gdzie wysiadłam, aż do odjazdu dorożki. Wiem, doktor Ragostin powinien mieć swój własny powozik i parę koni, ale – chociaż mama zostawiła mi pokaźne fundusze – istniały pewne granice rozrzutności.

Na szczęście rzadko musiałam się wcielać w panią Ragostin.

Na *całe* szczęście, ponieważ w tej roli pokazywałam własną, niezmienną twarz. Ivy Meshle mogła się ukrywać za fasadą rózu, tresek w kolorze blond i tanich błyskotek; dama – nigdy.

Kiedy tak stałam u zbiegu ulic, minęło mnie dwóch dżentelmenów w cylindrach, rzucając mi pełne dezaprobaty spojrzenie.

– *Moja* żona siedzi w domu, tam gdzie jej miejsce, zamiast włóczyć się po mieście – zamruczał jeden z nich.

– Ta młoda dama ściągnie na siebie nieszczęście, chodząc bez

towarzystwa – zgodził się z nim drugi. – I sama będzie sobie winna.

Nie wzięłam ich komentarzy do serca, żeby nie pogarszać sobie humoru w tym i tak ponurym dniu. Mimo że dopiero co wybiła pierwsza, po ulicy krzątał się już latarnik z drabiną, ponieważ gęste od dymu, sadzy i mgły londyńskie niebo przepuszczało tak niewiele światła, że w całym mieście panował półmrok. Na wszystkich okolicznych dachach widać było kopcące jak zdmuchnięte świece kominy. Robotnicy i sprzątaczkę mijali mnie, kaszląc z duchoty. Dziś z pewnością któreś z nich umrze na niezbyt oskrzeli.

Po chwili podeszła do mnie mała obdartuska z miotłą w rękach. Na moje skinięcie zaczęła pracowicie zamiatać przede mną drogę, usuwając mi sprzed stóp pokrywającą wszystkie ulice mieszaninę sadzy, pyłu i końskiego łajna.

Przeszedłszy w ślad za dzieckiem na drugą stronę, dałam jej sowity napiwek – całego pensa zamiast zwyczajowej ćwierćpensówki – a następnie ruszyłam, zamiatając chodnik trenem, w stronę celu mojej wyprawy: rezydencji sir Eustace’a Alistaira.

Na masywnych drzwiach frontowych wisiała sporych rozmiarów kołatka w kształcie lwiej głowy. Pamiętając o tym, by stukać dyskretnie, jak przystało na panią Ragostin, zrobiłam z niej użytek.

Drzwi otworzyła po chwili pokojówka w nienagannej popołudniowej czerni. Za nią stał równie elegancko odziany kamerdyner.

– Jaśnie pani nie przyjmuje gości – oznajmił służący tonem chłodnym jak zimowy poranek.

– Jaśnie pani źle się miewa? Proszę jej przekazać moją wizytówkę i wyrazy współczucia – powiedziałam tonem wyjątkowo dobrze wychowanej szarej myszki.

Rzuciwszy mi złowrogie spojrzenie, pofatygował się po srebrną tackę, na której położyłam wizytówkę doktora Lesliego T. Ragostina, Naukowca Perdytorysty, z moim ręcznym dopiskiem „małżonka”.

– Odesłałam powóz – zamruczałam cicho. – Dyskrecja przede wszystkim.
– To wyjaśniało brak eskorty lokaja czy innego przedstawiciela służby.

Przekraczając próg rezydencji (nie mogli przecież kazać tak dobrze ubranej damie stać na mrozie), dodałam: – Ogrzeję się tylko przy ogniu.

Służąca była uprzejma zabrać ode mnie pelerynę i mufkę – ale nie kapelusz. Uczesanie i kapelusz pań z wyższych sfer pozostawały nierozłączne. Tkwiłam więc w ciepłym wnętrzu, mając na sobie kapelusz i rękawiczki; sfery wyższe do granic absurdu.

Czekałam cierpliwie w dość sporym saloniku, nie mając pojęcia, czy lady Theodora... Tak miała na imię pani domu: Theodora, sprawdziłam to w należącym do doktora Ragostina egzemplarzu *Boylesa* pod hasłem „Alistair, sir Eustace, baronet”. Jak mówiłam, nie wiedziałam, czy pani domu zechce mnie łaskawie przyjąć. Mogłaby wprawdzie uznać moje niespodziewane przybycie za rzuconą przez los deskę ostatniego ratunku, której warto się chwycić. Z drugiej strony, kto wie, czy duma nie okaże się silniejsza od desperacji i lady Theodora nie uzna tego za chwytanie się brzytwy.

Próbowałam przedstawić sobie w wyobraźni odbywający się na piętrze dialog, licząc na to, że jaśnie pani domyśli się znaczenia słowa „perdytorysta” i na to, że kamerdyner jest pod wrażeniem elegancji mojego stroju i manier.

– Ahem. – Służący ponownie stanął w drzwiach saloniku i z nieustająco pogardliwym wyrazem twarzy oznajmił: – Lady Theodora jest w stroju uniemożliwiającym przyjęcie pani w pokoju dziennym, pyta więc, czy zechciałaby pani udać się na kilka chwil do jej buduaru.

Ach. Liczyłam na taki obrót sprawy. Teraz jednak muszę zadbać o jak najdalej posuniętą taktowność działań.

Drepcząc za służącym na górę, usłyszałam młodzieńcze głosy dobiegające ze znajdującego się na piętrze pokoju dziecinnego, w którym bona albo guwernantka usiłowała ucywilizować przychówek państwa Alistairów. Wielmożna lady Cecyli, jeśli wierzyć *Boylesowi*, miała ni mniej, ni więcej, jak siedmioro rodzeństwa.

W obliczu tego faktu zdumiałam się niepomierne na widok lady Theodory, która okazała się osobką o wyjątkowo młodym wyglądzie. Chociaż

może był to efekt wywołany jej strapieniem albo zasługa ze wszech miar uroczej domowej sukni. Dzięki ostatniej modzie, zainspirowanej sztuką Kate Greenaway^[5], panie domu mogły przyjmować gości (uwaga: wyłącznie płci żeńskiej!) bez gorsetu, pod warunkiem, że wizyta odbywała się w ich prywatnych pokojach. W ślicznej i wygodnej sukni z wysokim stanem lady Theodora wyglądała przeuroczo i nieomal dziecięco. Ja zapewne wyglądałabym w takim stroju jak bocian na maskaradzie.

Nie od razu odwróciła się na odgłos moich kroków. Wokół niej uwijały się służące, układając jej długie kasztanowe loki, a ona sama siedziała na maleńkim stołeczku przed toaletką, pudrując ślady łez na policzkach. Pierwsze, co zobaczyłam, to jej odbicie w lustrze.

Nasze spojrzenia spotkały się w tafli szkła.

Pomna tego, że gram nieśmiałe dziewczę, odwróciłam wzrok.

Jestem pewna, że dokładnie mi się przyjrzała, kiedy tak stałam, rozglądając się po suficie i ścianach, niczym amerykańska turystka w europejskiej katedrze. Przy okazji skonstatowałam, że pokój przypomina nieco buduar mamy – lekki, jasny, pełen japońskich parawanów i rzeźbionych na orientalną modłę delikatnych mebli. Nie porażał przepychem. A jednak muszę być pełna podziwu. *Nieśmiała* – powtórzyłam sobie w myśli. *Bardzo młodo wydana za mąż, naiwna i straszliwie nijaka. Niestanowiąca dla nikogo zagrożenia.*

– Wystarczy. – Obróciwszy się, lady Theodora zrzuciła z ramion prześwitującą pelerynkę do czesania i odprawiła machnięciem dłoni służące.

– Pani Ragostin, będzie pani uprzejma spocząć.

Przycupnęłam na brzegu kanapy.

– Ja... mmm... najszczerzej panią przepraszam za narzucanie się pani w tak... mmm... że tak się wyrażę niestosowny sposób, nie będąc nawet pani przedstawiona, lady Alistair, i to jeszcze w tak trudnym... – Urwałam w połowie swoją ledwo słyszalną tyradę, udając zmieszanie; zupełnie obca osoba nie powinna przecież wiedzieć, że pani domu przeżywa trudne chwile. Chociaż ona sama doskonale zdawała sobie sprawę, że o tym wiem; inaczej co bym u niej robiła?

Oszczędziła mi dalszego udawania.

– Mąż panią przysłał, prawda?

Podniosłam oczy na ładną twarz lady Theodory... nie, na jej *piękną* twarz. Patrzyłam na prześliczną kobietę. Może miała nieco zbyt kanciastą szczękę i nazbyt pełne usta, jednak rekompensował to blask jej oczu i rysy twarzy świadczące o wielkiej kulturze i wrażliwości. Oto przedstawicielka wyższych sfer, która zazwyczaj, jak się domyślałam, jest bardziej powściągliwa. Typ kobiety biegłej w sztuce towarzyskich niedomówień i udawanych emocji, mistrzyni aluzji, podtekstów i fałszywej skromności. Jedynie doprowadzona do ostateczności mogła się zdobyć na taką bezpośredniość.

– Mmm... tak – wyjąkałam. – Doktor Ragostin uznał, iż byłoby niedelikatnością z jego strony udać się do pani osobiście...

Ponowne zawieszenie głosu, by dać jej chwilę na podjęcie decyzji, czy powinna poruszyć sprawę, o której wiedzieli wszyscy, choć nie powinni.

Lady Theodora zeszywniała na ułamek sekundy, a następnie skinęła głową. Jakże często dumna i piękna kobieta szuka pociechy w przyjaźni z osobą zwyczajną, cichą i pokorną.

– Tak – powiedziała przyciszonym głosem. – Moja córka, lady Cecily, wydaje się... to znaczy... ja... a raczej my, jej rodzice... nie mamy pojęcia, gdzie obecnie przebywa. Czy dobrze zrozumiałam, że pani mąż zajmuje się ustalaniem miejsca pobytu osób zaginionych?

– Tak, w rzeczy samej.

– I oferuje nam swoje usługi?

– Jeśli pani sobie tego życzy. Nie licząc na wynagrodzenie, lady Theodoro.

– Doprawdy? – Była pełna niedowierzania. Zapewne uznała, że doktor Ragostin to jakiś oportunistą i naciągacz, chociaż z drugiej strony...

Poddała się.

– Jestem na skraju rozpacz, pani Ragostin. – Nie odrywając wzroku od mojej twarzy, starała się zapanować nad tonem głosu, choć widziałam wyraźnie, że cała drży. – Nie mamy wiadomości o córce – żadnych! od tygodnia, natomiast policja okazuje się zupełnie bezradna. Z pewnością pani

mąż nie będzie od nich gorszy. Niewątpliwie uznają, że wykazuję się teraz głupotą, ponieważ zabronili mi angażować w poszukiwania osoby postronne, z drugiej strony trudno mi chyba cokolwiek zarzucić, ponieważ to *pani przyszła do mnie*. Natomiast sama nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to opatrność mi panią zesłała i bardzo mi to na rękę – to znaczy nie panią osobiście, tylko pani męża – proszę się nie gniewać.

– Zapewniam panią, że się nie gniewam, lady Theodoro. – Pozwoliłam sobie rzucić jej przepełnione nieśmiałością i przepraszające spojrzenie. – Moja obecność w pani domu to być może niedorzeczność, jednak mężowie potrafią być uparci.

Trafiłam bez pudła w jedną z jej czulszych strun.

– Och, pani Ragostin! – Pochyliła się ku mnie i pochwyciła moje odziane w rękawiczki dłonie. – Święte słowa! Mężczyźni rządzą światem, ale potrafią się tak straszliwie mylić. W głębi serca wiem, że moja Cecily nie przebywa... nie śmiałyby się udać... tam, gdzie się ją o to podejrzewa. Fakt, że nie zdołano jej dotąd odszukać, utwierdza mnie w tym przekonaniu. A jednak wszyscy się uparli, by wierzyć... To okropne. Nawet mój własny mąż...

Skinęłam potakująco, głowiąc się przy tym, jak sprytnie pokierować dalej rozmową, by nie wzbudzić w niej podejrzeń.

– Czy pani mąż jest o wiele od pani starszy, lady Theodoro?

– Kilka lat zaledwie. Ale... czy doktor Ragostin jest od pani starszy?

– Tak. Jestem jego trzecią żoną. Jestem niewiele starsza od...

Dokończyła za mnie. Szeptem:

– ...od mojej córki. Od lady Cecily.

– Właśnie. W istocie. Dlatego też pomyślałam...

– Naprawdę? – I tak oto stałyśmy się konspiratorkami. Przysunęła się jeszcze bliżej, niemal dotykając moich kolan swoimi i nie wypuszczając ani na chwilę moich dłoni z uścisku.

– Myślę nawet, że jako rówieśniczka lady Cecily mogłabym dostrzec coś, co uszło uwadze policyjnych śledczych.

– Och, gdyby tylko było to możliwe! Tak bardzo pragnę móc coś zrobić...

ale co? I jak!

Niewiele brakowało i wypadłabym z roli, jednak opanowałam się na tyle, żeby się zawahać, przygryźć wargę i dopiero po chwili wyjąkać:

– No cóż... od czegoś trzeba zacząć. Czy istniałaby możliwość, lady Theodoro, abym mogła się rozejrzeć po pokojach córki?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Najpierw, rzecz jasna, napiłyśmy się razem herbaty. Przypieczętowawszy tajny sojusz i więzy przyjaźni przy filiżance kojącego gorącego napoju i nieodłącznych babeczkach z marmoladą, lady Theodora wezwała pokojówkę córki i poleciła jej, by zaprowadziła mnie do prywatnych apartamentów wielmożnej lady Cecily.

W bogatych domach przed sypialnią z przylegającą do niej garderobą mieści się salonik, w którym dama przyjmuje służących i zaufanych gości. Nie zatrzymałam się tam jednak i od razu skierowałam kroki do pokoju sypialnego lady Cecily. Na pierwszy rzut oka było to królestwo słodczy. Stało tam rzeźbione i malowane w subtelne wzory łóżko typu łódź, bardziej odpowiednie dla dziewczątka niż dla młodej lady. Może matka próbowała opóźnić w ten sposób dorastanie córki? W rogu umieszczono, zgodnie z przyjętymi normami, dom dla lalek, który miał służyć wykształcaniu w pannie zamiłowania do prowadzenia gospodarstwa, jednak nie wyglądało na to, by wzbudzał on w lady Cecily większy entuzjizm niż kiedyś we mnie. Na półkach stały drogie porcelanowe lalki pokryte warstewką kurzu, mimo chroniących je szklanych osłon. Przeglądając zawartość podobnych kloszy ustawionych nad kominkiem, doszłam do wniosku, że dziewczyna równie obojętnie odnosiła się do sztuki lepienia różyczek z kolorowanych woskowych płatków.

– Czy to dzieło rąk samej lady Cecily? – spytałam dla pewności służącą.

– Tak, prosz pani. Moja młoda lady miała... ma... wielki talent do rozmaitych robótek ręcznych.

Woskowe „kwiaty” wyglądały jak bezkształtne kluchy.

Na ścianie wisiały nieduże, oprawione w ramki pastele: staruszka dziergająca coś przy kominku, wiejska dziewczyna z koszem jaj, rumiany

chłopczyk ze szczeniakiem w ramionach i tym podobne.

– Czy to rysunki lady Cecily?

– Tak, prosz pani. Lady Cecily to prawdziwa artystka.

Dyskusyjna sprawa, pomyślałam, kiwając dla niepoznaki głową. Pastelom, podobnie jak woskowym kwiatom, brakowało jakiegokolwiek finezji. Były barwne, ale raziły niedostatkami warsztatu i topornością formy.

– Lady Cecily brała też lekcje śpiewu i tańca. Była utalentowana pod każdym względem.

Czyli, innymi słowy, gotowa do wystawienia na rynek matrymonialny. Sama też, zgodnie z życzeniem braci, miałam zostać podobnym okazem: śpiewającą, tańczącą, ćwierkającą po francusku, dyskretnie mdlejącą ozdobą, pożądaną w każdym arystokratycznym salonie.

Ciekawa jestem, jak sama lady Cecily oceniała te swoje „talenta”.

Poza łóżkiem-łodzią w sypialni znajdowała się równie misternie zdobiona szafa, a także toaletka oraz stolik z przyborami do mycia. Na toalecie ustawiono obowiązujący zestaw: stojak na pierścionki, srebrny grzebień i szczotkę, zdobne wypukłymi wzorami, lusterko ręczne, buteleczki ze rżniętego szkła z perfumami, pojemniczek na wyczesane włosy^[6]. Zajrzałam do szafy, w której również zgromadzono wszystko, co młoda panna posiadać powinna: suknie poranne, popołudniowe, wizytowe, niedzielne, wieczorowe, komplet do jazdy konnej, kostium do jazdy na rowerze, sukienka do gry w tenisa, *ad infinitum*^[7].

– Czy ustalono, w co była ubrana lady Cecily w chwili jej... wyjścia z domu?

– Tak, prosz pani. Zdaje się, że... – Pokojówka oblała się pąsem. – Była ubrana do snu, prosz pani. Niczego innego nie brakuje.

– Rozumiem. Czy były ślady, że spała w łóżku?

– Tak, prosz pani.

Jedno z okien wychodziło na tył budynku, drugie na jego bok.

– Do którego z nich przystawiono drabinę?

Służąca wskazała na okno wychodzące na tyły domu, niewidoczne z ulicy.

– Czy okno było otwarte?

– Tak, prosz pani.

– Czy któreś z drzwi lub okien na dole było otwarte?

– Nie, prze pani. Drzwi na dole były zamknięte na klucz i zaryglowane od środka, a okna zablokowane.

– Ale okien na górze nie blokowano?

– Nie, prosz pani. – Ton pokojówki zdradzał zażenowane zdziwienie moją niewiedzą. – Dla zdrowotności cała familia pana baroneta śpi przy lekko uchylonych oknach, i latem, i zimą, prosz pani.

Nie zaskoczyło mnie to. Mnie również wychowano w myśl zasady, że wentylacja pomieszczeń sprzyja trawieniu, zapobiega chorobom i chroni przed gnuśnością. Dlatego też, nawet w najsroźsze mrozy, kiedy szron osadzał się na nocnym czepku, okna w sypialniach były uchylone na minimum jeden cal.

– A zatem ktoś stojący na drabinie mógł z łatwością przesunąć ramę okienną w górę?

– Tak, prosz pani.

– I zostawił okno szeroko otwarte, a drabinę opartą o parapet?

– Tak, prosz pani.

Przeszłam do buduaru lady Cecily, sporego pomieszczenia przyozdobionego lustrami, krzesłami, sofkami, ekranem kominkowym pokrytym haftem (niewątpliwie kolejne dzieło rączek lady Cecily), paprotkami w wykuszowym oknie, przed którym ustawiono również sztalugę i stół z przyborami do rysunków.

Oraz, co ważniejsze – jak mi się wówczas wydało – sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem.

Od razu do niego podeszłam.

– Domyślam się, że znaleziono w biurczku pewne listy?

– Tak, prosz pani. Policjanci je zabrali, prosz pani.

– Czy szukali tu także innych dokumentów?

– Nie, prosz pani! – Pokojówka była wyraźnie zniesmaczona. – Lady Theodora trafiła na plik listów, zniosła je i przekazała policjantom.

Co oznaczało, że nie wpuszczono tu przedstawicieli prawa.

– Jakżeby inaczej – powiedziałam pełnym aprobaty tonem.

Ach, jak gorąco zapragnęłam mieć dostęp do tych listów, nie tylko ze względu na ich treść, ale także na inne ślady, które Scotland Yard mógł przeoczyć.

– Czy znaczki opłaty pocztowej naklejono w nietypowym miejscu albo odwrotnie? – Gdyby tak było, mielibyśmy do czynienia z szyfrem.

– Listy nie przychodziły *pocztą*, prosz pani! – No tak, ponownie zgorszyłam pokojówkę. Domyślam się, że budzący onieśmienie kamerdyner nadzorował obieg oficjalnej korespondencji.

– Więc jak je doręczano? – Do rąk własnych, rzecz jasna, ale czyich?

– Tego... mmm... nie wiemy, prosz pani.

Czyli któreś ze służby zostało wciągnięte do spisku. Może nawet sama pokojówka o imieniu Lily. Widać było jednak, że z tego świadka więcej informacji nie wyciągnę.

Na blacie biureczka ustawiono kunsztownie wykonany przybornik do pisania, kałamarze i pióra wieczne, pojemnik na pióra i otwieracz do listów, wszystko wykładane jadeitem. W szufladach, oprócz rzeczy oczywistych, takich jak arkusze bibuły, wycieraczki do piór i tym podobne drobiazgi, zauważyłam elegancką papeterię z monogramem i kilka lasek różnobarwnego laku pieczętnego: czerwonego do korespondencji urzędowej, niebieskiego dla zapewnienia o stałości uczuć, szarego dla podkreślenia przyjaźni, żółtego, znamionującego zazdrość, zielonego dla zachęcenia nieśmiałego zalotnika, fioletowego na znak współczucia po stracie. Jedynie szara laska nosiła ślady intensywnego użytkowania.

W jednej z szuflad natrafiłam też na należący do lady Cecyli adresownik, wypełniony starannie drobnym, krągłym pismem panny z dobrego domu. Znalazłam też całą masę innych drobnych notatek: listy sprawunków, bileciki z przypomnieniem o powinnościach towarzyskich, umoralniające

myśli osnute wokół kolejnych liter alfabetu *et caetera*^[8].

Oraz coś arcyważnego: dzienniki.

– Czy lady Cecily prowadziła pamiętnik? – Dostępu do oprawnych w jedwab tomików broniły miniaturowe kłódeczki.

– Tak, prosz pani.

Wszystkie miały powyrywane pałączki.

– Czy przeglądała je policja?

– Nie, prosz pani!

– No to pani Theodora.

– Tak, prosz pani. Czytała je w lusterku.

– Słucham? – Mówiąc to, wzięłam do ręki jeden z tomików, otworzyłam go i spojrzałam z niedowierzaniem na pokrywające jego kartki pismo. Było duże, dziecięco proste, pochylone w lewo – zupełnie niepodobne do wypieszczonych notatek w adresowniku i innych rękopiśmiennych dokumentów. Na dodatek zapiski te były dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że tekst jest pisany od prawej do lewej, a wszystkie litery są odwrócone, tak że małe *b* wyglądało jak *d*.

– Jakież to osobliwe! – zawołałam. Podniosłam się z krzeselka i podeszłam z otwartym pamiętnikiem do stojącego obok trema, w którym można było z łatwością od czytać wpisy.

...przerazający ziąb. Mam na sobie ni mniej, ni więcej jak dziewięć halek...

Tego rodzaju szyfrowanie jest doprawdy niewiele warte.

– Dlaczego tak dziwnie pisała?

– Nie wiem, prosz pani.

– Widziałaś ją przy pisaniu?

– Nie, prosz pani.

Jak każda oddana służąca, niczego, rzecz jasna, nigdy nie widziała.

Zeszytów było w sumie osiem. Prowadzono je od wielu lat, lustrzanym

pismem, niezmiennie od samego początku. Skupiłam się na najnowszym tomiku, jedynym z czystymi kartkami – i to na początku, ponieważ lady Cecily zapełniała każdy tomik, rozpoczynając pisanie od ostatniej strony – przerzuciłam strony do ostatniego (czyli pierwszego) wpisu, przysunęłam pamiętnik do lustra i zaczęłam czytać.

2 stycznia. Jest mi tak przeraźliwie nudno. Jak można mówić o postanowieniach noworocznych, kiedy największe nawet szczere chęci nie doprowadzą do pomniejszenia cierpień na tej ziemi? Jak można paplać o perfumach, bankietach, falbankach, dekoltach i pantofelkach balowych, kiedy na ulicach aż się roi od sierot i żebrzących dzieci, których jedynym okryciem są łachmany i które biegają bez butów? Kiedy ich ojcowie nie mogą znaleźć pracy, a ich matki harują po szesnaście godzin na dobę w fabrykach? A ja tymczasem, by stać się godną prezentacji na królewskim dworze, ćwiczę chodzenie do tyłu, żeby nie potknąć się o długi na dziewięć stóp tren. Moje życie jest pozbawione jakiegokolwiek pożytecznego celu, jakiegokolwiek wartości czy sensu.

To mi nie wyglądało na zwierzenia młodej osóбки planującej ucieczkę z tajemniczym wielbicielem.

Z głową pełną domysłów poprosiłam Lily o uporządkowanie sekretarzyka, a sama przeszłam pod okno, żeby sprawdzić, co ostatnio rysowała lady Cecily.

Na sztaludze znalazłam mały, niedokończony szkic przedstawiający sielski krajobraz, będący bezkształtnym zlepkiem rozmazanych cukierkowatych smug. Na stoliczku leżały pastele.

Połamane. Różowe, brzoskwiniowe, bladozielone, lazuruowe, błękitne, lawendowe, pudrowo-brązowe – wszystkie połamane na drobne kawałeczki.

Intrygujące.

Wyciągnęłam szufladkę stolika, w której znalazłam to, czego mogłam się spodziewać: ołówki, gumkę, tusz i pióra do kaligrafii – poukładane w pudełczkach. A także walające się luzem pałeczki węgla rysunkowego. A raczej ich mizerne resztki, z których sypał się czarny pył, brudząc wnętrze szuflady niczym londyńska sadza. Końcówki węglowych kredek rozrzucone

po całej szufladzie.

Zużyte niemal do końca.

Zerknęłam na pastelowy bohomaz ze sztalugi – nie było na nim ani śladu czerni.

Przebiegłam wzrokiem ściany, ale nie wisiał tam ani jeden utrzymany w ciemnych barwach obrazek.

Zamknęłam szufladę i podeszłam do zajętej sprzątaniami biurka służącej.

– Lily, gdzie są rysunki lady Cecily wykonane węglem?

– Węglem? – Przesuwała jadeitowe przybory piśmienne z jednego końca blatu na drugi, nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem. – Daję słowo, że nie mam pojęcia, prosz pani.

Dałabym słowo, że je ma, ale nie warto było tego głośno mówić. Skupiłam się zatem na wyobrażaniu sobie, gdzie sama schowałabym rysunki, których nie chciałabym nikomu pokazywać. Wróciłam do sypialni jaśnie panienki i zaczęłam zaglądać za meble.

Zarówno za szafą, jak i za toaletką tkwiły sporawe arkusze grubego papieru, oparte o ścianę.

– Lily! – zawołałam. – Przyjdź i pomóż mi je wydostać, żeby się nie rozmazały.

Po chwili, wraz z milczącą i naburmuszoną dziewczyną, odsunęliśmy nieco meble na tyle, by dało się za nie sięgnąć. Ujmując arkusze za krawędzie, przeniosłam je do sąsiedniego pomieszczenia, by przyjrzeć im się w lepszym świetle.

Jeden za drugim ustawiałam je na sztaludze. Ich gigantyczne rozmiary przytłoczyły mizerny pastel.

Nie tylko zresztą rozmiary. Także ich... sama nie wiem, jak to określić. Ich klimat, można by powiedzieć. Nic nie mogłoby pozostawać w większej sprzeczności z różowo-błękitnymi bohomazami wiszącymi za szkłem na ścianach. Szkice węglem wykonano ciężkimi czarnymi pociągnięciami, wyrazistymi i twardymi w swojej prostocie, niezmiękczonej najmniejszym nawet cieniowaniem.

A jeszcze bardziej wstrząsająca była ich tematyka.

Wymizerowane, umorusane dzieciaki bawiące się w rynsztoku pod sznurem, na którym wisały martwe ryby.

Kobiety z odkrytymi głowami, szyjące coś nocą w świetle latarni ulicznej.

Nieogolony mężczyzna zbierający z ziemi niedopalone cygara.

Włoska rodzina śpiewająca na ulicy dla zarobku.

Bosy chłopiec klęczący na bruku, zajęty pucowaniem butów rozpartego przed nim dżentelmena.

Kobieta w łachmanach z chorowitym niemowlęciem w ramionach, sprzedająca zapaliki.

I wiele innych.

Ludzie z najuboższych dzielnic Londynu.

Ich wizerunki cechowała tak wielka śmiałość, wyrazistość i autentyzm, że nie mogły być jedynie wytworem wyobraźni. Oto portrety autorstwa urodzonego artysty, któremu widok nędzy zapadł głęboko w serce. Znałam dobrze to palące uczucie łączące wzrok, serce i dłoń. Na tych nędzarzy spoglądała artystyczna dusza.

Z pasją.

Z taką samą pasją, z jaką ja sama na nich spoglądałam.

Kilka rysunków ukazywało zagłodzone staruszki drzemiące na progu przytułków. Najuboższe spośród ubogich, „pełzaczki”, zwane też „śniętymi krabami”, zbyt opadłe z sił, by móc się przemieszczać.

Znałam je.

I – jak widać – zetknęła się z nimi również lady Cecily.

Ale gdzie?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Doktor Ragostin nawiąże w najdyskretniejszy sposób kontakt – oznajmiłam lady Theodorze – i przekaze pani swoje przemyślenia dotyczące sprawy.

Pocieszający był fakt, że to właśnie „doktor Ragostin” miał być dostarczycielem przemyśleń, ponieważ moje własne przypominały koszyczek do robótek pełen splątanych różnobarwnych motków włóczki. Z całego tego węzła gordyjskiego wybrałam jedno pasmo, w kolorze szarym, kolejny dowód na potwierdzenie tezy, że lady Cecily wcale nie uciekła z adoratorem. Gdyby jej potajemna korespondencja z synem kupca zaowocowała gorętszym uczuciem, wykorzystałaby do pieczętowania listów lak we wszystkich kolorach tęczy zamiast szarego. Nie, pisała te listy do przyjaciela.

– Nie uciekła z domu z miłości, miała jakiś inny powód.

Ten zaś, jak przeczuwałam, miał coś wspólnego z jej przedziwnymi dziennikami. Prowadzonymi lustrzanym pismem.

A także był powiązany – chociaż nie byłam w stanie sobie wyobrazić jak – z jej niezwykłymi rysunkami węglem.

Były tak niepokojące i tak bardzo odstawały od sztamkowych obrazków tworzonych przez młode damy, zarówno pod względem rozmachu wykonania, jak i w doborze tematyki, że odłożyłam je z powrotem za meble i nie wspomniałam o ich istnieniu lady Theodorze. Jeszcze nie. Może nigdy tego nie zrobię. Ale dzienniki chciałam ze sobą zabrać.

– Tylko dla moich oczu – zapewniłam panią domu, kiedy znów miałam sposobność zamienić z nią słówko na osobności. Powróciwszy do jej pokojów, zastałam ją w gotowni, zajętą młodszymi dziećmi. Dwóch małych chłopców szalało po pokoju w towarzystwie siostrzyczki, tymczasem ich matka sprawdzała, czy starsza z córek jest porządnie uczesana i ma wymyte

uszy. Dziewczynka była bardzo podobna do lady Cecily, której zdjęcia oglądałyśmy wcześniej przy herbacie. W istocie, wszystkie dzieci, łącznie z lady Cecily, odziedziczyły rysy twarzy po matce – pełne wargi, lśniące, inteligentne oczy.

Na mój widok lady Theodora kazała młodym Alisteirom udać się pod opiekę guwernantki i przywołała mnie skinieniem dłoni.

– Sama zapoznam się z treścią dzienników – wyjaśniłam po przedstawieniu jej swojej prośby – i powiadomię doktora Ragostina najogólniej jak się tylko da, jeśli natrafię w nich na jakieś znaczące dla poszukiwań informacje.

– Przeglądałam je – odpowiedziała mi lady Theodora – i nie znalazłam w zapiskach niczego zdrożnego, jeśli jednak uważa pani, że ich lektura może w czymś pomóc, proszę się z nimi obchodzić najostrożniej jak można.

Zapewniłam ją, że dołożę wszelkich starań i w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że powinnam poprosić o podobiznę zaginionej, żeby „doktor Ragostin” wyrobił sobie pojęcie o wyglądzie poszukiwanej. Ponadto zapisałam imię i adres kupieckiego syna, z którym korespondowała lady Cecily, na wypadek gdyby „doktor Ragostin” zechciał go przesłuchać.

Kiedy wychodziłam, lady Theodora objęła mnie i ucałowała w policzek w nieoczekiwanym przyływie uczuć.

Efekt był taki, że przez całą drogę powrotną do biura, w dorożce, czułam się jak skończona oszustka. Doktor Ragostin to, doktor Ragostin tamto. Kłamałam jak z nut, udając przed sobą, że odszukanie zaginionej leży w zasięgu moich możliwości. Możliwości czternastoletniej smarkuli, która zbiegła z rodzinnego domu. To prawda, że połowa londyńskich służących i robotnic fabrycznych była w moim wieku lub młodsza. Prawdą było jednak także i to, że gdyby którakolwiek z nas dopuściła się przestępstwa, czekałby ją areszt, sąd i stryczek u boku Kuby Rozpruwacza (gdyby policja wreszcie go ujęła), choć teoretycznie nie miałyśmy żadnych praw, nawet tego, by dysponować zarobionymi przez siebie pieniędzmi przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia. Zgodnie z literą prawa, będąc czternastolatką, nie istniałam jako człowiek. Więc za kogo ja się, do diaska,

uważam? Ja, Enola Ivy Holmes Meshle po mężu Ragostin. Kto mnie upoważnił do trwania w tym monstrualnym oszustwie, które sama sobie wymyśliłam?

Dręczona takimi wątpliwościami, wślizgnęłam się sekretnym wejściem do maleńkiego schowka, w którym z powrotem przeistoczyłam się w Ivy Meshle. Nastrój przygnębienia towarzyszył mi przez resztę popołudnia aż po zmierzch, kiedy to wróciłam do swojego pokoiku, niosąc w ręku pamiętniki i portrecik lady Cecily, zawinięte dla niepoznaki w szary papier i przewiązane sznurkiem – udawałam, że wracam ze sprawunkami.

Pani Tupper uraczyła mnie kolacją w postaci duszonego z pasternakiem śledzia – dania, którego nie należy polecać osobom pragnącym nabrać ciała – po czym wróciłam do swojej izdebki i wskoczywszy w wygodny szlafrok i ciepłe skarpety, umościłam się w fotelu przy kominku. Uzbrojona w podręczne lustro, zabrałam się do lektury najnowszego z dzienników lady Cecily.

Obfitował on w teksty, których trudno byłoby oczekiwać po córce baroneta. Nie znalazłam tu opisów niedzielnych przejażdżek faetonem po Hyde Parku, wspomnień z wakacji nad morzem, relacji z zakupów na Regent Street, przeglądu najmodniejszych kapeluszy czy choćby wzmianki o nowej sukni. Nie było tam napomknień o wspólnych zabawach ze znajomymi. Większość stron zapełniały burzliwe rozważania:

...wciąż słycać dyskusje na temat ustawy o biednych, rozmowy o „zasłużonym ubóstwie” przeciwstawionym nędzy tych, którzy na nią nie zasłużyli. Nieszczęśnicy, którzy zostali oślepieni czy w inny sposób okaleczeni nie ze swojej winy, traktowani są jak osoby warte pomocy charytatywnej, jednak wszyscy ci, którzy są sprawni fizycznie, lecz mimo to trwają w ubóstwie, muszą być, jak twierdzi tatuś, pozbawieni moralności i leniwi, a zatem nie zasługują na względy. Żebraków należy przeganiać batem z miasta jak za dawnych czasów, albo kierować do przytułków i zmuszać do pracy. Ale skoro praca jest tak wielkim dobrem, to dlaczego przytułki karzą swoich podopiecznych, karmiąc ich po kilkunastu godzinach nieludzkiej harówki wodnistą breją?

...społeczny darwinizm i teoria „doboru naturalnego” utrzymują, że zjawisko nazywane „zasłużonym ubóstwem” nie istnieje. Tych, którzy okazali się niezdolni do zarabiania na

własne utrzymanie, powinno się pozostawić samym sobie na pastwę natury, która ich wyeliminuje w procesie tworzenia wyższej rasy ludzkiej. Czyli – jak się domyślam – osobników takich jak my, posiadaczy tytułów. Czy wyróżnia nas spośród tłuszczy to, że potrafimy cytować Szekspira, grać na fortepianie utwory Chopina i nie brudzić rękawiczek przy popołudniowej herbatce?

A co z nowo narodzonymi? Dotknięte nędzą ofiary Darwinowskiego procesu selekcji naturalnej zdążyły się już przecież rozmnożyć. Czy zgodnie z tym tokiem myślenia, należałoby skazać ich potomstwo na zagładę?

...Niedomyty motłoch z East Endu nie jest pod względem intelektualnym – jak twierdzi tatuś – zdolny do organizowania się w związki i skrzykiwania się na demonstracje. Wybuchające tam zamieszki są efektem działania jakichś zewnętrznych czynników, prawdopodobnie obcych i wrogich, więc policja ma pełne prawo strzelać ludziom w łeb, by zapobiec dalszym i poważniejszym rozruchom. Nie przeczy, że robotnicy fabryczni gnieźdzą się w siedliskach zarazy, w warunkach, w których nie powinno się trzymać nawet świń, i harują, póki nie padną ze zmęczenia, jak galernicy pod batogiem bezlitosnych nadzorców – jednak nie jest przekonany, by zasługiwali na lepszy los. Nie jest przekonany, że są to tacy sami ludzie jak my. Tak trudno jest mi siedzieć w milczeniu, składać ręce na podółku, uśmiechać się słodko i słuchać...

Po przeczytaniu tych i kolejnych wynurzeń, nadal czułam się uzurpatorką, ponieważ mój znużony umysł, mimo pełnej zgody z poglądami lady Cecyli, nie potrafił wysnuć z jej rozważań żadnej logicznej konkluzji.

Doszłam do wniosku, że najwyższy czas udać się na spoczynek. Z pewnością pomoże mi „sen, który zwikłane węzły trosk rozplata”^[9], że sama zacytuję Szekspira. A raczej, w moim przypadku, uporządkuje koszyk z poplątaną włóczką, którym stał się mój mózg.

Dzięki temu, zamiast przyznać się do strachu, mogłam usprawiedliwić przed sobą brak ochoty na kolejną nocną eskapadę w czarnym habicie. Zamiast wyjść na ulicę, położyłam się spać.

Obudziwszy się po – jak mi się wydawało – chwili, odkryłam, że nastał już dzień.

I w jakiś niezwykły sposób, po głębokim i niespotykanie długim jak na moje zwyczaje śnie, panujący w moim umyśle chaos zaczął się lekko uładzać.

Pojawiła się nić rozumowania, która wyglądała tak:

Przyjechałam do Londynu; widziałam londyńskich nędzarzy; czułam wewnętrzny przymus niesienia im pomocy.

Lady Cecily, jak można było wnioskować na podstawie jej szkiców węglem, również oglądała nędzę. Wprawdzie nie wiedziałam jeszcze, jak doszło do tak nieprawdopodobnej sytuacji, co się działo w czasie poprzedzającym pełne rozterek wpisy, ani co się wydarzyło później, czułam jednak, że jakimś cudem (i muszę koniecznie ustalić jakim) młoda lady zawędrowała do londyńskich dzielnic biedoty.

Czy i ona odczuwała potrzebę spieszenia nieszczęśnikom z pomocą?

Może jednak opuściła dom rodzinny z własnej nieprzymuszonej woli?

Po powrocie do biura, w którym „pełniłam obowiązki” sekretarki jako Ivy Meshle, przejrzałam poranną prasę. Nie znalazłszy żadnej wiadomości od mamy, cisnęłam gazety w ogień i zadzwoniłam po herbatę.

Tymczasem, pod wpływem poprzednich rozmyślań, wyciągnęłam fotografię lady Cecily i arkusz papieru kancelaryjnego. Spoglądając na jej zdjęcie portretowe, naszkicowałam szybko wizerunek młodej lady. Następnie odłożyłam fotografię na bok i spróbowałam przedstawić córkę baroneta z profilu, posiłkując się wspomnieniami innych jej zdjęć oraz tym, co udało mi się zaobserwować w wyglądzie jej matki i rodzeństwa; cechowało ich bowiem uderzające podobieństwo rysów. Szkicowałam lady Cecily raz za razem, pomijając jej arystokratyczne fatałaszkę, rysowałam samą tylko twarz, pod różnymi kątami, aż do pojawienia się odczucia, że znamy się osobiście.

Zatopiona w pracy, nie zauważyłam, że do gabinetu wszedł Joddy z moją herbatą. Niepomna jego obecności, podskoczyłam z przestachu, słysząc zza pleców piskliwy głos:

– Nie wiedziałem, że pani umie tak ładnie rysować.

Była to uwaga nie na miejscu, ale chwila potrzebna na otrząśnięcie się z przestachu nie pozwoliła mi zrobić chłopakowi wymówek. Odezwał się znowu:

– Znam ją. – Odstawił tacę z herbatą i pokazał grubym paluchem obciążonej w białą rękawiczkę dłoni na moje portreciki lady Cecily.

Niedorzeczność. Skąd mógłby...

Zaraz.

– Doprawdy? – Usiłowałam nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem ciekawa jego wyjaśnień, bo zwyczajem służących, nagabywany zbyt natarczywie, nabraliby podejrzeń i zamilkł. Spytałam obojętnym tonem: – Jak się nazywa?

– Aż tak dobrze jej nie znam. To znaczy widziałem ją już, i tyle.

– Zdradzisz mi gdzie?

– Nie pamiętam.

Odwrociłam się, żeby mu się przyjrzeć. Stał z zamglonym wzrokiem, jakby usiłował przywołać w pamięci jakiś sen.

– Czy jechała powozem?

Potrząsnął przecząco głową z zafrapowaną miną i dopiero po chwili przypomniał sobie o etykietce.

– Nie, jasnie... Nie, panno Meshle. Stała na rogu ulicy.

– Gdzie to było? Przy Picadilly, Trafalgar Square, Seven Dials?

– Nie wiem.

– A co tam robiła? Chodziła po sklepach?

– Nie wydaje mi się... – Niepewność.

Zacząłam tracić cierpliwość. Warknęłam:

– Sprzedawała zapalki?

Strzeliłam bez sensu w ciemno, bo przecież ich sprzedają trudnili się jedynie żebracy.

A jednak lekko zaskoczony Joddy zamruczał:

– Zapalki. Starcia.

Matolek, oczywiście, że zapalkę trzeba potrząść o draskę. Powstrzymałam się siłą woli przed wzniesieniem oczu do nieba i, starając się nie okazać zniecierpliwienia w głosie, spróbowałam zadać mu inne pytanie:

– W co była ubrana?

Oczywiście nie doczekałam się odpowiedzi.

– Miała coś w koszyku – stwierdził.

Jak połowa ludności w Londynie, pomyślałam. A druga połowa miała coś w straganiku na kółkach. Zwykli ludzie żyli z dnia na dzień i z kęsa na kęs. Nie mieli w domu lodówek^[10] do przechowywania żywności ani pieców, na których można by przygotować posiłek, odżywiali się więc podejrzanymi potrawkami kupowanymi od ulicznych sprzedawców. Biedacy zarabiali na biedakach.

– Coś w koszyku? Co? – dociekałam zaskoczona i z lekkim sarkazmem, uznawszy, że mój obdarzony ptasim mózgiem lokaj coś pomylił. – Roladki?

– Nie, panno Meshle, nic z tych rzeczy. Zdaje się, że miała tam jakieś zadrukowane papiery.

– Twierdzisz, że ta dziewczyna sprzedawała gazety?

Powinnam trzymać język za zębami albo przynajmniej zapanować nad emocjami w głosie.

– Nie, jaśnie... nie, panno Meshle. – Kiedy Joddy się czegoś wystraszył, potrafił zgłupieć do reszty i nie sposób było się z nim porozumieć.

I rzeczywiście, po kilku kolejnych próbach okazało się, że już nic więcej z niego nie wyciągnę.

– To wszystko. Dziękuję ci, Joddy.

Kiedy wyszedł, wymruczałam pod nosem kilka niecenzuralnych słów, po czym wymazałam całe zajście z pamięci. Ten nieznośny tępak z pewnością widział na ulicy jakąś inną ślicznotkę.

Popijając herbatkę i – muszę się przyznać – podziwiając swoje artystyczne dokonania przed unicestwieniem ich w ogniu, zajęłam umysł dalszymi rozważaniami na temat możliwych powodów zaginięcia lady Cecily.

Odrzuciłam absurdalny pomysł z potajemną ucieczką u boku ukochanego, z przyczyn wymienionych już poprzednio. Zresztą przecież nie zbiegłaby

z domu odziana w koszulę nocną! Szykując się do tak romantycznej eskapady, czekałaby na wybranka w swej najlepszej sukni.

Ale przy założeniu, że jej nocna eskapada nie miała podłoża romansowego, lecz wiązała się z wyprawą do którejś z ubogich dzielnic miasta – problem pozostawał nierozwiązany: tam również nie udałaby się w koszuli nocnej. A może wystarała się potajemnie o jakieś skromne odzienie i ukryła koszulę nocną, żeby upozorować...

Co? Wyciągnięcie z łóżka siłą przez porywacza?

A potem zniesienie po drabinie? Nonsens. To niewykonalne, podpowiadało mi moje doświadczenie z drabinami.

A może przystawiona do okna drabina miała zmylić trop?

Jeśli jednak lady Cecily opuściła dom na własną rękę, to jak się później przemieszczała? Czy ktoś jej towarzyszył?

Kłębiło mi się w głowie zbyt wiele pytań, na które nie miałam odpowiedzi.

Chwilę później ponownie pociągnęłam za sznur dzwonka.

– Joddy – powiedziałam do chłopaka w liberii, kiedy raczył się w końcu zjawić – przywołaj mi dorożkę.

Panna Meshle wybierała się na zakupy.

Ale tym razem nie do najczęściej uczęszczanych przez nią sklepów. Dorożka kosztowała sześć pensów za milę, poprosiłam więc woźnicę o podwiezienie mnie do najbliższej stacji kolejowej. Kolej była znacznie tańsza, a miałam do pokonania spory kawał drogi, wybierałam się bowiem do północnej części Londynu, gdzie zamierzałam odszukać konkretny adres: Skład Galanteryjny Ebenezer Finch & Syn.

Wysiadłszy z wagonu, przeszłam przez budynek dworca stacji St. Pancras – architektoniczny odpowiednik frymuśnego tortu – by pokonać następnie kilka przecznic na piechotę. Jako Ivy Meshle, zwyczajna pracownica biurowa, której spódnica, choć sięgająca za kostkę, nie zamiatała jednak brudów ulicy, ściągałam na siebie tym razem spojrzenia pełne pożądliwości, nie potępienia. Eleganccy panowie w cylindrach nie zwracali na mnie uwagi i nikt nikomu nie sugerował, że gdyby coś złego mnie spotkało, to sama

byłabym sobie winna; natomiast ekspedienci obrzucali mnie powłóczytymi spojrzeniami, stojąc w drzwiach sklepów, a jakiś włóczęga z klasy pracującej nawet mnie zagadnął:

– Jak zdrówko, skarbeńku? Dokąd ci tak pilno? Zatrzymaj się i pogadaj ze mną.

Udając, że tego nie słyszałam, wyminęłam go spieszenie, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem. Chwała Bogu, nie poszedł za mną, co zdarzało się nagminnie. Zwykła pomywaczka, idąca przez dzielnicę slumsów, miała więcej spokoju niż jakakolwiek samotna kobieta w lepszej części miasta. Musiałam zbyć lekceważeniem jeszcze kilku takich prześladowców, zanim ujrzałam cel swojej wędrówki.

W miarę gdy zbliżałam się do Składu Galanteryjnego Ebenezer Finch & Syn, czułam, że mimowolnie coraz bardziej wytrzeszczam oczy. Jeszcze nigdy nie widziałam tak przestronnych okien wystawowych ciągnących się po obu stronach wejścia do sklepu ani tylu manekinów krawieckich z polerowanego mosiądzu, poubieranych w najnowsze modele sukien o wąziutkiej talii. I to w najbardziej zaskakujących barwach, jakie miała do zaoferowania farbiarniom chemia.

Kiedy weszłam do środka, moja wrażliwość została wystawiona na kolejną próbę. Trzeba zrozumieć, że do tej pory ograniczałam się do wizyt w mrocznych kłitkach sklepu papierniczego, składu aptekarskiego czy magazynu bławatnego, gdzie informowałam ociężałego jegomościa w czerni stojącego za ladą, po co przyszedł, a potem czekałam, aż przyniesie mi dany towar z zapleczka albo wypisze zamówienie. Robienie zakupów było czynnością logiczną i nudną. Jednak Skład Galanteryjny Ebenezer Finch & Syn, rześcicie oświetlony gazowymi lampami w środku dnia, był tak daleki od nudy, że aż pozbawił mnie na chwilę zdolności logicznego rozumowania. Wystawione na sprzedaż towary pyszniły się na półkach, kusily, rozpraszały, oszałamiały. Na boazeryjnych regałach pod ścianami, na lakierowanych drewnianych ladach, ba, nawet na platformie pod sufitem wystawiono na pokaz niesamowitą liczbę najprzeróżniejszych towarów: bele tkanin i szpule lamówek; kapelusze, rękawiczki i szale; narzędzia i kłódki; zabawki

z drewna i ołowiane żołnierzyki; wszelkiego rodzaju sztucce; wiadra i konewki; czepki i fartuchy, żeliwne haki, figurki z porcelany, bibeloty, kwiaty i wstążki, zwoje koronek i szyfonów – jakbym weszła do wnętrza obracającego się kalejdoskopu.

Początkowo, znalazłszy się w nieznanym dotąd otoczeniu i przytłoczona nadmiarem barw, blasku i szelestów, straciłam całkowicie orientację. W którąkolwiek stronę kierowałam wzrok, coś lśniącego usiłowało pozbawić mnie przytomności umysłu, niczym dyndający na łańcuszku zegarek w rękę mesmerysty. Przemogłam się jednak i zaprzęgam całą siłę woli w to, by pojąć sens osaczającego mnie nadmiaru. Zaczęłam dostrzegać, że towary były zgromadzone i wystawione kategoriami w różnych sektorach, z których każdy miał osobnego ekspedienta. Wśród obsługi sklepu ujrzałam z ulgą także i panny sklepowe. Wszyscy stali za długimi kontuarami, które wydawały się nie mieć końca. Sklep był przeogromny, nawet trudno było go nazwać sklepem; był to mój pierwszy kontakt z fenomenem, który miał się niebawem upowszechnić pod nazwą „domu towarowego”.

Zastanowiło mnie, jaki wpływ na zatrudnionych tu ludzi może mieć stałe przebywanie w takim otoczeniu. Kapelusznikom zagrażał obłąd, malarze cierpieli wskutek zatruć, włókniarze i włóknarki popadali w karłowaciznę, jeśli przedtem nie zmogła ich pylica; „skład towarów” również wydał mi się szkodliwy dla zdrowia. Jakie skutki może wywierać takie nagromadzenie dóbr? Jeśli nie na stan fizyczny, to na trzeźwość umysłu?

W sieni sklepu, na eksponowanym miejscu wisiała powiększona fotografia właścicieli, Ebenezera Fincha & Syna. Kiedy tylko udało mi się zebrać rozproszone myśli, przyjrzałam się tej podobiznie z zaciekawieniem. Skupiłam się nie tyle na Ebenezerze Finchu, ile na Synu.

Alexander Finch.

Syn kupca, chłopak o wątpliwej reputacji, domniemany uwodziciel lady Cecily Alistair.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z oprawionego w bogato zdobioną ramę zdjęcia spoglądał na mnie całkiem zwykły młodzian. Na tyle nieciekawie wyglądający, że nie potrafiłabym orzec, czy już go kiedyś widziałam. Efekt uboczny tępego wyrazu oczu, który jest nieodzowny podczas długiego pozowania w atelier fotografa.

Przechodząc przez kalejdoskopowe wnętrza sklepu, rozglądałam się wokół. Pozornie szukałam czegoś, co mogłabym kupić, w istocie szukałam pana Alexandra Fincha.

Chciałam wyrobić sobie o nim zdanie. Dojść do jakichś wniosków, dotyczących jego charakteru. Odgadnąć, do jakiego stopnia – jeśli w ogóle – był zamieszany w zniknięcie lady Cecily.

Szczerząc się trafem wypatrzyłam go niemal natychmiast, kiedy do moich uszu dobiegł głośny, napastliwy wrzask:

– Alexandrze, nawet mała umiałaby lepiej poukładać towarów na wystawie!

Szukając wzrokiem źródła tej niegramatycznej konstatacji, wypatrzyłam kantorek, a raczej coś na kształt ośmiornicy, do której tułowia biegly ze wszystkich zakątków sklepu rury poczty służące do wymiany gotówka-paragon. Jak się domyśliłam, była to siedziba właściciela. Mieściła się na podwyższeniu w najdalszym rogu składu handlowego. Za wielkimi szybami, ułatwiającymi pilnowanie interesu, widać było samego Ebenezera Fincha, mieszającego właśnie swego syna z błotem.

– ...dobór barw godny jakiegoś rozwrzeszczanego anarchisty! – gardłował ojciec, mierząc oskarżycielsko paluchem w pierś swojego syna. – Lec i pozmieniamy mi to wszystko na coś bardziej gustownego!

– Tak, ojczu. – Młody Finch stał przed nim z założonymi rękoma, nie okazując cienia emocji, nawet najmniejszego rumieńca złości.

– Ale nie wolno ci wyjść za próg, zrozumiano?

– Tak, ojcze.

– Uporaj się z tym i zamelduj mi, jak skończysz.

Odprawiony w ten sposób pan Alexander Finch skinął głową i opuścił kantor.

Przyspieszywszy kroku, zdołałam zastąpić mu drogę, kiedy zbiegał po stopniach eleganckich schodów z mosiężnymi poręczami na główny poziom sklepu. Z trudem łapiąc oddech, zaczepiłam go:

– Przepraszam, panie Finch...

– Czym mogę panience służyć? – Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. Wydał mi się nawet miły i usłużny. Może trochę za bardzo dandysowaty. Miał na nosie okulary z barwionymi szklami, których nie zdejmował, przebywając we wnętrzu. Jego ubranie różniło się bardzo od stonowanych ubiorów, obowiązkowych dla personelu sklepu: jaskrawoniebieski fular z wbitą weń spinką w kształcie podkowy, srebrnoszara kamizelka z białymi guziczkami oraz bardzo eleganckie spinki do mankietów... Doprawdy, przecież to męski odpowiednik stroju, który nosiła panna Meshle: modnego, acz uszytego z niedrogich materiałów. Gdyby był uwodzicielem, być może okazałby mi nieco zainteresowania...

Nonsens. niesprawiedliwością byłoby porównywać do mnie lady Cecily, która przecież nie przypominała żyrafy.

Zaczęłam mówić:

– Proszę pana, jestem oszołomiona tym iście królewskim przybytkiem oferującym tak wielkie bogactwo towarów i ośmielam się spytać, czy nie zechciałby mi pan pokazać... – Tu ściszyłam głos do słyszalnego tylko dla niego szeptu: – Przychodzę na polecenie lady Theodory Alistair, by z panem porozmawiać.

Serce zabiło mi szybciej, w oczekiwaniu na jego reakcję.

Ale nie zrobiło to na nim wyraźnego wrażenia. W oczach pojawił się na chwilę wyraz lekkiego zdziwienia, nad którym błyskawicznie zapanował, podejmując moją grę.

– Proszę pozwolić za mną, z radością posłużę pani radą.

Przeprowadził mnie przez całą długość Składu Galanteryjnego. Minęliśmy kontuar, przy którym ładniutka panna sklepowa stała na straży zastępu abstrakcyjnie wyglądających drewnianych dłoni, na które ponaciągano rękawiczki. Przeszliśmy obok lady, zza której ekspedientka o wyglądzie starej panny opisywała jakiemuś małżeństwu zalety kompletów żeliwnych akcesoriów kominkowych. Minęliśmy jeszcze kilka stoisk, aż wreszcie zatrzymaliśmy się przy ladzie, za którą stała wiotka dziewczyna, którą Alexander potraktował zdawkowym:

– Znikaj.

Chociaż odezwał się cicho i spokojnym tonem, uciekła z szeroko otwartymi oczyma bez uśmiechu i bez słowa – czyżby ze strachu? A może zawsze się tak wobec niego zachowywała? Bądź co bądź była tylko młodziutką istotą o sarnich oczach, a on aż synem właściciela.

Wślizgnąwszy się za opuszczony kontuar, pan Alexander Finch powiedział:

– Mamy tu najnowsze modele damskiego obuwia.

Gdybym przystanęła, żeby z nim pomówić, dopuściłabym się nieprzyzwoitej poufałości. Kiedy jednak rozmówców oddzielał kontuar, przygodny świadek uznałby, że chłopak zajmuje się swoimi obowiązkami i obsługuje klientkę.

Nie traciłam zatem czasu.

– Lady Theodora bierze sprawy we własne ręce – wyjaśniłam, a raczej zmyśliłam naprędce bajeczkę, by sprawdzić, co płeć piękna może nieoficjalnie zdziałać w poszukiwaniach zaginionej lady Cecily.

– W rzeczy samej. Coś na wiosnę, powiada pani? – Wyciągnął kilka głębokich szuflad znajdujących się pod ladą i za jego plecami, po czym zaprezentował mi botki: z płowej skóry z niewielkim obcasikiem, z perłowszarej skóry z zapięciem na przedzie zamiast z boku oraz sznurowany z ciemnobrązowej skóry.

Obuwie było doskonałej jakości i całkiem ładne, jednak udawałam tylko,

że je oglądam. Odezwałam się znowu:

– Niewątpliwie uzna to pan za lekkomyślność, jednak lady Theodora wierzy, że powinniśmy spróbować. Widzi pan, policja nie stanęła na wysokości zadania.

– Też tak uważam. Jedyne, co potrafią, to mnie śledzić, a ojciec jest na mnie tak wściekły, że nie wypuszcza mnie za próg.

Powiedział to tak obojętnym tonem, jakby wygłaszał dowolną kwestię. Jak dotąd nie udało mi się go rozgryźć. Nie potrafiłam orzec, czy jest dobry, czy zły.

– Mieszka pan u rodziców? – dociekałam, nie mając pomysłu na inne pytanie.

– Nie, mieszkam z pozostałymi subiektami.

Domyśliłam się, że w dormitorium nad sklepem.

– No to chociaż tam może pan odetchnąć od ojcowskiego gniewu. Za co się tak na pana złości?

– Ponieważ zapominam, gdzie jest moje miejsce, jak sam to określa, i traktuję wszystkich w podobny sposób. – Wskazał gestem na gięte krzesło stojące z mojej strony lady. – Czy wielmożna pani będzie łaskawa usiąść?

– Och, nie! – odpowiedziałam pospiesznie, ponieważ ugięły się pode mną kolana. – Nie jestem... nie mam... ten tytuł...

– Sposób pani mówienia zdradza, że i pani nie jest osobą, za którą się podaje.

Choć nie byłam dziedziczką rodzowego tytułu i nie miałam widoków na udział w balu debutantek na królewskim dworze, to jednak jako córka ziemianina, a zatem należąca do szlachty, nie musiałam pracować na swoje utrzymanie. I to akcent, nie ubiór, zdradził moją pozycję społeczną. Siedziałam z otwartymi ustami, besztając się w myślach: *Muszę być ostrożniejsza*. Przecież właśnie dlatego działająca nocą Siostra Miłosierdzia była niemową – żeby nie zdradził jej sposób mówienia.

Jednocześnie zaczęłam pojmować, dlaczego lady Cecily dała się wciągnąć w korespondencyjną znajomość z tym młodym człowiekiem. Pod

niepozorną powłoką zewnętrzną kryła się wielka inteligencja oraz... oraz inne, niedające się tak łatwo określić zalety.

Doprawdy, poczułam się przez chwilę bardzo niezręcznie, kiedy oparł się na łokciach, patrząc na mnie badawczo przez przyciemniane szkła swoich okularów, co bardzo utrudniało spoglądanie mu w oczy czy odczytanie ich wyrazu.

Kiedy już miałam się poddać i odwrócić wzrok, młody człowiek rozpogodził się i niemalże uśmiechnął. Przez chwilę dostrzegłam błysk zrozumienia – a może raczej wiedzy lub triumfu – w jego oczach.

– Zdaje się, że już się gdzieś spotkaliśmy. Czy wolno mi spytać, jak się pani nazywa?

– Oczywiście, że wolno panu spytać – odpowiedziałam, starając się zapanować w miarę możliwości nad głosem.

Minęła chwilka, zanim pojął, że nie doczeka się odpowiedzi. A potem odniosłam wrażenie, że przestało go to interesować.

– Osobiście uważam, że sznurowanie jest o wiele praktyczniejsze niż zapięcie na guziczki – oświadczył, trzymając w dłoni brązowy bucik. – Nie trzeba się męczyć z haczykiem do zapinania, a sam but zgrabniej leży na nóżce. – Akurat to wcale nie powinno być pożądane ani potrzebne, ponieważ dolne kończyny płci żeńskiej zawsze pozostawały w ukryciu, czasem tylko mogły mignąć spod sukni, o czym młody człowiek doskonale wiedział. Poczułam się zatem dziwnie, słysząc jego wyjaśnienia, wsparte pogładowo ściągnięciem sznurowadeł. Zupełnie jakbym widziała pokojówkę mocującą się z tasiemkami gorsetu. Bucik zyskał nagle talię osy na wysokości kostki.

Nawet nie patrzyłam.

– W rzeczy samej. – Moja uwaga skupiła się na jego krągłej, pozbawionej wyrazu, przysłoniętej okularami twarzy. – A skoro ja jestem damą, czy pan sam uznałby się za dżentelmena?

– I o to właśnie mi chodzi. Ten kraj oszalał na punkcie wartościowania ludzi na podstawie posiadanych tytułów. – W dalszym ciągu ściągał sznurowanie brązowego botka. – Dlaczego próżniak, zwany arystokratą,

zasługuje na miano dżentelmena bardziej niż gospodarzy, trzeźwy i przedsiębiorczy przedstawiciel klasy pracującej?

Kiedy wygłaszał te nonsensowne kwestie, wyczułam czającą się za fasadą pozornego chłodu pasję.

Mimo niepewności, do czego to doprowadzi, spytałam ostrożnie:

– Jest pan zatem zwolennikiem demokracji? – Pytanie co najmniej szokujące, nawet w ustach panny wychowanej przez matkę sufrażystkę.

A jednak udzielił mi na to odpowiedzi:

– Kpię sobie z wszelkich etykietek. – Doprawdy, omal nie prychnął, odstawiając brązowy but, który wyglądał już jak śmiertelna ofiara uduszenia własnym sznurowadłem. – Nikogo nie szufladkuję, mogę się zaprzyjaźnić z każdym – ciągnął mój rozmówca lekko drwiącym tonem. – A gdyby ktoś potrzebował pomocy, pospieszę mu z pomocą, czy to będzie pomywaczka, czy...

Jego wybuch podsunał mi myśl.

– Czy lady Cecily potrzebowała pomocy?

Jego ostry ton złagodniał trochę, jeśli nie całkowicie.

– Pękła jej dętka w rowerze, to wszystko. Akurat przejeżdżałem obok, bo miałem coś załatwić. Szczęśliwie zabrałem swój zestaw do napraw, więc załatałem gumę i zaczęliśmy rozmawiać.

– Alexandrze! – ryknął męski głos z niewielkiej odległości.

Wymieniony z imienia młody człowiek wziął do ręki delikatny bucik z płowej skórki.

– Gdyby chciała pani złożyć zamówienie, wystarczy przesłać nam pocztą obrys pani prawej stopy...

Pan Ebenezer Finch wyrósł jak spod ziemi obok nas i zaczął zrzędzić:

– Alexandrze, kazałem ci... oj. – Przerwał niezgrabnie w połowie. – Rozumiem. Obsługujesz klientkę.

Zadziwiająco, pomyślałam, że syn ojca-choleryka zachowuje tak stoicki spokój. Więcej niż stoicki. Niemalże kamienny.

Po odejściu ojca, jakby nie przyjmując do wiadomości, że nam przerwano, młody człowiek ciągnął dalej:

– Lady Cecily była poważną dziewczyną. Czytała *Das Kapital*, dyskutowaliśmy o wyzysku mas.

Das Kapital? Słyszałam wymieniane szeptem opinie o tej książce. Uznawano ją za skandalizującą... nie, gorzej niż skandalizującą. Zupełnie pozbawioną wartości, wręcz ubolewania godną. A jednak, ponieważ wiele niewygodnych tematów omawiano półsłówkami – że przywołam poruszony już przykład „nieobyczajnego życia” – nie miałam zielonego pojęcia, o co naprawdę chodziło.

Tymczasem pan Alexander Finch najwyraźniej nie oczekiwał ode mnie zrozumienia i ciągnął dalej:

– Lady Cecily uznała nasze spotkanie za nader fortunny traf. Chciała, żebym jej pokazał proletariat.

Proletariat? Czy to jakiś budynek rządowy?

– Nie tylko służących, subiektów i rzemieślników, ale umęczone wyzyskiem i poniewierane masy robotnicze. – Pan Alexander nie przerywał. – Oczywiście, zgodziłem się. Zaczęliśmy korespondować, a po pewnym czasie...

– Och! – przerwałam mu.

– Bardzo panią przepraszam, czy coś się stało?

– Nie, skądże. – Mój nagły okrzyk wziął się z tego, że raptem uświadomiłam sobie, jak powstały szkice węglem autorstwa lady Cecily. – Zabrał ją pan na nadbrzeża, do przytułku, na St. Giles i na targ rybny przy Billingsgate.

– Skąd pani to wie? – Jego gładkie do tej pory czoło zmarszczyło się nieznacznie. – Tak właśnie było. Umawiała się na wycieczki rowerowe ze znajomymi, a potajemnie spotykała ze mną. Zabierałem ją tam, gdzie mogła się zapoznać z warunkami bytowania większości mieszkańców naszej słynnej w świecie metropolii.

Karol Marks. Przypomniałam sobie. Odrażający człowiek, noszący

nazwisko Marks, wydał książkę *Das Kapital*.

– Więc lady Cecily była marksistką? – wyszeptałam, ponieważ takich rzeczy nie wypada mówić na głos.

– Już pani mówiłam, że nie uznaję tego typu etykietek. – Młody człowiek w otwarty sposób dworował sobie z moich zdolności umysłowych.

– Przepraszam – powiedziałam pokornym tonem, ponieważ wychowując się w przekonaniu, iż przyniosłam hańbę rodowi Holmesów, przywykłam do tego, że traktuje się mnie z góry. W tym przypadku nawet całkiem dosłownie, bo ja siedziałam na giętym krześle, a Alexander Finch stał za ladą. – Przepraszam, że nękam pana tyloma pytaniami. Proszę mi tylko wyjaśnić jedną sprawę. Dlaczego lady Cecily życzyła sobie zobaczyć... mm... proletariat?

– Dla pogłębienia wiedzy, której nie mogła zdobyć gdzie indziej, rzecz jasna. Tyle rzeczy chciała wiedzieć. Dlaczego istnieje w mieście aż tyle lombardów? Dlaczego mleczarka prowadzi za sobą osła? Czym jest omasta i skąd się ją bierze? Dlaczego niektóre dzieci skleją pudła na kapelusze, a ubogie kobiety szyją płócienne worki?

– Musiała jednak mieć jakiś powód, żeby dowiadywać się tych rzeczy. Jakie miała plany?

Jego ton, choć spokojny, stał się nagle nieprzyjemny:

– Najwidoczniej po to, żeby zrobić ze mnie chłopca do bicia.

Nie była to odpowiedź, jakiej się spodziewałam.

– A cóż pan chce przez to powiedzieć?

– A cóż może być prostszego? – przedrzeźniał moje zdziwienie. – Uciekła gdzieś, a mnie się o to obwinia.

W przypływie bezradności odpowiedziałam:

– A może nie zdawała sobie sprawy, że pana obwinia?

– No to po co ta drabina?

Siedziałam w milczeniu, doskonale wiedząc, po co była ta drabina: żeby rodzice lady Cecily, widzący w niej jedynie niewinne dziewczę tworzące cukierkowate pastele, uznali, że biedne głupiątko dało się omamić

uwodzicielowi i uciekło z domu.

A tymczasem dziewczyna, czytająca Marksa, może być zdolna do wszystkiego.

Spytałam pana Alexandra Fincha:

– Czy z niczego się panu nie zwierzała? Nie ma pan pomysłu, dokąd się mogła udać?

– Nie mam o niczym najmniejszego pojęcia – oznajmił młody człowiek, ustawivszy buty w równym szeregu w poprzek blatu – myślę jednak, że wyszła z domu frontowymi drzwiami i sama przystawiła do okna drabinę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W drodze powrotnej do stacji St. Pancras wstąpiłam do księgarni.

– *Das Kapital* Karola Marksa – rzuciłam w stronę zażywnego jegomościa za kontuarem.

Nawet nie drgnął. Wydawać by się mogło, że wzorem nieszczęśników z czarodziejskich baśni zamienił się w kamienny posąg, wyjąwszy zuchwę, która kilkakrotnie opadła i zamknęła się z powrotem.

– Zapewniam pana – oznajmiłam – że zapoznam się pobieżnie z treścią, a następnie owinę tom w sukno i będę używać jako blokady drzwi.

Wykrzywił z dezaprobatą wargi, po czym wycedził:

– W przekładzie na angielski, panienko, czy w niemieckim oryginale?

– W wersji angielskiej, rzecz jasna. – Czy wyglądałam jak uczona? A może mówiłam jak uczona? Ojej, muszę naprawdę uważać na swój akcent, który sprawił, że Alexander Finch mnie wydrwił.

Nie miałam pojęcia, co mam sądzić o tym człowieku. Niewiele zdołałam wyczytać z jego mimiki, jednak to, jak się zachowywał, kilka razy wprawiło mnie w konsternację. Nie było to niegrzeczne, jednak kryło się w tym coś osobliwego. Mimo to poczułam do niego sympatię, kiedy beształ go rozwścieczony ojciec; podziwiałam jego stoicki spokój i byłam mu wdzięczna, że zdobył się wobec mnie na szczerość. Przemówiła też do mnie teoria, że lady Cecily wyszła z domu frontowymi drzwiami i sama postawiła pod oknem drabinę, żeby wprowadzić rodzinę w błąd. Ja też bym się uciekła do podobnego fortelu.

Tak czy inaczej, wychodząc z księgarni z ciężkim tomiskiem pod pachą, czułam, że niewiele się tego dnia dowiedziałam.

Kiedy wieczorem przerzuciłam w zaciszu swojego pokoju karty *Kapitału*,

poczułam wręcz – mimo iż wreszcie poznałam znaczenie słowa „proletariat”, oznaczającego ludzi niższego stanu – że wiem mniej niż przedtem. Czy po lekturze tej książki lady Cecily nawróciła się na marksizm? Zagłębiałam się z prawdziwym zainteresowaniem w dzieła Hobbesa, Darwina, ba, nawet w *Martyrdom of Man* Winwooda Reade’a, ale Marks... Marks po prostu podziałał na mnie usypiająco.

I to całkiem skutecznie. Przebudziłam się następnego ranka, zastanawiając się, jaki intelekt musi posiadać lady Cecily, by delektować się podobnie niedorzecznymi bredniami.

I co czytywał, zważywszy na kilka jego szokujących wypowiedzi, Alexander Finch?

A jeśli lady Cecily rzeczywiście opuściła rezydencję z własnej nieprzymuszonej woli, to w co była ubrana, dokąd się udała i w jakim celu?

Jednak wszystkie te wątpliwości wyparowały mi nagle z głowy, nie doczekawszy się rozwiązania, kiedy – podczas przeglądania porannej prasy przy herbacie – wypatrzyłam w dziale ogłoszeń drobnych „Pall Mall Gazette” co następuje:

245255 444135453111342415 3411 4413233514111323
335156155133 124355455525443124152235 14562444 35 412411451525 3311453111

Sięgnęłam po czystą kartkę i ołówek, zapisałam alfabet w rzędkach po pięć liter i zabrałam się do pracy.

245255. Drugi wers, czwarta litera: I. Piąty wers, druga litera: V. Piąty wers, piąta litera: Y.

IVY.

Wiadomość do mnie!

Gorączkowo przystąpiłam do dalszej pracy. Po odszyfrowaniu ujawnił się prawdziwy tekst wiadomości:

IVY SPOTKANIE NA SCHODACH MUZEUM BRYTYJSKIEGO DZIŚ O PIĄTEJ
MATKA.

Och.

Och!

Tak szybko, tak niespodziewanie, tak po prostu znów zobaczę swoją mamę? Poczułam, że serce na chwilę odmówiło mi posłuszeństwa.

Ale kiedy tylko przystąpiło do pracy, bijąc mocno i szybko, jak maszerujący z pułkiem doboż, spowiła mnie gęsta jak zupa mgła sprzecznych emocji. Kochałam mamę. Nienawidziłam. Porzuciła mnie. Ocaliła. Nie kochała mnie. Ale obdarowała mnie wolnością, przekazując mi całą masę pieniędzy i wychowując mnie w taki a nie inny sposób. Jej uparta niezależność, niezłomność w walce o prawa kobiet...

Chwileczkę.

IVY SPOTKANIE NA SCHODACH MUZEUM BRYTYJSKIEGO DZIŚ O PIĄTEJ
MATKA.

Muzeum Brytyjskie? Ta zniechęcona instytucja? Mama miała ją w najgłębszej pogardzie za ciągłe szykanowanie kobiet naukowców. Schody Muzeum Brytyjskiego były chyba ostatnim miejscem, jakie mogłaby wybrać na miejsce spotkania.

I ta myśl zasiała w moim umyśle ziarno wątpliwości. Poczułam, że niezależnie od sprzecznych emocji, *chcę* się spotkać z matką. Pragnę z całej duszy. Rozpaczliwie próbowałam sobie wmówić, że mama wybrała schody muzeum, ponieważ było to idealne miejsce na spotkanie, w samym środku bardzo przyzwoitej części miasta.

Jednocześnie usłyszałam w myślach jej zapamiętany głos, przywołujący mnie do porządku: *Enolu, myśl*.

Myślałam.

I przemyślenia te nie przyniosły wybawienia z pełnej rozterek matni. Wiadomość nie nawiązywała w najmniejszym stopniu do naszej kwiatowej symboliki. Mama nie użyłaby słowa „spotkanie”. Wolałaby wspomnieć aluzyjnie o kurzyślądzie albo jemiole, odwiecznych symbolach spotkania we

dwoje. Nie napisałaby „matka”. Podpisałaby się „Twoja chryzantema”, czyli „mama”.

Nieubłaganie nasuwający się wniosek: to nie ona podała tę wiadomość do prasy.

A jednak cały czas chciałam wierzyć, że to *musiała być* ona. No bo kto inny miałby...

Oj, nie.

Wiedziałam kto.

I na samą myśl o nim, o moim nazbyt przenikliwym bracie, musiałam powiedzieć coś wyjątkowo nieprzyzwoitego:

– A niech to dunder świśnie!

Byłam wzburzona do tego stopnia, że omal nie straciłam przytomności umysłu. Musiałam skupić całą siłę woli na przywołanie rozumu do porządku, choć do tego stopnia, by móc przebiec wzrokiem po reszcie ogłoszeń. Na wypadek, gdyby było tam coś, co *mogło* pochodzić od mamy.

Oczywiście niczego takiego nie było. Jakże by inaczej, skoro poprzednie takie anonse pojawiały się dopiero w tydzień po moich. Nie miałam wprawdzie pojęcia, gdzie spędzają zimę Cyganie, jednak wyobrażałam sobie mamę na głębokim odludziu, do którego prasa dociera z opóźnieniem. Do tego trzeba dodać czas potrzebny na rozszyfrowanie mojej tajnej wiadomości, na sprawdzenie rozkładu kursowania pociągów i dojazd na pocztę, żeby nadać odpowiedź.

A skoro nie mogła się dostać do Londynu inaczej niż koleją, czy nie wolałaby się ze mną umówić na którymś z dworców lub gdzieś w jego pobliżu? Oczywiście, że by wolała.

Muzeum Brytyjskie, dobre sobie. Wiedziałam, że stał za tym Sherlock.

Wysnucie hipotezy, jak mogło do tego dojść, opłacałam kilkoma godzinami gorączkowych rozmyślań i w konsekwencji bólem głowy. Potem jednak podjęłam decyzję.

Na szczęście sumienna sekretarka doktora Ragostina zachowała adres doktora Watsona.

Wczesnym popołudniem dorożka zawiozła mnie pod gabinet zacnego lekarza. Wsiadłam przed skromnym budynkiem, w którym mieszkał i prowadził praktykę, na jednej z bocznych ulic północnozachodniego Londynu.

Lokajczyk, z którym Joddy mógłby śmiało konkurować, jeśli chodzi o maniery, zaprowadził mnie do niedużej, nieco obskurnej poczekalni, poinformowawszy, że pan doktor jest chwilowo nieobecny, jednakże powinien rychło wrócić, ponieważ przyjmuje od trzynastej. Narożny skrzynkowy zegar wskazywał za kwadrans pierwszą. Odparłam, że chętnie poczekam.

Kiedy zegar wybił pełną godzinę, w poczekalni zjawiała się zażywna starsza pani z wielkim wolem oraz lekko utykający portier w liberii. Niemniej weszłam do gabinetu pana doktora jako pierwsza.

Podobnie jak poczekalnia, pomieszczenie było nieduże. Zasłony i tapicerka były już tylko wspomnieniem dawnej świetności.

– Panna... mm... – Pan doktor o pocziwym wejrzeniu podniósł się zza biurka, by mnie powitać. Rozpoznał mnie, ale nie mógł skojarzyć, skąd się znamy.

– Panna Meshle, sekretarka doktora Ragostina.

– Panna Meshle! – Uśmiech rozjaśnił jego twarz o dość pospolitych rysach, przydając jej niezwykłego wprost uroku. – Proszę usiąść. – Wskazał mi krzesło dla pacjentów i ponownie zasiadł za biurkiem. – Jakiemuż to zrządzeniu losu zawdzięczam tę nieoczekiwaną przyjemność?

Był tak otwarty i przyjacielski, że aż chyba spiekłam raczka. Och, mieć takiego ojca...

Do tej pory – mimo że często nachodziły mnie myśli o tym, jak przyjemnie byłoby przyjaźnić się z kimś zwyczajnym albo tworzyć rodzinę, która nie składałaby się z rozproszonych po świecie dziwaków, tylko z osób spędzających wieczory na wspólnym czytaniu w bawialni – nie docierało do mnie wyraźnie, jak bardzo pragnęłabym mieć tatę. Mój rodzony ojciec zgasł, kiedy miałam cztery lata, i aż do wizyty u Watsona niespecjalnie za nim

tęskniłam.

I nagle odczułam jego brak.

– Ja... mm... obawiam się... to znaczy, nie mogę panu zabierać zbyt wiele czasu – odpowiedziałam doktorowi Watsonowi, osłabiona nieco zaskoczeniem, wywołanym niespodziewaną erupcją uczuć. – Doktor Ragostin miał... mm... okazję zapoznać się z pańską sprawą i... mm... przysłał mnie do pana z pytaniem.

– Proszę pytać. Cieszy mnie to, że się nią zainteresował. Nie dalej jak wczoraj mówiłem sobie, że czas już wdepnąć do jego biura, żeby zasięgnąć języka... i nagle zjawia się pani. Proszę mówić dalej.

– Doktor Ragostin chciałby wiedzieć, czy pan Sherlock Holmes nie przeglądał ostatnio szyfrowanych wiadomości zamieszczanych w dziale ogłoszeń „Pall Mall Gazette”.

– Holmes zawsze czyta rubryki ogłoszeń i porad osobistych we wszystkich większych periodykach – odparł Watson.

– No tak, ale może zainteresowały go jakieś konkretne szyfry? Może odwiedzając go, zauważył pan coś niezwykłego na jego biurku?

– A i owszem, jednak nie ma to żadnego związku z prasą. Próbował coś odczytać z uroczej rękopiśmiennej książeczki zdobionej akwarelowymi wizerunkami kwiatów. Zdziwiłem się, że Holmes poświęca uwagę takiej błahostce. To raczej coś ze sfery damskich zajęć. Holmes warknął na mnie, kiedy podszedłem, żeby przyjrzeć się temu z bliska.

Było tak, jak się obawiałam. Ogarnęła mnie słabość, więc przymknęłam oczy.

– Panno Meshle? Wiem, że nie przyszła tu pani po poradę lekarską, ale czy pani aby nie jest chora?

– Nie, ale dokucza mi straszny ból głowy, doktorze.

W istocie, ból głowy. Owo „damskie zajęcie” to z pewnością *moja* książeczka szyfrów, stworzona przez mamę i przekazana mi w pamiętnym dniu moich czternastych urodzin, w celu poinformowania mnie, gdzie została ukryta zgromadzona fortuna. W istocie, była to najcenniejsza

pamiątka po mojej rodzicielce. Ale pierwszego dnia po moim przyjeździe do Londynu została mi skradziona przez rzezimieszka, kiedy leżałam nieprzytomna, więc uznałam, że przepadła na zawsze.

Teraz jednak mogę się domyślać, co zaszło. Inspektor Lestrade ze Scotland Yardu po aresztowaniu Nożownika przeszukał zapewne kabinę łodzi. Natknął się na zdobiony kwiatuśkami tomik i zaintrygowany *takim* znaleziskiem w *takim* miejscu, pokazał je swemu koledze, Sherlockowi Holmesowi. Mogło się także zdarzyć, że wielki detektyw stawił się tam osobiście i natrafił na rzeczony przedmiot.

I rozpoznał charakter pisma swojej matki.

Więc teraz już wiadomo, skąd bracia mieli informacje o mojej niezależności finansowej. Po odszyfrowaniu maminych zapisków Sherlock przeprowadził małe dochodzenie w naszym rodzinnym Ferndell Hall.

W tym samym czasie musiał też zwrócić uwagę na zaszyfrowane ogłoszenia w dziale ogłoszeń „Pall Mall Gazette”, pełne wzmianek o „chryzantemach” i „bluszczu”. Z całą pewnością udało mu się je odczytać. Czyli na swój sposób podsłuchiwał moje rozmowy z mamą.

I zamieścił własne ogłoszenie jako przynętę, na którą chciał mnie schwytać.

– Panno Meshle – w głosie doktora Watsona brzmiało autentyczne przejęcie – bardzo źle pani wygląda.

Po zmierzeniu mi tętna i wypytaniu, co jadłam na lunch, zacny pan doktor podał mi brom i kazał mi się położyć na kozetce w swoim gabinecie zabiegowym, a sam zajął się innymi pacjentami. Minęła chyba jakaś godzina, zanim wsadził głowę do pomieszczenia, by zapytać:

– Czy już lepiej?

Zrzuciwszy dzianinową kapek, którą przykrył dla przyzwoitości moją ubraną od stóp do głów osobę, usiadłam, żeby mu odpowiedzieć:

– O wiele lepiej. Dziękuję, panie doktorze. – I była to prawda. Godzina wypoczynku pozwoliła mi przywołać w pamięci oblicze matki i jej ulubione

dictum^[11]: „Doskonale sobie poradzisz sama, Enolu”– co mnie w efekcie uspokoiło.

I pomogło podjąć decyzję.

Oraz ustalić plan działania.

Do którego musiałam być przygotowana przed piątą, a minęła już trzecia.

Doktor Watson odmówił przyjęcia zapłaty za konsultację medyczną. Dziękując mu wylewnie, opuściłam jego siedzibę i pospieszyłam na znajdujący się za rogiem postój dorożek.

– Baker Street – rzuciłam woźnicy.

Usadowiwszy się we wnętrzu powozu, zasunęłam rolety. A następnie, kiedy koła zaczęły turkotać po londyńskim bruku, usunęłam z siebie możliwie jak najwięcej elementów składających się na Ivy Meshle. Zdjęłam słomiany kapelusik, z którym z konieczności musiałam się pożegnać, upychając go pod siedziskiem. Odpięłam jasne, sztuczne loczki, które przykrywały mi czoło i schowałam je do kieszeni. Podobnie postąpiłam ze swoim „kokiem”. Zdjęłam szklane zielone kolczyki, naszyjniczek i inne błyskotki. Spod gorsetu, służącego mi za magazyn wielu użytecznych przedmiotów, wysupłałam chustkę i zawiązałam ją na głowie. Zapięłam pod samą szyję płaszcz, żeby zasłonić większość sukni. Pozostawiłam jednak na miejscu wypełniacze w nosie i pod policzkami, zapewniające mojej twarzy pełniejszy wygląd.

Odsunęłam z powrotem rolety. Kiedy dorożka przejeżdżała obok numeru 221, z ciekawością przyjrzałam się widzianemu po raz pierwszy lokum swego brata. Kolejne drzwi z numerem w szeregu podobnych sklepów i rezydencji. Całkiem zwyczajne miejsce dla tak niezwyklej osobistości, jaką był Sherlock Holmes.

Zaczekałam jednak, aż minie następne skrzyżowanie, zanim zastukałam w sufit, dając dorożkarzowi znak, by się zatrzymał.

Wysiadłszy, przeszłam w stronę numeru 221, idąc drugą stroną ulicy i licząc na to, że nie będę musiała długo stać na chłodzie. I zastanawiając się, gdzie przystanąć, żeby nie rzucać się w oczy. Ponieważ dzień był mroźny, na

chodnikach było mniej przechodniów niż zazwyczaj. Sprzedawcy gazet nie dawali jednak za wygraną, chcąc zarobić na życie:

– Straszliwe morderstwo na Whitechapel! Czytajcie, czytajcie! – Kupcy rybni pchali swoje straganiki na kółkach: – Świeżutkie śledzie, żywe ostrygi, ślimaki morskie! – A otulona w płaszcz przeciwdeszczowy uboga kobieta zachwalała towar ze swego koszyka: – Pomarańcze, sznurowadła, drobiazgi!

Przystanęłam, żeby zobaczyć, co sprzedaje. Poza wyżej wzmiankowanymi pomarańczami, które były już raczej „brązowańczami”, oraz sznurówkami, miała też wycieraczki do piór, pozszywane ze skrawków materiału. Nie przycięto ich jednak w tradycyjne kwadraciki, miały kształt fantazyjnych kwiatów i motyli.

– Fikuśne – zauważyłam, biorąc jedną z nich do ręki. – Sama je pani szyje?

– Tak, pani, chociaż wzrok tracę przy tej robocie.

Biedna, z pewnością pracowała nad nimi przy świecy albo przy ogniu, może nawet na zewnątrz, w blasku ulicznej latarni.

Trzymając w ręku wycieraczkę w kształcie ptaszka z niebieskiej bawełny, spytałam:

– Ile już ich pani sprzedała?

– Nie tyle, ile bym chciała, pani. – Jej spękane usta drżały lekko; obie trzęsłyśmy się na mrozie. – Bo z eleganckich ulic, gdzie ludziom nie żal byłoby wydać paru pensów, gonią mnie policjanci.

– Więc pani tu gdzieś mieszka?

– Nie, pani. Jestem z Southwark, ale tam nikt by tego nie kupował.

Ja myślę. Southwark, po drugiej stronie Tamizy, zagłębienie podejrzanych teatrzyków, hazardu, walk niedźwiedzi i tym podobnych rozrywek.

Kiedy tam wróci, żaden z mieszkańców Baker Street już jej więcej nie zobaczy.

Powiedziałam:

– Dam pani gwineę za cały towar, włącznie z koszykiem. I zamienimy się płaszczami.

Wybałuszyła na mnie zdumione oczy, ale była na tyle sprytna, żeby nie zadawać zbędnych pytań. Po chwili podreptała radośnie, otulona moim płaszczem, ściskając w dłoni okazałą sumkę, ja natomiast zaczęłam się przechadzać po ulicy, odziana w jej płaszcz przeciwdeszczowy, zawiesiwszy na ramieniu koszyk, wołając z cockneyowskim akcentem^[12]:

– Pomarańcze! Sznurwadła! Drobiazgi!

Udany podstęp i, jak się okazało niezbędny, ponieważ minęły bite trzy kwadranse (udało mi się sprzedać dwie wycieraczki!), zanim w drzwiach domu numer 221 ukazał się Sherlock Holmes.

Oczywiście nie w ubraniu dżentelmena. Łudził się, że mnie schwyta, więc przebrał się na tyle sprytnie, żebym go nie zauważyła albo nie rozpoznała, zanim będzie za późno. Miał na sobie ubiór zwykłego robotnika: płaszcz ze skórzanym pasem, flanelową koszulę i płócienny kaszkiet, spod którego wystawały mu zaczesane na czoło włosy.

Ruszył spiesznie w kierunku Muzeum Brytyjskiego, nie rzuciwszy na mnie okiem. Nie zrobił nic, by zmienić rysy twarzy, więc z ukłuciem w sercu stwierdziłam, że jego jastrzębia twarz w istocie wygląda blado i mizernie, tak jak to opisał jego przyjaciel Watson.

Zamilkłam, czując w duszy jakiś dziwny ból, wywołany widokiem przechodzącego obok brata.

Wciągnęłam w płuca powietrze i wypuściłam je z powrotem.

Po czym ruszyłam dalej.

Mijając sklep warzywny, odstawiłam kosz na ziemię i wsunęłam go nogą do pustej skrzyni, na której wyłożono jabłka. A potem kupiłam plasterek cebuli.

Idąc w stronę budynku numer 221, zawinęłam go w chusteczkę do nosa i uniosłam do oczu, które od razu napełniły się łzami.

Świetnie.

Jak zawsze o tej ponurej porze roku ulica tonęła już w półmroku. Brat rozmyślnie wyznaczył mi tę godzinę na spotkanie. Kiedy dotrze na schody muzeum, zapadnie już ciemność, a tam...

Mamo, a jeśli jestem w błędzie? A jeśli naprawdę tam na mnie czekasz?
Cebula okazała się zbędna, ponieważ na tę myśl zalałam się łzami.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Drzwi otworzyła mi starsza pani w prostej skromnej bluzce i spódnicy. Spojrzała zaskoczona, acz bez niechęci, na płaczącą na progu dziewczynę.

– Czy... pan Sherlock Holmes... jest u siebie? – wyjąkałam, szlochając. Zapomniałam o dopasowaniu akcentu („Pan ‘Olmes”) do wyglądu, ale być może całą jej uwagę pochłonął mój płacz.

– Moje biedactwo, dopiero co wyszedł. – Siwowłosa pani Hudson otuliła się mocniej szalem. Okazała się poczciwą duszą. Znałam gospodynię brata z pism doktora Watsona, jednak pamiętałam o tym, by nie zwracać się do niej po nazwisku.

– Ale... ale... – zabiadoliłam – ja *muszę* się z nim dziś wieczór spotkać!

– Nie wiem, o której wróci do domu, dziecko.

– Wszystko mi jedno. Mam tak wielki kłopot... Poczekam.

– Ale może wrócić i za kilka godzin. – Drżąc z zimna mimo ciepłego szala na ramionach, cofnęła się w głąb sieni, by zamknąć drzwi. – Proszę przyjść później.

– A jednak *zaczekam* – jęknęłam i osunęłam się na lodowaty próg.

– Drogie dziecko, nie możesz czekać *tutaj*. Zamarzniesz. Wejdz do środka.

I stało się to, na co liczyłam: zaprowadziła mnie na górę do saloniku mojego brata.

– Ojejku... – Zapominając o ostrożności, zamruczałam na widok panującego tam bałaganu. Jeszcze nigdy nie byłam w domu nieżonatego mężczyzny. Wprawdzie wiedziałam z opisów doktora Watsona, że zastanę tu tytoń (i to trzymany w czubku perskiego papucia!), skrzypce (instrument i smyczek leżały odłożone beztrąsco na krześle), listy przybite scyzorykiem do półki nad kominkiem, ślady kul w ścianach i tak dalej, nie byłam jednak

przygotowana na to, czego tu nie zastałam. Ani jednego kwiatka. Żadnych koronkowych poduszek. Ani śladu falbaniastych pokrowców na krzesłach.

Jak widać, bycie mężczyzną polega na niemożności bycia kobietą.

Pani Hudson zacmokała z niesmakiem na widok walających się wszędzie książek i papierzysek.

– Pan Holmes jest schludny, jeśli chodzi o ubiór i obyczaje, ale porządku wokół siebie utrzymać nie potrafi – próbowała go usprawiedliwić. – To prawdziwy dżentelmen. Jakiegokolwiek ma pani kłopoty, z pewnością postara się pani pomóc, niezależnie od tego, czy stać panią na zapłatę, czy nie.

Na te słowa ponownie napłynęły mi do oczu łzy. Mój brat był przebiegły, jednak bardzo chciałam wierzyć w jego dobroć.

– Może odda mi pani okrycie? – Sięgnęła, by zdjąć mi z ramion płaszcz.

– Nie! – Owinęłam się nim szczelnie, by zasłonić zbyt strojną suknię panny Meshle. – Nie – powtórzyłam ciszej. – Dziękuję. Zimno mi.

– No to musi pani usiąść. – Pocziwa starsza pani zgarnęła gazety z siedziska fotelu przy kominku. – Przyniosę herbatki. – Wybiegła z pokoju.

Ledwie zamknęła za sobą drzwi, skoczyłam na równe nogi i w miarę bezszelestnie podeszłam do biurka brata, mrugając intensywnie, by oczy przestały mi łzawić. Zamglonym wzrokiem omiotłam stertę leżących na blacie papierów i nie znalazłszy tego, czego szukałam, odłożyłam je na bok.

Na biurku została jedynie lampa i przybory do pisania.

Obiekt moich poszukiwań mógł się znajdować wszędzie, czułam jednak, że brat, mimo że tak bezceremonialnie traktował swoje skrzypce, zadbał o bezpieczeństwo tak cennej poszlaki. Sięgnęłam więc do szuflady.

Zamknięta na klucz.

Włożyłam rękę pod płaszcz, by wyciągnąć spod niego broszkę z przyspawanym sztyletem. Wsunęłam końcówkę cieniutkiego ostrza w dziurkę od klucza i zaczęłam manipulować przy mechanizmie.

Przyznaję, że miałam spore doświadczenie w tej dziedzinie. Każde pomysłowe dziecko, przed którym zamyka się na klucz spizarnie i cukiernice, ma wprawę w otwieraniu zamków.

Ten też po chwili ustąpił. Sztylet wrócił na swoje miejsce. Wyciągnęłam szufladę.

Spodziewałam się zobaczyć stalówki, arkusze bibuły, drewnianą linijkę i tym podobne przybory.

Nie znalazłam tam nic z tych rzeczy.

Zawartość szuflady była w pewnym sensie ilustracją szczególnego trybu życia mego brata. Zauważyłam tam rewolwer, pudełko amunicji, leżącą na boku buteleczkę z przezroczystym płynem, strzykawkę z igłą (taką używaną przez lekarzy) w otwartym, wyściełanym atłasem pudełku, oraz oprawioną w misterną ramkę fotografię pięknej kobiety. Na pewno obudzi we mnie ciekawość, kiedy będę miała czas się nad tym zastanowić.

W tamtej chwili nie dostrzegłam jednak tych przedmiotów, które opisuję teraz z pamięci, ponieważ całą moją uwagę pochłonęło coś, co spoczywało na nich.

Chwyciłam ją drżącymi palcami: bezcenną, zdobioną malunkami, rękopiśmienną książeczkę z zaszyfrowanymi tekstami, przygotowaną dla mnie przez matkę. Widząc swój utracony skarb, ponownie zalałam się łzami. Ale nie było czasu na obsypywanie go pocałunkami czy tulenie do piersi, bo na schodach rozległ się odgłos kroków pani Hudson. Odrzuciłam połę płaszcza i upchnęłam książeczkę w czeluściach gorsetu. Zamknąwszy szufladę, dałam trzy lekkie, szybkie susy w kierunku fotela i w chwili, gdy ponownie w nim zasiadłam, owinąwszy się płaszczem, do saloniku weszła pani Hudson, niosąc tacę.

– Niech się pani napije, drogie dziecko. – Napęłniła filiżankę życiodajnym płynem, a potem, ku memu niezadowoleniu, nałała herbaty także i sobie, po czym przysiadła obok, żeby mi dotrzymać towarzystwa.

– Wciąż tak pani zimno, kochanie? Może jednak zdejmie pani okrycie, żeby było pani wygodniej pić.

Potrząsnęłam głową, bez najmniejszego trudu grając rolę niezbornej, wręcz rozhisteryzowanej panny w opałach (bo w sumie w nich byłam), myśląc sobie przy tym: *Tak dalej nie można*. A jeśli przeszarżowałam

z aktorstwem? Może pełna współczucia pani Hudson postanowiła mieć nade mną pieczę aż do powrotu mego brata?

– Poczęstuje się pani ciastem orzechowym? – Wyciągnęła w moją stronę talerzyk.

Ponownie potrząsnęłam głową i powiedziałam drżącym głosem:

– Nie, dziękuję. Ale, pani... – W samą porę ugryzłam się w język.

– Hudson, kochanie.

– Pani Hudson, chciałabym spytać... – Trudno się zarumienić na zawołanie, jednak niepotrzebnie się martwiłam, bo będąc osobą nieśmiałą, i tak zalałam się pąsem. – Odezwała się natura – wyjąkałam. – Czy mogłabym może...

– Oczywiście, biedactwo ty moje, oczywiście. – Poczciwa dusza podniosła się z fotela. – Może pani chwileczkę poczekać? Muszę sprawdzić, czy... ee... wszystko jest w porządku.

Wiedziałam, że splukiwany wodą ustęp znajduje się w najdalszym końcu budynku na parterze, tuż przy tylnym wyjściu, ponieważ ze znajdujących się w obrębie domu „wygódek” unosił się zawsze fetor ścieków, niezbyt pożądanym w kuchni czy w salonie. Przed wprowadzeniem tam gościa, pani Hudson musiała sprawdzić, jak się sprawy mają, rozpylić wonności, nalać ciepłej wody do dzbanka i powiesić czysty ręcznik.

Kiedy tylko ucichły jej kroki na schodach, wstałam, podeszłam na paluszkach do drzwi i bezszelestnie je uchylłam. Nasłuchiwałam przez chwilę i upewniwszy się, że nic mi nie grozi, wyszłam, zostawiwszy uchylone drzwi, by nie ryzykować hałasu przy ich zamykaniu. Cichutko zeszałam na parter i wymknęłam się na ulicę, niezauważona przez panią Hudson, zajętą krzątaniem przed spełnieniem mojej żenującej prośby. Możliwe, że usłyszała trzask zamykających się za mną drzwi. Ale od razu rzuciłam się do biegu, a postój dorożek był tuż za rogiem.

Woźnica skrzywił się na widok tak ubogo odzianej pasażerki. Rzuciłam mu suwerena i wskoczyłam do krytej dorożki.

– Muzeum Brytyjskie!

Złota moneta rozwiąła wszelkie wątpliwości czy opory i dryndziarz natychmiast ruszył w drogę.

Naciągnęłam kaptur swego nieprzemakalnego okrycia na głowę, by ukryć twarz, niecierpliwym gestem otarłam dłońmi zapłakane oczy (bo chusteczka z zawartością w postaci cebuli gdzieś mi się zapodziała). Dość mazgajstwa, powiedziałam sobie stanowczo. Przedsięwzięłam właśnie coś ryzykownego, ba, szaleńczego, a to wymagało pełnej przytomności umysłu.

Dorożka zatrzymała się przy schodach wiodących do muzeum.

Wolałam nie wysiadać, więc ograniczyłam się do obserwacji z ciemnego wnętrza pojazdu. Bez trudu wypatrzyłam swojego brata, opartego o jedną z neoklasycznych kolumn. Stał i palił od niechcienia papierosa, udając typowego londyńskiego próżniaka. W każdej chwili mógł go zaczepić policjant, nakazując opuścić to miejsce. Oczywiście nie było ani śladu mamy. Gdyby jakimś cudem wiadomość *faktycznie* wyszła od niej i Sherlock był jedynie jej nieuprawnionym odbiorcą, a nie autorem, gdyby mama się pojawiła, mój brat nie stałby teraz tak spokojnie.

Westchnęłam z ulgą i uśmiechnęłam się. Więc od początku miałam rację. Mama zaszła się bezpiecznie na wsi, a Sherlock usiłował przechytrzyć swoją bezecną młodszą siostrzyczkę. Kiedy wróci do domu, przekona się, kto tu kogo przechytrzył.

Dorożkarz zsiadł z kozła i zapukał do drzwi.

– Panienko?

– Proszę jechać dalej – powiedziałam.

Przez całą resztę wieczoru, grzejąc się przy swoim skromniutkim kominku, hołubiłam w dłoniach odzyskaną zgubę. Cóż za rozkosz, móc znowu oglądać pierwszą stronę obrzeżoną delikatnym malunkiem złotych i rdzawych chryzantem, i widniejący pośrodku napis: ALO NEP ZSO AKU AZJ IOM CIM YRH NAZ MET IMA. Ale na znajomej karcie pojawił się nowy element: Sherlock dopisał ołówkiem rozwiązanie: ENOLA POSZUKAJ ZA MOIMI CHRYZANTEMAMI.

Na następnej stronie, ozdobionej akwarelowymi zawilcami, zapisał drukowanymi literami: ZAJRZYJ DO MOICH ANEMONÓW ENOLU. I tak dalej, i dalej. Rozwiązał zagadkę bluszczu oplatającego sztachety (ENOLA ZAJRZYJ DO GAŁEK MEGO ŁÓŻKA); okazało się, że odczytał wszystkie teksty, łącznie z tymi, których nie zdołałam odcyfrować. Na stronie z bratkami widniał napis: NIECH SPOKÓJ DUCHA BĘDZIE TWÓJ ENOLU ZAJRZYJ W MOJE LUSTRO. Ze ściśniętym sercem zaczęłam się zastanawiać, które z lusterek miała na myśli i co mój brat znalazł pod jego tylną płytą. Może nie tylko pokażą ilość gotówki? Może liścik od mamy ze słowami pożegnania, z wyrazami żalu albo troski, albo nawet...

Nie dokończyłam w myśli zdania: „...miłości”. Mama miała ważniejsze sprawy na głowie. Była kobietą z charakterem, intelektualistką, człowiekiem idei. Sufrażystką, niezmordowaną w swoim zaangażowaniu w walkę o prawa płci pięknej. Wolnomyslicielką. Artystką.

I to bardzo uzdolnioną, sądząc po oddanych z tak wielkim uczuciem, czy raczej – żeby użyć innego słowa – z tak wielkim kunsztem wizerunkach kwiatów, zdobiących trzymaną przeze mnie książeczkę.

Podziwiając dzieło rąk naszej matki, zaczęłam baczniej się przyglądać notatkom brata. Poczynił je, ledwo dotykając papieru ołówkiem, więc mogłabym je z łatwością wygumkować, przywracając dziełko do stanu, w jakim otrzymałam je od mamy. Ale ku swojemu zaskoczeniu doszłam do wniosku, że pragnę zachować także i dopiski Sherlocka. Chciałam mieć coś, co jest związane z moim bratem, niechby nawet te drobne i wyraźne literki widniejące pod artystycznymi ozdobnikami autorstwa mamy.

Charakter pisma jest moim zdaniem kopalnią wiedzy o człowieku; oddaje to, co dana osoba chce pokazać światu, jak również to, co pragnie przed nim ukryć. Zawsze widziałam w bracie przede wszystkim wielkiego detektywa, człowieka, którego cechuje przenikliwość i stanowczość, jednak pisał drobniejszymi literami niż mama. Czyli sam nie uważał się za kogoś aż tak ważnego. Może nawet był na swój sposób odrobinę nieśmiały, jak ja sama.

Ale i kierował się bezwzględną logiką. Pełne zawijasów pismo mojej mamy można było przypisać artystycznemu usposobieniu, oddawało jednak także,

jak sędzę, jej aspiracje, idealizm i marzenia. W drukowanych literach mojego brata nie było miejsca na marzenia. Świadczyły o przygnębiającym wręcz racjonalizmie godnym naukowca.

A jednak – zwróciłam sama sobie uwagę – w innych okolicznościach, choćby w liście do przyjaciela, pisanym ciągłym pismem, nie drukiem, można by dostrzec więcej serca. Bywa przecież, że ktoś ma dwa zupełnie różne charaktery pisma. Weźmy taką lady Cecily.

No, może nie jest to najlepszy przykład. Jej dwa charaktery pisma za bardzo się od siebie różniły. Z jednej strony idealnie skromne, ułożone, grzeczne litery notatek i listów, z drugiej duże, niezgrabne kulfony kreślone jakby dziecięcą...

Ręką.

I nagle, kiedy tak leżałam, na wpół drzemiąc, w ciepłe ognia z kominka, daleka od planowania jakichkolwiek przedsięwzięć czy poszukiwania zaginionych, w moich myślach zamajaczył sekretarzyk lady Cecily. Jakby mózg wsunął do latarni czarnoksiężskiej szklane przeźrocze i wyświetlił widniejący na nim obraz. Zobaczyłam urocze, wykładane jadeitem przybory do pisania. Ustawione z lewej strony.

I przypomniała mi się aż nazbyt wierna służąca Lily, przesuwająca kałamarz, pióro i całą resztę na prawo.

Doznałam olśnienia, które wyrwało mnie raptownie z półsnu. Wyprostowałam się i rozejrzałam wokół.

Na mojej toaletce leżała skromniutka szczotka do włosów w towarzystwie grzebienia, słoiczka kremu do rąk i innych drobiazgów. Wszystko po prawej stronie, ponieważ jestem osobą praworęczną.

A gdzie leżały oprawne w srebro przybory toaletowe lady Cecily?

– A niech mnie – wyszeptałam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wrzątek, panno Meshle!

Wyrwana z trwającego kilka godzin snu przez radosny okrzyk gospodyni, jęknęłam głośno: moje triumfalne myśli o przechytrzeniu własnego brata rozwiały się przez noc, ustępując przerażającej wizji ewentualnych konsekwencji.

– Panno Meshle, obudziła się pani? – A niech diabli porwą tę głuchą jak pień babę. Na szczęście nie mogła usłyszeć tej mojej mało cywilizowanej odpowiedzi.

Nie miałam ochoty wstawać ani iść do pracy. I w sumie mogłabym nadal leżeć w łóżku, jako że panna Meshle wynegocjowała ze swoim chlebodawcą bardzo elastyczne warunki zatrudnienia. Nie mogłam jednak przespać poranka we własnym pokoju, nie budząc ciekawości właścicielki domu.

– Panno Meshle! – Pani Tupper załomotała do drzwi.

– Bogowie! – zamruczałam gniewnie, po czym odkrzyknęłam: – Nie śpię!

– Wstała już pani?

– Tak! Dziękuję, pani Tupper!

Oczywiście na śniadanie czekała na mnie kaszanka. Nienawidzę kaszanki. Z tego i paru innych przyczyn panna Meshle stawiała się w biurze niezbyt przychylnie nastawiona do świata.

Poprzedniego dnia (i chyba dobrze się stało) nie miałam czasu pomyśleć o moim bracie Sherlocku, ale teraz uświadomiłam sobie, jak wielkie stanowi dla mnie zagrożenie. Wie więcej niż powinien wiedzieć.

Napisał: IVY SPOTKANIE NA SCHODACH MUZEUM BRYTYJSKIEGO, czyli znał moje przybrane imię.

Miał świadomość – co potwierdził doktor Watson – że dysponuję

pieniężmi.

Nie dość, że wiedział, iż porozumiewamy się z mamą szyfrem, to jeszcze odczytał wszystkie nasze wiadomości.

A najgorsze było to, że w każdej chwili mógł uzyskać o wiele więcej informacji za sprawą swego najlepszego przyjaciela, wzmiankowanego wyżej doktora Watsona. Przypuśćmy, że mój brat przestał się boczyć na doktora Watsona i zaczął mu się zwierzać... A także, że Watson przyznał mu się, że chciał zasięgnąć rady doktora Ragostina... I w trakcie jednej zwykłej rozmowy Sherlock Holmes mógł nabrać podejrzeń co do niejakej Ivy Meshle.

– Cholera jasna! – mamrotałam, wchodząc do biura. – Cholera, szlag i dunder. Świat stanął na głowie. – Usiadłam przy kominku i zatrzasnęłam drzwi umysłu przed strachem, który czaił się jeszcze w moim rozdygotanym ciele. Sącząc herbatę, przeglądałam poranną prasę, pełną wstrząsających i przerażających doniesień. Tłum przeciwników szczepień z East Endu groził miejscowej pielęgniarce linczem. Kilka działaczek charytatywnej organizacji aresztowano na Holywell Street za upowszechnianie „pornograficznych” materiałów, traktujących o „środkach zapobiegawczych”, dotyczących rodzenia dzieci. W dzielnicy Knightsbridge doszło do wybuchu instalacji gazowej, w wyniku czego troje służących poniosło śmierć, a rodzina doznała szoku. Krążą pogłoski, że pracownicy doków biorą udział w tajnych mityngach o wywrotowym charakterze. Rolnictwo pogrąża się w zapaści na skutek napływu taniego zboża z Ameryki. *Et caetera.*

Ale wciąż nie było żadnych wieści od mamy.

Niech to wszystko licho porwie.

Jest zimno, wmawiałam sobie, dlatego drzę. Podczas lektury prasy wypaliła się większość opału w kominku. Zwinęłam gazety i cisnęłam w palenisko, a następnie w chwilowym podmuchu ciepła – i triumfu woli nad materią – przeszłam do biurka. Brat Sherlock może sobie iść do... do frenologa. W sprawie mamy nie mogę nic zdziałać. Ale skoro chcę być godna miana perdytorystki, czas się wziąć do roboty.

Chwyciwszy ołówek i kartkę z kupki papieru kancelaryjnego, naszkicowałam kilka portrecików uroczej lady Cecily. Na jednym z nich przystroiłam jej głowę bogato zdobionym kapeluszem z szerokim rondem, na innym kazałam wystąpić w przyplaszczonym chustką miękkim kapeluszu, na kolejnym zwieńczyłam fryzurę płaskim marynarskim kapeluszem ze słomy, na jeszcze innym ozdobiłam główkę maleńkim kapelusikiem z doczepionym zgodnie z najnowszą modą pękiem piór; naszkicowałam ją także w zwykłym szalu zarzuconym na głowę. Ogień znów dogasał, a chłód przenikał coraz bardziej do gabinetu; wstrząsały mną dreszcze, a zgrabiałe palce z trudem utrzymywały ołówek, jednak nie przestawałam rysować. Przedstawiłam lady Cecily z włosami upiętymi w koczek, bez żadnego nakrycia głowy, naszkicowałam ją z głową przewiazaną łachmanem, w czepku służącej, z wpiętym w tył głowy grzebieniem sterczącym jak ogon strzyżyka, z przepaską na głowie, wreszcie w welonie. Skończywszy z satysfakcją dzieło, sięgnęłam po sznur, by zadzwonić.

– Joddy – powiedziałam, kiedy zjawił się usłużny chłopak – będziesz łaskaw dorzucić do ognia?

Ochoczo wziął się do roboty. A ja wróciłam na fotel i wyciągnęłam zziębnięte dłonie ku płomieniom. Szkice zostawiłam na biurku, gdzie z pewnością je zobaczy, kiedy wróci z nowym zapasem węgla.

Obserwowałam go dyskretnie kątem oka. Rzucił okiem na rysunki, po czym nagle znieruchomiał. Mogłam już śmiało na niego spojrzeć, skupił bowiem całą swoją uwagę na szkicach.

Wstałam i stanęłam obok niego.

– Więc ją poznajesz?

Kiwnął głową, zapominając zupełnie o dobrych manierach.

Odczekałam, aż nieco ochłonie, by spytać:

– Kiedy ją widziałeś?

– Dokładnie nie pamiętam, panno Meshle.

– W zeszłym roku?

– Nie! Tydzień temu albo dwa.

– Na rogu ulicy? Z koszykiem?

– Tak.

– A w co była ubrana?

Wskazał na rysunek przedstawiający dziewczynę z głową przewiazaną łańchmanem.

– A... – Byłam tak zaskoczona, że zapomniałam o zadawaniu dalszych pytań. Zrobiło mi się słabo.

To, co nosimy na głowie, świadczy o naszej pozycji w społeczeństwie. Zupełnie jakbyśmy nosili na szyi afisz.

W tym przypadku afisz lady Cecily głosiłby: „rozpaczliwe ubóstwo”.

Upadła więc moja hipoteza o tym, że próbowała nieść pomoc londyńskim nędzaczom.

Zaczęłam się skłaniać ku temu, że *zasiliła* szeregi dotkniętych ubóstwem.

Kilka godzin później, narzuciwszy wzorzysty dolman na kosztowną, acz skromną, suknię wizytową z wełenki o barwie pruskiego błękitu, „pani Ragostin” zjawiała się po raz drugi pod okazałą rezydencją sir Eustace’a Alistaira, baroneta.

Zamiast jednak od razu ruszyć do drzwi, przystanęłam na chodniku, przyglądając się wnikliwie rodowej siedzibie arystokraty. Rezydencje stawiane w wiejskich majątkach są rozległe w poziomie, w gęsto zabudowanym Londynie rosną w górę. Kuchnia znajduje się w piwnicy, jadalnia na parterze (obsługiwana przez windę), salon na pierwszym piętrze (z dala od pyłu i hałasu ulicy), sypialnie na drugim, pokoje dzieci i sala do nauki na trzecim, a nad tym wszystkim znajdują się jeszcze pomieszczenia dla służby i strych.

Podczas poprzedniej wizyty dowiedziałam się, iż sypialnia lady Cecily mieściła się na poziomie pokoi dla dzieci, tuż pod poziomem mieszkań służby.

Szacując odległość dzielącą trzeci poziom budynku od ziemi, pokręciłam

z niedowierzaniem głową. Następnie, przypomniawszy sobie w ostatniej chwili, że długie zamaszyste kroki nie przystoją damie, podreptałam wdzięcznie wzdłuż boku budynku, by sprawdzić, czy sytuacja nie wygląda lepiej od tyłu.

Rzecz jasna, nie mogła wyglądać lepiej. I kiedy tak stałam i gapiłam się w okna lady Cecily, kilkoro osób ze służby, zajętych obowiązkami na zewnątrz, przystanęło ze zdumienia, gapiąc się na mnie.

– Ty! – przyzwałam władczy tonem młodocianego kuchcika targającego wiadra z pomyjami. – Podejdź no tu.

Kiedy stanął przede mną, spytałam, ścisząc głos:

– Gdzie jest przechowywana drabina, po której lady Cecily wydostała się na zewnątrz? – Oczywiście było to, że użyto sprzętu należącego do wyposażenia majątku. Ktoś niosący wielką drabinę ulicami Londynu musiałby wzbudzić zainteresowanie.

W reakcji na tak bezpośrednie pytanie, dotyczące zakazanego tematu, chłopak zaniemówił i wskazał gestem na wozownię, imponujących rozmiarów budynek, w którym spokojnie można by było urządzić mieszkania dla kilku rodzin, którym los poskąpił wielkiego majątku.

Na jego podejździe stała elegancka kalesza, pucowana zawzięcie przez trzech stajennych. Wszyscy zamarli jednak na mój widok w niemym zgorzeniu.

Ruszyłam w ich kierunku.

– Pokażcie mi tę drabinę – zażądałam.

Jeden z nich, prawdopodobnie obdarzony największą przytomnością umysłu, zaprowadził mnie do wozowni i wskazał palcem w górę. Na belkach spoczywała...

...bardzo masywna, drewniana drabina.

Składająca się z czterech części.

Żadnego z tych elementów nie zdołałabym unieść, a co dopiero ściągnąć na dół bez pomocy.

Żeby dosięgnąć okien lady Cecily, wszystkie cztery części należało ze sobą

połączyć i oprzeć całość o parapet.

– Dziękuję – powiedziałam i oddaliłam się tak, jak przyszłam – bez słowa wyjaśnienia. A myśli kłębiły mi się i plątały w głowie jak włóczka w koszyczku do robótek. Ostatnio była to u mnie norma.

Przystanąwszy na chwilę, by zapanować nad oddechem i przywołać w duchu twarz i słowa matki, by wziąć się w garść, wróciłam na front rezydencji i zapukałam do drzwi. *Bądź nieśmiała* – przypominałam sama sobie, kiedy otworzył mi naburmuszony kamerdyner. *Młodziutka żona doktora Ragostina, nieatrakcyjna, wstydliva i bezgranicznie naiwna.*

Akurat w tej chwili nie miałam żadnych trudności z wczuciem się w rolę pierwszej naiwnej.

Tym razem lady Theodora czekała na piętrze, do którego wiodły okazałe schody, by przyjąć mnie oficjalnie w salonie, co tym bardziej utrudniło mi przekazanie jej moich osobliwych i odbiegających od wszelkich norm przemyśleń. Onieśmiał mnie także widok jej sukni, uszytej z trzech materiałów: góra i tren z czarnej tafty, wierzchnia spódnica z fioletowego aksamitu z upięciami odsłaniającymi drobno plisowaną spódnicę z szarego jedwabiu. Zarówno strój, jak i ciężki naszyjnik z połyskujących czarnych kamieni podkreślały bladość jej prześlicznej twarzy. Suknia była strojna, jednak dobór barw nasuwał skojarzenia z żalobą, jakby lady Cecily jakiś czas temu zgasła na wieki.

Trzymając wysoko głowę i zachowując chłodny wyraz twarzy, lady Theodora powstała, żeby mnie powitać. Od razu zauważyłam, że w ciągu tych paru dni, które minęły od ostatniego spotkania, znacznie zeszczupłała.

Przeszłam przez salon i zamiast wypowiedzieć jakąś zdawkową formułkę, palnęłam:

– Proszę się nie poddawać, lady Theodoro.

Zesztywniała na chwilę, ale zaraz potem jej pełna godności rezerwa pękła jak skuwający potok lód pod naporem wiosennej kry.

– Ach, pani Ragostin! – Skurczyła się w sobie, chwyciła mnie za rękę

i przysiadłyśmy na brzegu kanapy, patrząc sobie w twarz, a nasze kolana niemal się ze sobą stykały. – Och, moja droga pani Ragostin, *wiem*, powinnam mieć nadzieję, że to wszystko się dobrze skończy, ale jak tu nie popaść w rozpacz, kiedy wciąż nie ma żadnych wieści o mojej córce? – Pochyliła się ku mnie z jeszcze większym niepokojem i zaczęła drżeć. – Czy doktor Ragostin znalazł jakiś ślad, wskazówkę, poszlakę, która mogłaby doprowadzić do mojej biednej, zaginionej Cecily?

Odpowiedziałam wymijająco:

– Być może są pewne podejrzenia...

– Och! – Nagle zabrakło jej tchu, a jedna z dłoni uniosła się bezwiednie ku ozdobionemu klejnotami dekolтови. Fason sukni wskazywał na to, że jest w gorsecie, i to ciasno zasznurowanym, co również utrudniało dalsze prowadzenie rozmowy, bo w każdej chwili mogła zemdleć.

– Doktor Ragostin ponownie uznał, iż lepiej będzie, jeśli to ja się z panią rozmówię – wymamrotałam cicho – ponieważ sprawa jest delikatnej natury.

– Tak, oczywiście. Jestem cała roztrzęsiona... to znaczy... zaczynałam się obawiać...

– Zapewniam panią, że doktor Ragostin wnikliwie analizuje zaistniałą sytuację.

– Bez wątpienia.

– Życzy sobie jednak, bym o coś panią spytała.

– Proszę pytać o wszystko!

Wzięłam głęboki wdech. Ja nie miałam z tym trudności, ponieważ gorset służył mi jedynie jako rusztowanie trzymające w miejscu regulator bioder i uzdatniacz biustu.

Spytałam:

– Czy lady Cecily była leworęczna?

Mogłoby się wydawać, że to zwykłe, proste pytanie. Ale nie dla przedstawicielki arystokracji.

– Ależ oczywiście, że nie! – Lady Theodora odsunęła się ode mnie gwałtownie. – Cóż za... Ja nigdy... Córka baroneta mańkutem?

Przewidywałam taką reakcję, więc się na nią przygotowałam. Nie reagując na ewidentne zgorzzenie i oburzenie ze strony damy, zamruczałam tylko cicho:

– Oczywiście, że nie *teraz*, pani. – Skłamałam, ponieważ byłam przekonana, że dziewczę, przebywając samo w swych pokojach, posługiwało się biegle lewą ręką. – Ale kiedy lady Cecily była dzieckiem...Trudno oczekiwać od małości świadomości tego, co wypada, prawda? Czy we wczesnym dzieciństwie nie przejawiała skłonności do faworyzowania lewej ręki?

Lady Theodora odwróciła wzrok od mojego potulnego, acz bezpośredniego spojrzenia. Spoglądając na pluszowy, kwiecisty dywan, wyszeptała:

– Możliwe, że jej niania o czymś podobnym kiedyś mi napomknęła.

– A guwernantka już nie?

– Cóż... ja... Pamięć jest zawodna. Jednakże *jeśli nawet* lady Cecily zdradzała inklinacje do mańkuctwa, to, rzecz jasna, zostały one wykorzenione w zarodku.

Było to wyznanie tak wstrząsające, że aż ciarki mnie przeszły, ale nie z powodów, których mogłaby się domyślać lady Theodora. Sama zapewne rozumowałabym w podobny sposób jak ona, gdyby nie to, że wychowałam się w atmosferze wolności i swobody. Matka wpoila mi wiarę, że wszystko i tak najlepiej rośnie samo; wyobraziłam sobie od razu ciężką dolę malutkiej lady Cecily. Jej drobne paluszki karcone boleśnie za użycie „niewłaściwej” ręki, zabawki wyrywane z jednej dłoni i przekładane do drugiej, no i wieczne strofowanie. Być może, kiedy przyszedł czas na naukę pisania, przywiązywano jej lewą rękę do pleców. A przez cały okres pobierania nauk dostawała od nauczycieli po łapach. Możliwe, że kazano jej wyciągać przed siebie rozwartą lewą dłoń i karcono paskiem.

A do całej tej brutalnej tresury dochodziły katusze, związane z kształceniem młodej kobiety, której przeznaczeniem było błyszczenie w towarzystwie. Chodziła, balansując książkę na głowie, by zadbać o idealną postawę. Uczyła się wyszywać – prawą ręką – rozwijała „rozliczne talenta” –

posługując się prawą ręką – i rysowała malutkie, słodziutkie i rozmazane pastele.

Czy to możliwe, że jej lewa ręka spisywała długie i mroczne rozważania w dziennikach? Że spod jej lewej dłoni wychodziły wyraziste i porażające realizmem szkice węglem?

Mama wspominała mi – nagle wydało mi się, że od dni mego swobodnego i beztroskiego dzieciństwa dzielą mnie długie lata, choć w istocie nie minął jeszcze rok od jej ucieczki – że kiedyś czytałyśmy „kryminał za szylinga”, *Niezwykły przypadek doktora Jekylla i pana Hyde’a*, który skojarzył się mamie z najnowszym trendem w badaniach nad ludzkim umysłem, zapoczątkowanym przez niemieckich uczonych. Tak zwani alieniści podejmowali próby lepszego zrozumienia psychiki osób obłąkanych z pomocą takich koncepcji jak *idée fixe*, „podwójna osobowość” i tym podobne. Zademonstrowała mi, na czym polega owa podwójność osobowości na przykładzie zdjęcia portretowego, które zgięła w połowie linii symetrii twarzy, a potem przyłożyła do lustra, wskutek czego pojawiał się obraz twarzy nieco odmiennej od oryginału.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Już do końca tego dnia nie opuszczał mnie podły nastrój.

Jak mogłam być tak głupia? Nie wiedzieć czemu ubzdurałam sobie, że lady Cecily mogłaby postępować podobnie jak ja. Na przykład:

Litując się nad londyńskimi nędzarzami.

Założenie bez podstaw.

Albo uciec z domu.

Również nie było podstaw, żeby tak sądzić.

Albo unieść ogromną, ciężką drabinę.

Nonsens.

Drabina. Niewiarygodne, że byłam taka głupia! Pierwsze, co powinnam zrobić, to przyjrzeć się drabinie. I o wiele szybciej wysnuć wnioski, który powinien mi się nasunąć od razu po obejrzeniu ubrań w szafie młodej lady: należały do osoby o wiele drobniejszej niż ja. Ośmieszyłam się przypuszczeniem, że lady Cecily zdołała przystawić drabinę do znajdującego się na trzecim piętrze okna. Przecież sama nie potrafiłabym tego zrobić, choćby mi bardzo na tym zależało.

Brakowało mi przesłanek, by sądzić, że lady Cecily na tym zależało.

Nie miałam podstaw, by zakładać, że jej idee czy inklinacje były w najmniejszym choćby stopniu tożsame z moimi.

Byłam ślepa.

I ja mam czelność pretendować do miana perdytorystki? Muszę się o wiele bardziej starać. Wziąć swój zbłąkany umysł w garść, że się tak wyrażę. Kierować się żelazną logiką. Dokonać wnikliwej analizy całej sprawy.

Dlatego też wieczorem, kiedy tylko znalazłam się w zaciszu mego pokoiku, zasiadłam w fotelu, położyłam na kolanach przenośny pulpit do

pisania, przysunęłam lichterz ze świecą najbliżej, jak się dało, i zabrałam się do analizowania sytuacji. Na piśmie.

Doskonale. Jakie były możliwe przyczyny zniknięcia lady Cecily? W grę wchodziły jedynie trzy możliwości:

Uciekła z kochankiem

Uciekła z domu

Została uprowadzona

Za ucieczką z ukochanym mogły przemawiać następujące fakty:

Pozory: drabina pod oknem

Sekretna korespondencja z Alexandrem Finchem

Tajemne spotkania z tymże

Przeciw:

Brak wzmianki w pamiętnikach o nieokielzanej namiętności, ani do Alexandra Fincha, ani do innej osoby

Nieużywanie innego laku prócz szarego

Pościel w nieładzie – dlaczego?

Komplet ubiorów w szafie

Niestwierdzenie obecności lady w otoczeniu podejrzanego

Małe prawdopodobieństwo, by Alexander Finch stał się obiektem westchnień młodej lady.

Zawahałam się przy ostatnim, ponieważ wniosek był bardziej subiektywny niż logiczny, ale trudno, pisałam dalej.

Argumenty przemawiające za ucieczką z domu:

Dziewczyna miała emocjonalny stosunek do kwestii społecznych i reform, co znalazło odbicie w jej dzienniku.

Miała dwie różne osobowości, węgiel kontra pastel.

Połamane pastele. Wniosek: nie chciała dłużej być tą osobą.

Argumenty przeciw:

Kto jej pomógł? Sama nie dałaby rady przystawić drabiny do okna.

W jakim celu użyła drabiny? Mogła przecież wyjść z domu przez drzwi.

Dlaczego pościel nosiła ślady użycia?

W co ubrała się lady Cecily?

Hmm.

Nie czułam się o wiele mądrzejsza. Ale zastosowałam podobny proces myślowy wobec trzeciej ewentualności:

Urowadzenie. Argumenty za:

Drabina przystawiona do okna. Porywacz nie mógłby się inaczej dostać do sypialni.

Zmięta pościel. Ktoś ją zbudził w środku nocy.

Komplet ubiorów w szafie. Została uprowadzona w koszuli nocnej.

Wyobraziłam sobie lady Cecily wyrwaną z łóżka o północy przez złoczyńcę i przeszył mnie dreszcz. Koszmarna opcja. I im dłużej o tym rozmyślałam, tym bardziej wydawała się realna; na jej korzyść przemawiało najwięcej faktów. Ale i tu pojawiały się pewne wątpliwości:

Przeciw:

Dlaczego nie krzyczała? A jeśli krzyczała, to dlaczego nikt nic nie słyszał?

Czy było możliwe zniesienie jej po drabinie?

Dlaczego została wytypowana na ofiarę porwania i przez kogo?

Dlaczego nie pojawiło się żądanie okupu?

Pierwszą obiekcją można by wykreślić, zakładając, że porywacz – lub porywacze – zadbali o to, by pozbawić ofiarę przytomności, zanim zdołałaby krzyknąć; jest prawdopodobne, że użyto chloroformu. A brak żądania okupu i kwestia wyboru ofiary? Istniała możliwość – ale tylko możliwość – że lady Cecily uprowadzono w innym nikczemnym celu, nad którym wołałam się głębiej nie zastanawiać, ponieważ miałam bardzo mgliste wyobrażenie

o tym, na czym polega fenomen tak zwanych „białych niewolnic”. Ta myśl wydała mi się jednak naciągana.

I lepiej od razu tę możliwość skreślić, ponieważ, jak powtarzam: *jak można znieść nieprzytomną osobę po tak wysokiej drabinie?* Słyszałam wprawdzie, że strażacy potrafią sobie przetrzucić zaczadzoną ofiarę przez ramię i zejść z nią z małej wysokości, jednak nawet dla najsilniejszego mężczyzny znoszenie kogoś z trzeciego piętra byłoby wysoce niebezpieczne. Ryzykanckie. Po prostu głupie. Prościej byłoby sprowadzić ją na dół, idąc po schodach.

Jednak dowody wskazywały jasno, że tak się nie stało. Drzwi na parterze były zaryglowane, blokady w oknach nienaruszone.

A może ktoś ją spuścił z okna na linie z pętlą?

Nie utrudniałaby mu tego przystawiona do okna drabina?

Z drugiego okna?

Mało prawdopodobne, ponieważ znajduje się bezpośrednio nad okratowanym włazem do piwnicy i zbiornikiem na deszczówkę.

Wróćmy zatem do pierwszego okna – w tym przypadku porywaczy musiało być co najmniej dwóch. Jeden musiałby zejść i odstawić drabinę na czas spuszczenia nieprzytomnej lady na linie, po czym ponownie przystawić ją do okna, żeby umożliwić pierwszemu porywaczowi opuszczenie budynku. A potem obaj zbiegliby, unosząc bezwładne ciało.

Ojej, co za absurd. „Obaj”? Jacy znowu „obaj”? No i przecież tak skomplikowana operacja z pewnością zainteresowałaby konstabla, który patroluje dzielnicę bogaczy i przechodzi tamtędy co kilka minut.

Dobrze, zostawmy logiczne rozumowanie, bo doprowadziło mnie ono do zupełnie niedorzecznych wniosków. Ze wszystkich trzech możliwości: ucieczka z ukochanym, ucieczka z domu, porwanie, każda wydawała się równie śmieszna jak inne.

To wszystko było bez ładu i składu. Okazałam się głupiątkiem, nie perdytorystką.

Cisnęłam zapiski w ogień, zeskoczyłam z fotela, podniosłam materac na

łóżku i wyciągnęłam swój zakonny habit. Z dwojga złego wolałam obawę przed garotą niż poczucie własnej nieudolności.

I tak, pod osłoną nocy, kiedy pani Tupper udała się już do swej sypialni, otulona w czerń i zawoalowana Siostra wymknęła się na ulicę, by zrobić coś dla londyńskiej biedoty.

Słynna londyńska mgła, zwana „grochówką”, była tego wieczoru tak gęsta, że latarnia, którą zabrałam ze sobą, wydawała się unosić samoistnie w powietrzu jak duch zagubiony w nieprzeniknionym mroku. W takie noce, a nawet i za dnia, kiedy powietrze przybierało postać żółtobrazowej brudnej brei, dorożkarze zsiadali z kozła i prowadzili swoje konie za uzdę, natomiast pracownicy doków często nie byli w stanie dostrzec, po czym stąpają, i raz po raz kończyli żywot w wodach Tamizy.

Zwykli przechodnie natomiast jeszcze częściej padali w taką pogodę ofiarą złoczyńców. Nawet w tej chwili sześć stóp ode mnie mógł się czaić rzezimieszek, którego nie byłabym w stanie dostrzec. Albo morderca z garotą...

Na samą myśl wstrząsnął mną dreszcz, mimo że i tak dygotałam z powodu przenikliwego chłodu. Okropne było wspomnienie tej straszliwej siły atakującej od tyłu, dławiącej i duszącej, oraz ciemności, która zaraz potem zapadła i trwała aż do chwili, gdy jakiś zapamiętany jak przez mgłę, odrażający typ próbował unieść mój welon, zanim rzuciłam się do ucieczki. Koszmarna noc, najczarniejsze ze wspomnień, przepełnione złem – i to plugawe narzędzie zbrodni o absurdalnie prostej konstrukcji: kawałek ratanowego kijka i – jak na ironię – sznurówka od gorsetu, która uczepiła się mojej szyi na dłużej...

Próbowałam odsunąć od siebie te obrazy pamięci. Nie było czasu na rozpamiętywanie tamtego koszmaru, kiedy wokół mnie czaiły się niemal namacalne cienie londyńskiej nocy. Wyteżając uwagę, by dostrzec najmniejszy sygnał zagrożenia, szłam dalej. Ale tej nocy nie zamierzałam spieszyć z pomocą przypadkowo napotkanym nieszczęśnikom. Podążałam w konkretne miejsce, mimo dręczącego mnie strachu. Jednak równocześnie

powtarzałam sobie, że o wiele więcej londyńczyków poniosło śmierć z winy wdychanego powietrza niż w wyniku zbrodni. Nie może być nic zdrowego we wciąganiu w płuca powietrza, od którego czerniały śluzówki oczu i nosa. Dla mnie, wychowanej w czystym wiejskim powietrzu, była to tortura nie do zniesienia. Co jednak mieli mówić ci, którzy od urodzenia wdychali sadzę, żyjąc i umierając na tych zanieczyszczonych ulicach? Londyńska biedota, jak zauważyłam, karłowaciała od brudu i szybko kończyła żywot.

Trudno się tym ludziom dziwić, że sięgali po dżin.

Zbijając się w kupki, by przetrwać noc, nawet najubożsi potrafili wyczarować skądś flaszkę jałowcówki, która krążyła później od jednego do drugiego, sprawiając, że życie o chłodzie i głodzie stawało się na chwilę bardziej znośne.

Za dnia byli nieufni wobec obcych, jednak po zmroku alkohol rozwiązywał im języki. Ten fakt wyjaśnia, jak sądzę, porę, którą wybrałam na swoją dziwną eskapadę.

Obładowana różnymi dobrami, spieszyłam do przytułku, pod którym najuboższe z najuboższych, pozbawione środków do życia staruszki, zwane „śniętymi krabami” albo „pełzaczkami”, spędzały dni i noce na kamiennych stopniach. Zgodnie z prądowym zwyczajem mogły korzystać z tego mizernego dobrodziejstwa i nie musiały się obawiać, że przegoni je policja, jak to bywało w przypadku zwykłych żebraków.

Nieszczęsne istoty paliły czasem zamiecione z ulic śmieci, choć często nie miały się czym ogrzać...

Skręciwszy za narożnik przytułku, osłupiałam i przez chwilę stałam jak wryta. Zamiast znanego mi cienistego mroku zobaczyłam na stopniach przytułku metalową balię, w której buzował wesoło dość spory ogień. A zatem dziś nie będę musiała zapalać poupychanych po kieszeniach puszek z pakułami nasączonymi parafiną.

Spodziewałam się widoku zziębniętych staruszek, skulonych razem pod kocami, które im przynosiłam. Tymczasem okazało się, że zbiły się w kupkę wokół paleniska, a na ich wymizerowanych twarzach znać było radość.

Wśród kobiet siedział też samotny mężczyzna.

Był to starzec, zgarbiony i pokrzywiony jak one, z pozlepianymi brudem siwymi kłakami i równie plugawą długą brodą, opadającą na jeszcze brudniejsze łachmany. Prawdziwa kwintesencja nędzy. A jednak zdobył gdzieś opał, by wzniecić jakże pożądany ogień, i naczynie, w którym go rozpalił, a także – jak wypatrzyłam – butelkę dżinu. Z niewiadomych przyczyn postanowił przyjść z tym wszystkim pod przytułek.

Tuż obok niego siedziała najżałośniejsza z pełzaczek, na wpół naga kobieta, której głowę i ciało toczył świerzb, okryta nieprzemakalnym płaszczem, który podarowała jej przed dwoma dniami Ivy Meshle.

Płaszczem należącym uprzednio do handlarki sprzedającej z koszyka wycieraczki do piór.

– Szosztro! – zawołała na mój widok głosem ożywionym, a jednocześnie zniekształconym przez alkohol. – Szosztro, golnie sze szoszczyczka dżyniku!

Nie musiałam jej nic odpowiadać, ponieważ otulona w czerń Siostra nigdy się nie odzywała. Nie musiałam także odrzucać ich gościnności nawet gestem, ponieważ wszyscy znali już moje obyczaje. Milcząc, zaczęłam rozdawać chleb i inne dary, które nędzarki przyjmowały ochoczo, jednak z mniejszą niż zazwyczaj łapczywością.

– ...owdowiałam. Szyłam, póki mi się oczy nie zepsuły do reszty – kobieta w nieprzemakalnym okryciu zwracała się do starszego mężczyzny, który najwidoczniej poprosił ją o opowiedzenie swojej historii. Ponieważ skutek swojej „niemoty” nie mogłam wystąpić z podobną prośbą, nadstawiłam z zaciekawieniem uszu, udając przy tym, że wcale jej nie słucham. – Potem próbowałam sprzedawać kwiaty przed teatrem, ale kiedy padało, żaden elegancik się nie zatrzymał, żeby kupić swojej pani bukiet. Ale mimo to sterczałam tam w strugach deszczu, aż się dorobiłam kaszlu. Niedole zawsze chodzą parami, więc wysiudali mnie z mojego pokoju, a podczas pierwszej nocy w schronisku jakaś łajza bez serca ukradła mi resztkę pieniędzy i wszystkie moje łachy. Buty, fartuch, kiecka – wszystko, prócz sukieneczyny, w której się położyłam spać, zniknęło. Narobiłam rabanu, ale na nic się zdało. Błąkam się po ulicach, jest chłodno i głodno, i jak teraz znajdę pracę,

nie mając porządnego okrycia? Nie – zareagowała na propozycję pociągnięcia kolejnego haustu dżinu – już więcej nie mogę, bo zaraz zacznę się przewracać, i to częściej niż zwykle.

W rzeczy samej, kilkakrotnie byłam świadkiem, jak starsze kobiety padały na ziemię przy próbie zrobienia kroku, tak dalece wycieńczyła je nędza.

Siwobrody powiedział:

– Niech Bóg broni, żeby taki zły los spotkał kiedyś moją małą Ivy.

Ivy?

Tylko to, że już wcześniej udawałam, że nie słucham, uchroniło mnie przed mimowolnym zdemaskowaniem. Może nawet zeszywniałam albo drgnęłam z zaskoczenia, ale myślę, że w mroku rozświetlanym migotliwym światłem ogniska nikt tego nie zauważył.

Zresztą obdarty i przygarbiony starzec wcale nie patrzył w moją stronę, tylko na pęłzaczkę w pelerynie, tłumacząc:

– Mówię o mojej małej wnuczce, która gości w tym okrutnym świecie nie dłużej niż czternaście lat. Niespełna tydzień temu wyszła na ulicę handlować wycieraczkami do piór i innymi drobiazgami z koszyka...

Serce zaczęło mi łomotać.

– ...a po policzkach płynęły jej łzy, jak słyszałem, z tej wielkiej niedoli.

Coś mi się ścisnęło w piersi.

– I od tamtej pory słuch po niej zaginął.

Miałam ochotę rzucić się do ucieczki.

I dlatego, wiedząc, że nie mogę pokazać po sobie tego, co przeżywam, szłam dalej, rozdając wiktuały i przesuważając się w stronę nieznanego.

Nieznanego?

W pewnym sensie tak.

– Miała na sobie pelerynę przeciwdeszczową, taką samiutką jak panina – ciągnął dalej, nienagannie naśladowując akcent klas niższych. – A gdzie to pani, jeśli wolno spytać, znalazłaś...

Zanim dokończył pytanie, podsunęłam mu pod nos pasztecik z mięsem.

Obrócił się, by przyjąć dar. Z niewiarygodnie brudnej twarzy, spomiędzy wytłuszczonej czapki i niechlujnego zarostu spojrzały na mnie bystre szare oczy.

– Ależ wielkie dzięki.

W swoim wewnętrznym rozdygotaniu musiałam sama sobie przypomnieć, że nie mógł dostrzec nic poza zakwefioną, okutaną w habit i płaszcz, niemalże bezkształtną sylwetkę w mroku.

Spytał mnie:

– Czy siostra często się w tej okolicy kręci? Za pozwoleniem, może wie siostra, gdzie może przebywać chude jak szczapa dziewuszysko o imieniu Ivy?

Do kompletu z pasztecikiem podałam mu kawałek sera.

– Wysoka jak na swój wiek – ciągnął – ale gdyby nakarmić ją fasolą, wyglądałaby jak siostry różaniec, taka z niej chudzina.

Jedna z pełzaczek pouczyła go:

– Siostra Uliczna nie odpowie ci na pytania. Nigdy się nie odzywa.

– Ośmielam się prosić o wybaczenie – coś z jego wielkopańskiej grzeczności przebiło się przez cockneyowski akcent. – Dzięki wielkie za strawę, siostrzyczko.

Pewnie nawet nie przypuszczał, jak bliski był prawdy: w istocie byłam jego siostrzyczką. Rozmawiałam z moim bratem, Sherlockiem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego ranka panna Ivy Meshle, po raz pierwszy od swej wizyty na Baker Street, podążyła do swego miejsca pracy bez uczucia lęku. Nieoceniona sekretarka nie musiała się już obawiać zdemaskowania, ponieważ Sherlock Holmes wcale jej nie szukał, wypatrywał ubogiej przekupki z koszem, ubranej w nieprzemakalny płaszcz.

Czułam się o wiele lepiej, ale i zarazem gorzej ze względu na wspomnienie drżącego z emocji – i to, jak czułam, autentycznie – głosu brata, kiedy opisywał mnie jako chudziutką dziewczynę roniącą łzy nad własnym ubóstwem.

Zdawał sobie sprawę, że nie żyję w nędzy. Wiedział przecież, że mam pieniądze.

Ale równie pewne było to, że pani Hudson opowiedziała mu, jak rozpaczliwie płakałam, kiedy zaprosiła mnie do wnętrza jego domu.

Niech to wszystko licho porwie. Tak się zafiksowałam na odzyskaniu mojej książeczki z szyframi, że nie pomyślałam o skutkach, jakie wywrze na nim całe to zajście.

Jak, *jak*, mogłabym teraz bez ryzyka poinformować mego brata Sherlocka, że dobrze się miewam?

Z głową pełną podobnych dylematów przestąpiłam próg biura doktora Lesliego T. Ragostina, Naukowca Perdytorysty.

– Dzień dobry, jaśnie pani! – zakrzyknął usłużny chłopak w liberii, odbierając ode mnie płaszcz z pelerynką.

– Joddy – upomniałam go surowo – czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że inny pracodawca mógłby dla własnego widzimisię zmienić twoje raczej niedorzeczne imię na Jamesa, Cecila czy Algernona?

– Nie, nie, jaśnie pani. To znaczy: nie, panno Meshle.

– No właśnie, Joddy. Tak masz mnie zawsze tytułować. A teraz bądź łaskaw przynieść mi poranną prasę. I herbatę.

Przejrzałam gazety bez zbytnej przyjemności, ponieważ wciąż nie było w nich wiadomości od mamy.

Z pewnością jednak za dzień lub dwa...

A tak bardzo chciałam poprosić ją o radę w sprawie Sherlocka. Czy bez jej wiedzy i doświadczenia zdołam w ogóle podjąć jakieś działania? Wysłać bratu uspokajający list? A jeśli – przecież był tak piekielnie inteligentny – otworzę mu tym samym możliwość trafienia po nitce do kłębka?

Zamieścić informację o sobie w gazecie, w dziale ogłoszeń?

Ale to by oznaczało, mimo użycia szyfru, wywlekanie naszych rodzinnych spraw na forum publiczne. Nie mogłam narażać dumy brata na jeszcze większy szwank niż do tej pory. Tym bardziej, że z całą pewnością nasz brat Mycroft... którym nie zaprzętałam sobie myśli, bo był zimny jak galareta z nówek... z całą pewnością Mycroft również natrafiłby na moją wiadomość, co groziłoby rozpętanem niewyobrażalnego piekła.

Nie miałam pojęcia, jak postąpić.

Siedziałam za biurkiem w posępnym nastroju i przeglądałam niezbyt obfitą korespondencję doktora Ragostina. W pewnej chwili spostrzegłam, że na odwrocie przeznaczanego do wyrzucenia dokumentu bezwiednie kreślę karykaturę mojego brata: płócienny kaszkiet, zaczesana na czoło grzywka... Z niewyjaśnionych przyczyn spłynęła na mnie ulga. Zawsze kiedy ogarniał mnie niepokój albo czułam się nieswojo, ulegałam przymusowi rysowania. Teraz też, przysunąwszy do siebie plik papieru kancelaryjnego, zaczęłam tworzyć szkic za szkicem. Narysowałam drugą podobiznę Sherlocka, potem Mycrofta, następnie mamy i innych osób. Głównie twarze. Buzię dziewczynki w łachmanach, która zamiatała przede mną ulicę. Oblicza przycupniętych na schodach przytułków pełzaczek. Twarz lady Theodory przystrojonej w czarną biżuterię. Puściłam wodze fantazji, by umysł mógł swobodnie błędzić własnymi drogami. Narysowałam twarz Alexandra

Fincha.

Ku własnemu zaskoczeniu, opatrzyłam ją wyjątkowo złośliwym uśmiechem.

A cóż to takiego?

Opadłam na oparcie, zamknęłam oczy i spróbowałam odtworzyć w pamięci przebieg moich odwiedzin w Składzie Galanteryjnym Ebenezer Finch & Syn. W głowie odezwały się echa zasłyszanych słów:

„...dobór barw godny jakiegoś rozwrzeszczanego anarchisty!”

„Czytała *Das Kapital*, dyskutowaliśmy o wyzysku mas”.

„Chciała, żebym jej pokazał proletariata”.

„Myślę jednak, że wyszła z domu frontowymi drzwiami i sama przystawiła do okna drabinę”.

Czy ojciec Alexandra Fincha dawał jedynie upust złości – czy może uważał swego syna za anarchistę?

Wiedziałam, że „anarchistów” obwiniano o podłożenie dynamitu na dworcu Victoria, o atak na budynek redakcji „Timesa” i – całkiem niedawno – o próbę wysadzenia w powietrze londyńskiej Tower, jednak poza tym, co wyczytałam w gazetach, nie wiedziałam nic na temat tych zagranicznych skrytobójców i ich tajnych stowarzyszeń. Czy anarchiści byli spokrewnieni z marksistami?

Ale przecież Alexander Finch dawał mi do zrozumienia, że *lady Cecily* była marksistką.

Skoro jednak tak było, to dlaczego nie wspomniała o tego rodzaju przekonaniach w swoim prywatnym pamiętniku?

To on zakładał, że sama podstawiała sobie drabinę pod okno. Skoro jednak miał przyjemność zapoznania się z jej drobną osobką, musiał wiedzieć, że było to fizycznie niemożliwe.

Lady Cecily poznała Alexandra Fincha. Lady Cecily prowadziła korespondencję z Alexandrem Finchem. Lady Cecily zwiedzała Londyn z Alexandrem Finchem. I lady Cecily zniknęła.

Z pewnością nie była to przypadkowa seria zdarzeń.

A jednak policji nie udało się odszukać zaginionej za jego pośrednictwem, mimo nieustannie prowadzonej obserwacji.

Przynajmniej on tak twierdzi.

Ależ jestem naiwna, że uwierzyłam w jego oświadczenie i zapewnienia lady Theodory, że władze mają na niego nieustanne baczenie.

Co w istocie wiedziałam o Alexandrze Finchu?

Bardzo niewiele.

Podniosłam się zza biurka, gotowa przeprowadzić z nim kolejną rozmowę.

Ale tym razem do Składu Galanteryjnego nie pofatygowała się panna Meshle. O, nie. Zrobiła to pani Ragostin. Chociaż też nie do końca ona, ponieważ włożyłam bardzo strojną suknię dzienną z satyny i aksamitu, daleką od wszelkiej abnegacji, i nie miałam zamiaru udawać zahukanego stworzonka. Alexander Finch zwrócił się do mnie per „wielmożna pani”, postanowiłam zatem przybrać pozę lady – a przynajmniej osoby z towarzystwa – żeby zobaczyć, jak na to zareaguje. Zapłaciłam dorożkarzowi wielokrotność należnych za milę sześciu pensów i ruszyłam w stronę Składu Galanteryjnego Finch & Syn.

Wybrałam dwukólkę, mimo chłodu, chciałam się bowiem dokładniej przyjrzeć gmachowi z zewnątrz.

Otulona w długą, podbitą futrem pelerynę, nie wysiadłam od razu po zajechaniu przed siedzibę przedsiębiorstwa Finchów. Niespiesznie zlustrowałam fasadę budynku, omijając wzrokiem olśniewające przepychem szkła, mosiądzu i świateł wystawy i okna części handlowej, by przyjrzeć się baczniej najwyższym piętrům, gdzie mieściły się mieszkania subiektów. Mansarda, lukarny, rynny.

Skrupulatnie przypatrzyłam się lukarnom i szczytom, a także rynnom sąsiednich budynków.

Zauważyłam też, że przez cały ten czas nieumundurowany posterunkowy

o tępowym wyrazie twarzy obserwował front sklepu, stojąc po drugiej stronie ulicy. Niechybnie na wypadek, gdyby Alexander Finch zechciał się wymknąć.

Hmm...

Wysiadłam z dorożki i odprawiłam woźnicę, po czym wkroczyłam z fasonem do sklepu, kryjąc obciążone w jedwabne rękawiczki dłonie w futerku mufki, powiewając strusimi piórami na kapeluszu i majestatycznie wlokąc za sobą tren sukni.

– Chciałabym zamienić słówko z paniczem Alexandrem Finchem – rzuciłam władczo pierwszemu napotkanemu pracownikowi sklepu.

Młodzieniec ów, drobny, piegowaty nerwus, z trudem udzielił mi piskliwym głosem odpowiedzi:

– Alexander Finch... no tak... nie jestem pewien, czy jest w tej chwili w sklepie, łaskawa pani.

Uniosłam brwi z udawanej złości i nieudawanego zdumienia. Ten nieszczęsny subiekt boi się młodego Fincha bardziej niż mnie?

Przypomniało mi się, w jakim popłochu smukłe dziewczę ze stoiska obuwniczego uciekło, kiedy młody Finch nakazał mu odejść.

I w tej samej nieszczęsnej chwili dopadły mnie wątpliwości: dlaczego ten ekscentryczny młodzian wybrał dział z butami, zamiast zatrzymać się, dajmy na to, przy rękawiczkach?

Ponieważ lubił buty, odpowiedziałam sobie. Zwłaszcza sznurowane botki. Lubił zaciskać ciasno sznurowadła; doprawdy niemalże udusił...

Przeszył mnie nagle zimny dreszcz, jakby ciało uświadomiło sobie prawdę, zanim sformułował ją umysł. Opuściły mnie nagle wszystkie siły i aż zachwiałam się na nogach.

– Łaskawa pani? – dotarł do mnie jakby z oddali zaniepokojony głos subiekta.

Tak samo oddalone wydały mi się głosy, które słyszałam tamtej nocy, kiedy odzyskiwałam przytomność z garotą na szyi. Przypomniał mi się strach, rozmazane kształty, mgła, jakiś bliżej nieokreślony człowiek

unoszący mój welon.

I nagle uświadomiłam sobie, gdzie i kiedy widziałam po raz pierwszy twarz Alexandra Fincha.

Piegowaty ekspedient krzyknął:

– Pomocy! Niech ktoś tu przyjdzie! Ona zaraz zemdleje!

Doskonały pomysł, ponieważ w jednej chwili wszystkie moje plany wzięły w łeb. Z całego serca życzyłam sobie teraz uniknięcia spotkania z Alexandrem Finchem. Pod żadnym pozorem nie może mnie zobaczyć. I chociaż nigdy dotąd nie fingowałam omdlenia, okazało się to nad wyraz proste. Postawiłam oczy w śłup, przymknęłam powieki i zaczęłam się osuwać na ziemię.

– Złapże ją przecie! – odezwał się nad moim uchem inny męski głos, mówiący z silnym cockneyowskim akcentem, podczas gdy jego posiadacz chwycił mnie pod rękę.

Nerwowy subiekcik, jak się domyślam, ujął mnie pod drugi łokieć, a ja zwisłam bezwładnie w rękach wybawicieli, którzy przeprowadzili mnie za drzwi jakiegoś pomieszczenia, znajdującego się z boku sklepu.

– Połóżcie ją na ławce – zarządził głos należący tym razem do kobiety. – Kto to taki?

– Pojęcia nie mam. Chciała się widzieć z paniczem Alexandrem.

– Do licha! Ktoś powinien ją ostrzec.

Poczułam, jak układają mnie zgodnie z zaleceniem, w możliwie najdelikatniejszy sposób na niewygodnej drewnianej ławie. Uchyliłam nieznacznie powieki, by ocenić sytuację zza zasłony rzęs. Dobrą Samarytanką okazała się służąca w średnim wieku. Wspomniana ława stała przed kominkiem i miała wysokie oparcie, zasłaniające mi resztę pomieszczenia, niemniej domyśliłam się – sądząc choćby po toporności mebla, na którym spoczęłam – że przeprowadzono mnie do dziennej jadalni pracowników sklepu.

– Po kiego chciała się z nim widzieć? – dopytywał męski głos.

– A ja wiem? Cała była w nerwach.

– Patrzcie na jej kieckę, to może być żona jakiegoś dyrektora stoczni czy kogoś takiego. Albo żona fabrykanta. Może przysłała przemówić mu do rozumu, żeby przestał wreszcie siać ferment?

– Zawsze mówię, że robociarze to awanturnicy, zwłaszcza te dziewczuchy z fabryki zapalek. – Służąca, rozpinająca mi mankiety w celu roztarcia nadgarstków, najwidoczniej uważała się za równą subiektem, bo nie bała się wyrazić własnego zdania. – Te ich tak zwane strajki i starcia z policją. Uparte toto jak osły i boją się dotykać chemikaliów, a pracują tylko po czternaście godzin dziennie.

– Burzą się nie tylko dziewczyny z fabryki zapalek, dołączyli do nich robotnicy portowi no i...

– ...domagają się Bóg wie czego, w głowach im się przewraca od nadmiaru wolnego czasu...

– ...furmani i im podobni.

– ...niszczą sobie reputację, podburzają porządne dziewczyny ze służby, aż ta biedna pani omdlała z braku odpowiedniej opieki – gdzie są, na miłość Boga, sole trzeźwiące?

– A! Tutaj!

Ponownie przymknęłam oczy i leżałam w bezruchu, kiedy podsunęli mi pod nos środek o gryzącym zapachu. Zmobilizowałam całą siłę woli, by nie drgnąć, chciałam bowiem usłyszeć więcej. Ponieważ, choć moje ciało i twarz zachowywały, miałam nadzieję, pozory nieprzytomności, myśli w mojej głowie skakały, piszczwały i wyciągały łapki, jak dziecko, które obdarowano bombonierką. Ferment? Alexander Finch? Robotnicy portowi? Dziewczyny z fabryki zapalek? Starcia? Czy Joddy nie napomknął aby o zapalkach?

Odezwał się ponownie jeden z męskich głosów:

– Furmani w większości zachowują się rozważnie, z tego co słyszę, ale w porcie wrze jak w kotle, z którego lada chwila wyleje się fala żądań praw robotniczych, jak to nazywają.

– Nie budzi się – zaniepokoiła się moja pielęgniarka. – Dajcie nożycy, trzeba jej poluźnić to sznurowanie.

O, nie! Nie mogę dopuścić, by zobaczyła mój gorset. Poruszyłam lekko powiekami.

– Czekaście – powiedziało zacne kobiecisko.

W tej samej chwili nieopodal mnie rozległ się głos, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym:

– Co się tu wyprawia? Wracać mi na stanowiska!

– Tak, panie Finch.

– Już, panie.

– Ta dama omdlała, jak pan widzi.

– Dama – ryknął stary Finch. – Jaka znów dama?

Jęknęłam cicho, by przekierować jego uwagę z pracowników na mnie.

– No to poślijcie po lekarza – warknął. – A wy dwaj, jazda do roboty. Nie macie czego się tu szwendać w obecności nieprzytomnej damy.

Drzwi zatrzasnęły się i męskie głosy ucichły. Otworzyłam oczy, uśmiechnęłam się niepewnie do służącej i oświadczyłam jej, że dziękuję bardzo, już mi lepiej, jednak mój przeciążony, rzucający się na cukierki umysł chwycił się słowa „szwendać”. Czy Alexander Finch był tylko przypadkowym przechodniem, który przez przypadek „szwendał się” ulicami tamtej nocy, kiedy ocknęłam się na bruku?

To było kilka dni po zniknięciu lady Cecily.

A przecież policja miała nie spuszczać go z oka.

Natłok myśli pogłębiał mój ogólny stan rozbicia i osłabienia, ale choć zbierało mi się na mdłości, zmusiłam się jednak do uśmiechu, wstałam i opuściłam jadalnię, ponieważ wzywały mnie sprawy największej wagi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zanim mroczny, zadymiony dzień zamienił się w jeszcze bardziej ponurą noc, powróciłam w okolice Składu Galanteryjnego Ebenezer Finch & Syn. Daruję łaskawemu czytelnikowi pełną relację z groźących mi po drodze niebezpieczeństw, powiem tylko krótko, że po kolejnej przemianie w pannę Meshle, dokonanej w biurze doktora Ragostina, poszłam do swojego wynajętego pokoiku, skąd udało mi się wymknąć – niepostrzeżenie dla pani Tupper – w przebraniu zakonnicy. Wybrałam niemal całkowicie zakwefiony habit, który, choć budził zaciekawienie, skutecznie uniemożliwiał przyjrzenie się mojej twarzy osobom postronnym. Opuszczając dworzec St. Pancras, widziałam rzucane mi ukradkowo spojrzenia. Londyńczycy z tej części miasta oglądali mnie po raz pierwszy. Była to w miarę zamożna dzielnica, której mieszkańcy mogli się doskonale obyć bez dobroczynnych akcji Siostry Ulicznej.

Nie udałam się tam zresztą w celach charytatywnych. Przyjechałam z pustymi rękoma, które ukryłam pod habitem, przytrzymując niemal modlitewnym gestem ukrytą rękojęść swego sztyletu.

Tym razem trzymałam się z dala od pełnego przepychu frontu Składu Galanteryjnego Ebenezer Finch & Syn. Zbliżyłam się do owego kuszącego bogactwem przybytku od zaplecza, pokonując labirynt zagród, w których trzymano konie pociągowe i mleczone krowy. Przystanęłam w cieniu gołębnika, żeby zlustrować otoczenie. I po raz kolejny przyjrzałam się bacznie oknom gmaszyska Finchów, linii dachu i układowi rynien. Przyznam, że nigdy przedtem detale architektoniczne nie wzbudzały we mnie tak gorącego zainteresowania. Pierwszy raz w życiu spoglądałam na budynek, oceniając go pod kątem przydatności do wspinaczki. Przypominało to rozważanie, po której stronie drzewa najłatwiej wspiąć się

na czubek albo z niego zejść. Analizowałam rozmaite warianty, chcąc ustalić, jak sama bym się do tego zabrała.

W zapadającym już szybko zmroku ustaliłam zatem, z której strony Alexander Finch najprawdopodobniej zechce się wymknąć, wycofałam się pod osłoną płotów, przeszłam na ulicę i wyszukałam bezpieczną sień, w której mogłam się schować i czekać.

Spodziewałam się go zobaczyć, zanim zapadną prawdziwe ciemności, ponieważ chłopak musiał cokolwiek widzieć, podejmując ryzyko schodzenia po zewnętrznych ścianach, a gdyby zabrał ze sobą latarnię, od razu wzbudziłoby to podejrzenia. Tuż przed nadejściem nocy pojawił się niczym monstrualna gąsienica, pełznąca na czworakach po gonicie i dachówkach, ze spuszczoną głową, robiąc wszystko, by nie ściągnąć na siebie uwagi konstabla, który prawdopodobnie stał na czatach przed frontem albo przy tylnym wyjściu z budynku. Od czasu do czasu Finch znikał mi z pola widzenia, przysłonięty przez kominy, jednak po krótkiej chwili znów się pojawiał. Wstał i ze zwinnością świadcząca o tym, że nie robi tego po raz pierwszy, zaczął przeskakiwać z dachu na dach stojących ciasno obok siebie budynków. Doszedł w ten sposób do końca pierzei, po czym zsunął się na okap, odwrócił i zjechał po rynnie, lądując na drewnianej pokrywie beczki na deszczówkę, a następnie zeskoczył na żwirowy podjazd narożnego sklepu.

Widziałam z oddali jego bladą twarz i okulary. Rozglądał się czujnie wokół. Już nie miał na sobie eleganckiego stroju, w którym mi się po raz pierwszy zaprezentował. Przebrał się w ciemne ubrania z flaneli i sztruksu, typowe dla robotników, a na głowę włożył płócienny kaszkiet. Kiedy nabrał pewności, że nikt go nie obserwuje – a raczej łudząc się, że tak się sprawy mają – ruszył przed siebie ulicą.

Odczekałam, aż ujdzie spory kawałek, zanim sama wymknęłam się z ukrycia, by podążyć w ślad za nim.

W północnozachodniej części Londynu nie było takiej nędzy jak na East Endzie – w sieniach nie stały królowe nocy, a z rogów ulicy zniknęły pompy z wodą – tutejsza ludność wołała grzeszyć w zaciszu domostw, w których dysponowała już kanalizacją. Trudno jednak nazwać tę okolicę elegancką czy

zamożną. Była nieokreślona, podobnie jak wyraz twarzy Alexandra Fincha. Ulice nie wyglądały ani na opustoszałe, ani zbyt zatłoczone. Przyznam się, że słabo znałam tę okolicę. Mogłabym policzyć na palcach jednej ręki, ile razy się tu zapuszczałam: raz wybrałam się z wizytą do doktora Watsona, raz zakradłam się w celach rabunkowych do mieszkania mojego brata Sherlocka i dwa razy udałam się „na zakupy” do Składu Galanteryjnego Ebenezer Finch & Syn. Raptem cztery razy, nie wliczając obecnej eskapady. Nic zatem dziwnego, że tropiąc Alexandra Fincha, trochę pobłądziłam.

Kilkakrotnie omal nie straciłam go z oczu na dobre. I chociaż szczęśliwie noc była nieco mniej mglista niż zazwyczaj, zapadająca ciemność znacznie utrudniała orientację. Widziałam kiedyś elektryczne latarnie oświetlające promenadę nad Tamizą – budzący podziw cud techniki, który niemalże zamieniał noc w dzień. Tutaj chybotliwe płomyczki latarni gazowych zakłócały jedynie czerń nocy, zamiast ją rozjaśniać. Przez większość drogi Alexander Finch jawił mi się jak cała reszta przechodniów: cień pośród innych cieni. Widziałam go nieco dokładniej tylko w chwilach, gdy przemykał pod latarnią.

Pragnąc uniknąć ryzyka, że i on mnie zauważy i rozpozna, poruszałam się środkiem ulicy; doświadczenie, którego mam nadzieję nigdy więcej nie przeżyć. Nawet za dnia byłoby to bardzo niebezpieczne, w mroku ryzykowałam podwójnie. Woźnice mieli wprawdzie przy koźle latarnie naftowe, jednak zawsze istniała możliwość, że nie dostrzegą w porę spowitej w czerń postaci. Gdyby nie mój refleks, każący mi uskakiwać w bok, zginęłabym pewnie pod kopytami. Wykonywanie nagłych ruchów nie jest prostą sprawą, kiedy ma się pod nogami zamarzające błoto przemieszane z końskim gnojem. Kilka razy byłam bliska upadku, zdarzyło się nawet, że istotnie straciłam grunt pod nogami i musiałam przeturlać się po bruku, by nie stratowały mnie podkute konie. A kiedy się podniosłam, cała oblepiona mokrą breją, w ostatniej chwili uskoczyłam przed ogromnym i ciężkim clydesdałem, ciągnącym wóz z drewnem.

Wozów i zaprzęgów było na ulicy coraz więcej, ponieważ Alexander Finch wywiódł mnie do dzielnicy hurtowni, przylegającej, jak mi się udało chyba

zorientować, do wielkiego targowiska Covent Garden. Dokąd, u licha...?

Nie zdążyłam dokończyć myśli, kiedy stanął przed obskurną sienią, nad której wejściem widniał złożony z kulfoniastych liter napis:

ŁÓŻKA SZEŚĆ PENSÓW/NOC

ODDZIAŁ DLA KOBIET OSIEM PENSÓW

HERBATA, CHLEB, WODA DO MYCIA DODATKOWO PŁATNE

Innymi słowy, jedna z tych najędzniejszych noclegowni dla bezdomnych, oferująca zapluskwione i zawszone prycze, ustawione w rzędach, instytucja podobna do tej, w której żalosna, bezwłosa „pełzaczka” została ograbiona z resztek nędznego dobytku. Miejsce, z którego w ramach „rekompensaty” wyniosła prawdopodobnie grzybicę.

Domyślałam się – choć z niedowierzaniem – kogo młody Finch spodziewał się zastać wewnątrz.

Jednak zamiast zapukać do drzwi, obszedł narożnik obskurnej budowli i zniknął mi z oczu.

Stałam po przeciwnej stronie ulicy, przygryzając wargę, niczym czarny, upstrzony łajnem posąg i przyznam się, że nie bardzo wiedziałam, co mam robić. Gdybym weszła za nim w wąski przesmyk między budynkami, z pewnością by mnie zauważył. Jednak gdybym za nim nie poszła...

Musiałam to zrobić.

Mrucząc pod nosem coś niecenzuralnego, przeszłam przez ulicę. Zbliżając się do przytułku, zobaczyłam nagle jakiegoś nieznanego mężczyznę, wyłaniającego się z miejsca, w którym zniknął Alexander Finch. Był to człowiek o długich czarnych włosach i z rozłożystą czarną brodą. Spod zarostu widać było tylko wąski pas bladej twarzy oraz oczy. Mimo że nawet nie spojrzał w moją stronę, poczułam ich niezwykłą moc. I nawet w środku nocy uderzyło mnie to, że ich tęczówki są nienaturalnie jasne, niemal srebrzyste. Aż otwarłam z wrażenia osłonięte welonem usta i jedynie nadludzkim wysiłkiem woli udało mi się nie krzyknąć.

Był to nie kto inny, tylko Alexander Finch. W przebraniu. Ale nie

rozpoznałabym go, gdyby nie płócienny kaszkiet, flanelowa koszula, kurtka ze sztruksu i także spodnie.

Zaaferowany własnymi planami, nie zauważył mnie wśród pozostałych przechodniów. Korzystając z chwili, w której się odwrócił, by zapukać do drzwi noclegowni, dałam susa do opuszczonej przez niego kryjówki.

Finch dobijał się niecierpliwie do drzwi. W końcu się otworzyły. Usłyszałam, jak mówi słodko-kwaśnym tonem:

– Czy moja pani ma ochotę się przewietrzyć?

Nie odpowiedziała mu, tylko wychynęła z ciemnej sieni jak przerażone zwierzątko. Sama nie umieściłabym w takim strasznym miejscu nawet psa.

– Daj mi latarnię.

Miała ze sobą latarnię? Na to wygląda. Zobaczyłam jakieś poruszenie, a potem Alexander Finch potarł zapałkę o draszkę.

I widząc po raz pierwszy lady Cecily, ponownie omal nie wydałam mimowolnego okrzyku. Nigdy nie wpadłabym na to, że to ona, gdyby nie fakt, że Finch mnie tu do niej doprowadził. Chyba nawet i rodzona matka nie rozpoznałaby w niej córki: zmizerniała i pobladła twarz, skołtunione włosy wystające spod zawiązanej na głowie szmaty, drżące ramiona okryte cienkim szalem, wytarta i wystrzępiona spódnica, stopy owiązane gałganami. Jedynie to, że tyle razy szkicowałam ołówkiem jej delikatne rysy, pozwoliło mi uwierzyć w to, co widzę.

Lady Cecily, żebraczka dźwigająca ogromny koszyk.

Finch zapalił latarnię i oddał ją z powrotem dziewczynie. Coś mu powiedziała, ale tak nieśmiałym głosem, że nie dosłyszałam ani słowa.

– Najpierw praca – odpowiedział jej głośno. – Jedzenie potem.

Ponownie coś wyszeptała, patrząc na niego wielkimi, błagalnymi oczyma.

Tym razem jednak, zamiast jej odpowiedzieć, wydał z rozdrażnieniem wargi, po czym wbił w nią wzrok i strzepnął palcami w stronę jej twarzy, jakby chciał skierować ku niej jakiś fluid płynący z jego dłoni. Twarz mu znieruchomiła, jego fascynująco jasne oczy zaśniły we wściekłym skupieniu. Wykonał dłońmi kilka ruchów wokół jej głowy, a potem przesunął

je nad ramionami. Nie uwierzyłabym, gdybym tego nie widziała: nie tknąwszy jej nawet palcem, całkowicie ją sobie podporządkował. W jej oczach zgasły ostatnie iskierki nadziei i pragnienia, jakby pozbawił ją mizernych resztek sił witalnych. Stała na ulicy jak dziwaczna porcelanowa lalka, zagłodzona i obdarta pod zakurzonym szklanym kloszem.

– Najpierw praca – powtórzył jej pan i władca. – Jedzenie potem.

Nie zaszczyił jej ponownym spojrzeniem. Łajdak z burzą czarnych włosów i czarną brodą ruszył w stronę stacji Paddington, a ona pokuśtykała za nim, dźwigając i kosz, i latarnię, jakby wiódł ją na niewidzialnym postronku. Mimo że Finch był raczej przeciętnego wzrostu, drepcąca ze spuszczoną głową lady Cecily nie sięgała mu nawet do ramienia.

Ruszyłam w sporej odległości za nimi; tym razem jednak pozwoliłam sobie na luksus skorzystania z trotuaru. W głowie szumiało mi od przerażenia, ciekawości i domysłów, bo wciąż jeszcze nie umiałam pojąć znaczenia tego, czego byłam właśnie świadkiem. I chociaż aż mnie wszystko mrowiło, żeby ulec impulsowi podjęcia jakichś działań, pospieszenia biedaczce z pomocą, interweniowania... – to co mogłam w sumie zrobić? I konkretnie z czym walczyć?

Sens całej tej sytuacji wciąż mi się wymykał. Mogłam jedynie obserwować.

Na rogu ulicy, naprzeciwko pubu, zgromadziła się pod latarnią grupka mężczyzn. Zobaczyłam, jak Alexander Finch, za którym dreptała posłuszna jak dziecko lady Cecily, zatrzymuje się, żeby się z nimi przywitać. Kiedy uściśnięła już wszystkim dłonie, wyciągnęli skądś skrzynkę. Alexander, czy też raczej czarnobrody uzurpator, w którym z trudem rozpoznawałam Alexandra, wskoczył na zaimprovizowane podium i zaczął mówić. Ponieważ kryłam się w cieniu i stałam dość daleko, nie słyszałam wszystkich jego słów, jednak docierały do mnie pojedyncze frazy: „wyzysk kapitalistyczny”, „imperium zbudowane na plecach uciśnionych robotników”, „prawa ludu pracującego” i tym podobne. Nie miałam wątpliwości, że obserwuję właśnie „zewnątrzną siłę”, o której pisały gazety, siejącą ferment pośród klasy pracującej, a zwłaszcza wśród woźniców i robotników portowych, jak podsłuchałam z rozmów pracowników Składu

Galanteryjnego Finchów. Nie zdziwił mnie fakt, że personel wiedział o nocnej aktywności młodszego z właścicieli; służący i im podobni zawsze są o wszystkim poinformowani, chociaż nie zdradzają się z tym przed nikim spoza własnego grona.

Wchodząc na mównicę, Alexander rzucił lady Cecyli jakieś polecenia. Stała w niewielkiej odległości od niego, pod zamocowaną na ścianie narożnego budynku latarnią gazową, i mechanicznie sięgając do koszyka, rozdawała osobom, które przystawały, by posłuchać mówcy, coś niedużego i białego.

A niech mnie. Joddy twierdził, że widział ją z „papierami”.

Broszurki. Nawołujące do organizowania się w związki czy do innych wywrotowych akcji.

Wokół perorującego Alexandra Fincha zebrał się już spory tłumek mężczyzn. Kobiet było jak na lekarstwo. Może nikt by nie zwrócił uwagi na przechodzącą tamtędy kolejną osobę, która dziwnym trafem okaże się zakonnicą?

Rozważywszy za i przeciw, uznałam, że warto podjąć ryzyko.

Nie okazując ani pospiechu, ani wahania, podeszłam do lady Cecyli.

– Opium dla mas! – grzmiał brodaty Alexander Finch ze swojej... tak, z pewnością była to skrzynka po mydle. – Co znalazło odzwierciedlenie w ukochanej przez arystokratyczne dzieci nabożnej pieśni: „Wszystkie stworzenia, duże i małe, Pan Bóg powołał na swoją chwałę. Bogacza z zamku, nędzarza z bramy, stworzył tak władców, jak i poddanych”. Dobrotliwy Bóg miał rzekomo zarządzić, że trzy czwarte populacji będzie żyć i harować w wyniszczającej i ogłupiającej nędzy, nieliczni zaś wybrańcy wypełnią sobie czas, przebierając się pięć razy dziennie z pomocą zastępów służby.

Mówił z budzącą podziw pasją i klarownością. Bryłował. Zgadzałam się z wieloma głoszonymi przez niego tezami. Aż trudno było mi uwierzyć w podłe czyny, o które go podejrzewałam.

Cóż, widać można głosić prawdę, będąc jednocześnie kanalią.

No i stała tam lady Cecily.

Kiedy podeszłam do zgromadzonych, kilka osób odwróciło z zaciekawieniem twarz, jednak większość przystanęła na rogu po to, żeby słuchać mówcy. Ze zgrozą lub z podziwem. Miałam jedynie nadzieję, że sam Finch jest zbyt skupiony na wygłaszaniu swojej tyrady, by zauważyć słuchającą go Siostrę Miłosierdzia w czarnym habicie i welonie. A jeśli nawet ją dostrzeże, to nie będzie miał głowy do przypominania sobie szczegółów naszego poprzedniego spotkania. Które przebiegło w bardzo nieprzyjemnych dla mnie okolicznościach.

Dziewczyna z koszem stała bezwolna jak opadająca na nas zewsząd sadza, i równie cicha. Dopiero kiedy obok niej przeszłam, wyciągnęła w moją stronę, bez większego przekonania, broszurę.

Okazało się, że niema Siostra Uliczna musi tego wieczoru przemówić. Teraz albo nigdy.

– Lady Cecily – wyszeptalam, przyjmując podany mi przedmiot.

Nawet na mnie nie spojrzała.

– Lady Cecily – powtórzyłam, nachylając się do jej ucha. Musiała to usłyszeć.

A jednak nie zareagowała. Ani ruchem powiek, ani szybszym oddechem, ani spojrzeniem. Nawet nie drgnęła.

– Dwa razy skrzyknęliśmy się na pokojową manifestację, do której mamy zagwarantowane prawo – ciągnął z żarem w głosie mówca z ustawionej na rogu ulic skrzynki. – Dwa razy przeszliśmy na Trafalgar Square pod jedwabnymi sztandarami naszych cechów, chcąc przypomnieć londyńskiemu West Endowi o naszych postulatach. Policja wyciągnęła przeciwko nam pałki. A kiedy się wycofaliśmy, zboczeni krwią i pokonani, oto co miał do powiedzenia jeden z członków Parlamentu: „To szczyt złego smaku, by głodomory obnosiły się ze swoją nędzą w bogatych, kupieckich dzielnicach miasta. Lepiej by było, gdyby pomarli z niedożywienia na swoich poddaszach”.

Tłum tymczasem gęstniał i zapełniał już jezdnię oraz chodnik po

przeciwnej stronie ulicy. Wszyscy trwali w ciszy. Słyszeć było jedynie głos czarnowłosego oratora. Gorejące gniewem srebrzyste spojrzenie Alexandra Fincha przyciągało słuchaczy jak magnes. Przystawali niemalże w transie, z niewidzącymi oczyma, zupełnie jakby ktoś ich...

I wreszcie dopuściłam tę myśl do świadomości.

...zahipnotyzował.

Jak lady Cecily.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mesmeryzm. Zjawisko służące zabawianiu gawiedzi w music hallach lub salonowa rozrywka.

Nie uwierzyłabym, gdybym tego nie zobaczyła na własne oczy.

A jednak widziałam, jak pozbawił woli lady Cecily. Trwało to chwilę, ale dostrzegłam, że wykonuje nad nią magnetyczne passy i przenika ją spojrzeniem – zupełnie jak mi to opisywała pani Bailey i parę innych osób. A teraz lady Cecily stała przy mnie na rogu ulicy: apatyczna, obdarta, poruszająca się jak automat. Zapomniała o własnym głodzie, by rozdawać anarchistyczne broszury.

Już na sam widok chciało mi się wrzeszczeć z bezsilności. Tak rozpaczliwie chciałam jej pomóc, wyzwolić ją, uratować, coś dla niej zrobić – tylko co?

Wezwać konstabla? Przypadkowy policjant nie miałby z pewnością pojęcia o zniknięciu lady Cecily, więc zabrakłoby podstaw, żeby ją stąd zabrać.

Pobiec i opowiedzieć o wszystkim, czego się dowiedziałam, lady Theodorze, a potem czekać, aż sama wezwie funkcjonariuszy? Ale to by zajęło kilka godzin, może nawet cały dzień. A gdyby w tym czasie lady Cecily spotkało nieszczęście?

– Niech szczują na nas swoją imperialistyczną policję! – krzyknął jej porywacz do stojących wokół niego ludzi. – Niech nam urządzą kolejną Krwawą Niedzielę! Następnym razem wzniesiemy sztandary zabarwione kolorem naszych zmasakrowanych głów! Następnym razem wyjdziemy pod czerwonym sztandarem rewolucji! – Po tych słowach mężczyźni zaczęli podrzucać wystrzępione czapki, pohukiwać i wiwatować na cześć swego nowego mesjasza.

Tymczasem ja wiedziałam, że pod tą czarną peruką i sztuczną brodą nie

kryje się wcale proletariacki bohater.

Był uzurpatorem. Synem bogatego kupca.

I rozkoszował się teraz kontrolą, jaką miał nad rozentuzjasmowaną tłuszcza.

Najwyraźniej lubił poczucie władzy.

Patrząc na zniewoloną dziewczynę, na lady Cecily, wiedziałam, że nie mogę ani na chwilę stracić jej z oczu, by znów gdzieś nie przepadła. Muszę ją wyrwać z jego rąk. Tutaj. Teraz.

Ale jak? Odhipnotyzować ją? Słyszałam, że można to zrobić, wykonując magnetyczne passy w odwrotnym kierunku; nie łudziłam się jednak, że podołałabym takiemu zadaniu. Chwycić ją i uprowadzić siłą? Ale wówczas inni ścigaliby mnie jako kidnaperkę, bo dziewczyna z pewnością zaczęłaby się ze mną szarpać i wołać o pomoc. Miałam pewność, że tak by się stało, ponieważ mimo wyglądu potulnego gołąbka – stała tam ze spuszczonego wzrokiem, rozdając ulotki – i jej biernego posłuszeństwa, dobrze wiedziałam o jej drugim, ukrytym obliczu. I nie było to oblicze układnej lady Cecily, która smarowała nieudolne pastele, ale leworęcznej lady, kreślącej śmiałe, mroczne...

Jedną chwilkę.

Lady Cecily – a raczej blada nędzarka, w której rozpoznałam lady Cecily – rozdawała druczki *prawą* ręką.

I nagle wszystko stało się jasne. Mój skołowany umysł przeszyło elektryzujące olśnienie: wszystkie domysły, hipotezy i nadzieje ułożyły się w całość. Poczułam, że z zaskoczenia oczy robią mi się okrągłe jak spodki. I pod bezpieczną osłoną swego czarnego welonu otworzyłam szeroko usta, a potem szepnęłam:

– A niech mnie dunder jasny świeśnie!

Oj.

Oj, gdyby tylko istniała jakaś możliwość nawiązania kontaktu z leworęczną lady... Mogłam śmiało zakładać, iż jedynie grzeczna i posłuszna lady Cecily dała się omotać kanalii.

Jeśli tajemnicza, zbuntowana leworęczna lady ukrywała się w zakamarkach duszy stojącej przede mną łagodnej istotki... musiałam się z nią jakoś porozumieć, i to w sposób, który pozwoliłby mi nawiązać z nią telegraficzną, niemal natychmiastową łączność.

Dając pierwszeństwo podszeptom intuicji przed logicznymi wnioskami, odkryłam, jak mogę tego dokonać.

Przypomniało mi się piorunujące wrażenie, jakie wywarły na mnie jej rysowane węglem szkice. Obudziły we mnie głębokie zrozumienie dla intencji ich autorki. Jakbym przeczuwała, że jesteśmy bratnimi duszami.

Więc może i w jej przypadku zadziałałoby się podobnie i rozpoznałaby we mnie pokrewieństwo ducha.

Sięgnęłam zatem do kieszeni po papier i ołówek, z którymi nigdy się nie rozstawałam, otworzyłam broszurkę, ukryłam w niej czysty arkusik i stając plecami do latarni, tak by widziała go jedynie mizerna i bezwolna dziewczyna w łachmanach, zabrałam się do szkicowania.

I ponownie to intuicja, a nie rozum, odpowiedziała mi, co mam rysować i jak najlepiej wyobrazić na papierze wolność. Tak jak doświadczała jej lady Cecily. Ręka śmigła po kartce szybko i pewnie, jak nigdy dotąd.

Narysowałam podobiznę lady Cecily, ubranej w stylowe nowomodne damskie pumpy, pedałujszej na rowerze – przemierzającej świat na własną rękę, tak jak sama uwielbiałam to robić. Lady Cecily, silna i piękna, uśmiechnięta, z rozwianymi przez wiatr włosami i furkoczącymi wstążkami przy kapeluszu.

Kiedy mój ołówek ślizgał się po papierze, kącikiem oka zauważyłam, że praworęczna nędzarka znieruchomiła nagle i zapomniała o powierzonym jej obowiązku rozprowadzania politycznych bzdur. Patrzyłam, jak sztywnieje, wpatrzona w rysunek.

Przełożyłam ołówek do lewej dłoni. Bardzo koślawo zaczęłam pisać lustrzanym pismem, od prawej do lewej: „Kto...”.

Okazało się, że przeholowałam. Dziewczyna upuściła koszyk i zanim zdążyłam zapisać pytanie do końca, wyrwała mi z rąk papier i ołówek. Już

nie była potulna jak baranek. Stała przede mną zmarznięta i rozplomieniona jednocześnie, sypiąc pytaniami:

– Jak śmiesz? Co ty wyprawiasz? *Kim jesteś?*

Na szczęście nikt wokół nie zwracał na nas najmniejszej uwagi, ponieważ wszyscy włączyli się w chóralne wyrażanie entuzjazmu dla głoszonych przez Alexandra Fincha haseł:

– Niech wyślą przeciwko nam wymachującą szabelkami kawalerię, niech urządzą nam powtórkę masakry Peterloo^[13], nie ugniemy się!

Ton lady Cecyli świadczył o tym, że sama chętnie użyłaby przeciwko mnie szabli.

– Kim ty jesteś?!

Jak spięta ostrogą... ojej, chyba zanadto się przejęłam wzmianką o kawalerii... Chcąc szybko zażegnać kryzys, nie wiedząc, jak ją uspokoić i co jej odpowiedzieć, zrobiłam coś, czego Siostra nigdy nie powinna robić.

I nigdy przedtem nie robiła.

Uniosłam welon.

Pokazałam swoją twarz.

Moją pociągłą, zwyczajną, „cycerońską” twarz.

Lady Cecyli wgapiła się we mnie. Wciągnęła w płuca powietrze i wypuściła je ze świstem, jakby zdmuchiwała świecę.

– Coś takiego – powiedziała cicho. – Jesteś zwyczajną dziewczyną.

Przyglądała mi się, najwyraźniej zafrapowana i zaintrygowana moją osobą.

– I potrafisz świetnie rysować – dodała.

Pomyślałam o wspaniałych szkicach wykonanych węglem, których nigdy nikomu nie pokazywałam. Najwyraźniej miałam przy tym minę, która wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Żadna z ciebie zakonnica – stwierdziła lekkim tonem, jakby przekomarzała się z koleżanką. – Czemu chodzisz w tym cudacznym

habicie?

Starając się mówić z możliwie najbardziej arystokratycznym akcentem, by dać jej do zrozumienia, że łączy nas, między innymi podobieństwami, także i przynależność klasowa, odpowiedziałam:

– Lady Cecily, równie dobrze mogłabym spytać...

Chciałam ją wydrwić, dociekając, dlaczego córka baroneta chodzi w łachmanach. Ale kiedy tylko wypowiedziałam jej imię, zamarła i wydała przenikliwy pisk, przechodzący w krzyk, jakby nie wiedziała, że ją rozpoznałam. I jakbym przedtem nie zwracała się do niej po imieniu. Jakby przed paroma chwilami była głucha i nagle odzyskała słuch.

Na szczęście jej reakcja została skutecznie zagłuszona przez wiwatujący tłum.

– Lady Cecily – podjęłam kolejną próbę – nie ma powodu, by wpadać w panikę. Chcę się tylko z panią zaprzyjaźnić. Zabrać w jakieś ciepłe i bezpieczne miejsce, poczęstować kolacją i zdjąć z pani te szmaty.

Spojrzała w dół na swoje ubranie, po czym znów podniosła na mnie przerażone oczy, a potem rozejrzała się wokół siebie ze zdumieniem i w popłochu, jakby nie miała pojęcia, gdzie się obecnie znajduje.

– Tutejsze towarzystwo jest nad wyraz nieprzyjemne – zauważyłam delikatnie. – Dokąd możemy się udać? – Ujęłam ją za lewą rękę – obnażoną, siną i spękaną z zimna – i odciągnęłam kilka kroków od Alexandra Fincha i gromady jego wyznawców.

– Ludzie pracy mają prawo zrzeszać się w związki i walczyć o uczciwe wynagrodzenie – grzmiał dalej uliczny mówca – i o godziwy czas pracy.

Lady Cecily stanęła nagle jak wryta.

– Nie – jęknęła płaczliwie. – Nie, nie mogę.

– Dlaczego? – Staralam się mówić cicho i łagodnie. Nie mogę znów jej zdenerwować, ryzykując, że ściągnie na siebie uwagę Fincha. I na mnie.

– On... Moja wierność... Służba sprawie... Nazwisko Camerona Shawa zapisze się złotymi zgłoskami na kartach dziejów Anglii; kiedyś docenią jego wielkość.

– Czyją?

– Camerona Shawa! – Z błyskiem w oku, świadczącym o żarliwym oddaniu, wskazała na czarnowłosego podżegacza stojącego na skrzynce po mydle. – Czy chcesz mi powiedzieć, że nigdy o nim nie słyszałaś?

Pojednawczo i prawdomównie odparłam:

– Jestem szalenie ciekawa jego postaci. Jak go pani poznała?

– To... był... bardzo szczególny... – Znów znieruchomiała w oszołomieniu, zmarszczyła brwi, zaszklily jej się oczy i zaczęła drżeć na chłódzie jak zagubione dziecko.

– Chodźmy – powiedziałam i ująwszy ją za rękę, oddaliśmy się od tłumu.

Za pierwszym rogiem skręciłam w bok, by zniknąć Alexandrowi Finchowi z pola widzenia. Przecież w każdej chwili mógł odwrócić głowę. Po chwili uspokoiłam oddech i zwolniłam nieco, żeby ułatwić lady Cecyli stąpanie po zimnych kocich łbach. Przecież miała stopy owinięte szmatami. Musiałam także ustalić, gdzie jesteśmy i w jakim kierunku powinnyśmy zmierzać. Jednak widok kolejnych wyludnionych ulic nie budził we mnie żadnych skojarzeń. Nigdzie nie było widać ani słyszać żywej duszy; najwyraźniej okolica pustoszała zimą po zmierzchu; jednak w mrocznych obszarach cienia między latarniami mógł się czaić każdy – od złodzieja kieszonkowego po Kubę Rozpruwacza.

W końcu zęby lady Cecyli zaczęły dzwonić jak paciorki mojego różańca. Chłód przenikał ją do szpiku kości, a jej przerażenie z każdą chwilą rosło. Zatrzymałyśmy się więc, by trochę odsapnąć. Wyszukałam w kieszeniach habitu kilka pożywnych słodkości, które zawsze ze sobą nosiłam. Poczęstowałam ją. Kiedy uporowała się z odwinięciem papierka, zdjęłam podszyte futerkiem rękawiczki i nasunęłam jej na dłonie. Okryłam nas obie połą peleryny i otoczyłam lady Cecyli ramieniem, jakby była moją młodszą siostrzyczką.

Kiedy znów ruszyłyśmy w drogę, namacałam dla pewności rękojeść ukrytego pod habitem sztyletu.

– Proszę mi opowiedzieć – ponowiłam łagodnym tonem prośbę – w jakich

okolicznościach poznała pani Camerona Shawa.

– Ja... wolałabym o tym nie mówić. Uznasz mnie za wariatkę.

– Przysięgam, że taka myśl nie przyjdzie mi nawet do głowy. Jak to się stało?

– We śnie – usłyszałam w odpowiedzi. – Zjawił się przy mnie, kiedy spałam, w moim umyśle, jak czarnowłosy anioł wzywający mnie, bym zaprzęgała się w służbie jego... krucjaty.

– A... – mruknęłam w nadziei, że zabrzmiało to pocieszająco i mobilizująco, musiałam jednak narzucić sobie samodyscyplinę, by odegnać z myśli budzący dreszcz obraz: złoczyńca w przebraniu stoi nad śpiącą, niewinną istotą, wpatrzony w nią swoimi upiornymi oczyma, przesuwając dłońmi, by wystawić ją na działanie swego zwierzęcego magnetyzmu, przejmując nad nią władzę, nim zdąży się do końca obudzić.

– Zostałam wybrana – powiedziała drżąca lady. – Powołana. Jak Joanna d’Arc.

– Tak, rozumiem.

– Rozumiesz, prawda? – Świetnie. Udało mi się wytłumić w głosie wściekłość. Lady Cecily z wyraźną ulgą mówiła dalej. – Później obudziłam się w środku nocy, ale nikogo już w moim pokoju nie było. Zew do działania jednak był tak silny, że wstałam z łóżka. Dokładnie wiedziałam, co mam robić. W sypialni znalazłam przygotowany dla mnie strój: spódnicę, bluzkę i szal, w sam raz dla pomywaczki. Włożyłam je na koszulę nocną. Okno było otwarte. Zeszłam. Zeszłam po... po...

Straszliwe wspomnienie sprawiło, że zamilkła i przystanąła. Znajdowałyśmy się na nieoświetlonym skrzyżowaniu ulic. Zupełnie straciłam orientację – nie miałam nawet pojęcia, gdzie jest wschód, a gdzie zachód, gdzie północ, a gdzie południe.

Wybrałam na oślep boczną uliczkę i ponownie ruszyłam w drogę, ciągnąc dziewczynę za sobą. Dopiero potem dokończyłam za nią:

– Po drabinie.

– Skąd wiedziałaś? – Nie czekając, aż odpowiem, ciągnęła swą opowieść. –

Tak, po drabinie. Była okropnie długa i tak strasznie się trzęsła. Umierałam ze strachu, ale musiałam się przemóc. Bo on – Cameron Shaw – stał na dole.

– Czy spotkała go pani przedtem?

– Nie, nigdy! Tylko w tamtym śnie. Dlatego to wszystko jest takie nieprawdopodobne.

A zatem nie rozpoznała w mężczyźnie w peruce i z doklejoną brodą Alexandra Fincha.

Alexander Finch. Syn właściciela sklepu. Przypomniałam sobie sytuację, w której widziałam go po raz pierwszy. Zobaczyłam wówczas nijakiego młodzieńca. Był ubrany „z pańska”, ale poza strojem dandysa nic go nie wyróżniało. Pamiętam, że stał jak pień, nie okazując żadnych emocji, kiedy beształ go stary Finch.

Ale teraz zaczynałam to wszystko rozumieć. Wściekłość ojca nie spływała po nim jak po kaczce. Wchłaniał ją w siebie. Nagromadził jej zapas na całe życie.

To uczyniło z niego osobę, której pod żadnym pozorem nie powinnam ufać.

Lady Cecily zeszywniała nagle pod peleryną. Niespodziewanie, jakby była marionetką, którą ktoś pociągnął za sznurki, zatrzymała się i powiedziała dziwnym tonem:

– Powinnam wracać.

– Wracać dokąd? Do domu?

– Ja nie mam domu.

– Oczywiście, że pani ma. To rezydencja baroneta.

– Gdzie papa nieustannie głądzi o chwale imperium i o postępie ludzkości, mając przy tym zamiar wydania mnie za mąż za kogokolwiek z tytułem, noszącego spodnie? Nie. Nie mogę tam wrócić.

Objęłam ją mocniej ramieniem, wzruszona jej szczerością. I całą naszą rozmową. Trzeba pamiętać, że przez niemal rok byłam pozbawiona możliwości wymiany zwierzeń z bliskimi sobie ludźmi, a ta dziewczyna – w sumie bardzo do mnie podobna... Nasza pogawędka obudziła we mnie

bardzo ciepłe uczucia.

– Są inne możliwości – powiedziałam.

– Na przykład życie, które sobie wybrałaś? Jak to zrobiłaś? Kim jesteś? Jeszcze mi się nawet nie przedstawiłaś.

Och, jak bardzo chciałam to uczynić. Marzyłam o tym, żeby jej o sobie opowiedzieć.

O moim samotnym, dziwacznym, ekscentrycznym świecie.

A może... Czy ona musi wracać do życia wypełnionego malowaniem nieudolnych pastelów i sięganiem po filiżankę prawą ręką?

A gdyby tak mogła zamieszkać – jak siostra – ze mną?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czułam, jak drżą mi wargi, kiedy otworzyłam usta. Zaczęłam szybciej oddychać. I usłyszałam swoje własne słowa:

– Enola. Nazywam się Enola Holmes.

Zdradziłabym jej znacznie więcej. Opowiedziałabym jej o sobie wszystko, gdyby nie to, że przerwał nam dobiegający z ciemności głos:

– Cecily! Chodź tu!

Głos pana i władcy.

I to niedaleko nas.

Zgubiwszy drogę i kręcąc się w kółko, nie osiągnęłam celu i nie oddaliłam się z uciekinierką na bezpieczną odległość. Łaskawy czytelnik uzna zapewne za wyraz przesady stwierdzenie, że wściekłość tego człowieka skojarzyła mi się z siłą nocnych sił natury, a jednak tak właśnie było. Jego furia wibrowała w ciężkim od sadzy powietrzu. Niemal namacalna.

Lady Cecily wzdrygnęła się jak spłoszona łania, skuliła się i zaczęła płakać.

– Muszę tam *wrócić* – wyszeptała przerażona.

– Nie! – Przytrzymałam ją mocno, rozglądając się w panice po okolicznych zabudowaniach w poszukiwaniu drogi ucieczki. W końcu dostrzegłam pobliską ulicę. Już kiedyś tam byłam. Wreszcie wiedziałam, gdzie jestem i którą trzeba uciec...

A jednak zdołała mi się wyrwać.

– Lady Cecily, nie!

Nawet nie odwróciła na pożegnanie głowy; wydawało się, że mnie w ogóle nie słyszy. Nie rzuciła się do ucieczki. Oddaliła się ode mnie chwiejnym krokiem, jak lunatyczka. A raczej ruszyła w kierunku swego dręczyciela. Dostrzegłam go, ciemniejszy kształt w mroku u wylotu ulicy. Przystanąłam

w cieniu i zeszywniałam ze strachu, a ona człapała ku niemu niezbornie, jakby straciła wzrok. W brudnych łachmanach, które kiedyś mogły być białe.

– Cecily! – Wypatrzył ją w blasku ulicznej latarni. W jego głosie nie znac było radości z tego spotkania.

Wyczułam że grozi jej straszliwe niebezpieczeństwo.

– Jak śmiesz porzucać swoje obowiązki? Chodź tu!

Zdaje się, że nie słyszał mojego głosu ani mnie nie zauważył. Dla pewności zaciągnęłam welon na twarz.

Ruszył, skradając się, w stronę lady Cecily, a ona szła mu na spotkanie. W połowie pełnej cieni, opuszczonej ulicy stanęła z nim twarzą w twarz i spuściła głowę, jak dziecko, które coś zbroiło. Powiedział jej parę słów tonem, w którym brzmiała zarówno drwina, jak i groźba.

Nie słyszałam, co konkretnie mówił, ponieważ skupiałam się na tym, żeby żaden odgłos czy szelest nie zdradził, że skradam się w ich stronę.

Zobaczyłam, jak pochyła głowę, by dmuchnąć w twarz lady Cecily. Zobaczyłam, jak dziewczyna się kuli.

Klucząc tak, by pozostać w najgłębszym cieniu, udało mi się podejść całkiem blisko. Pozostałam dla nich niezauważalna.

– Słuchaj. Żadnego z ciebie pożytku – beształ ją, kiedy podkradałam się coraz bliżej. Już sam jego gniew mógłby budzić w słuchaczu paniczny lęk, jednak było w tym coś więcej: rozkazywał jej mesmerysta, magnetyzer, trzymający ją w szachu swym hipnotyzującym jak u kobry wzrokiem. – Mówiłem, że masz mi być bezwzględnie posłuszna, inaczej poniesiesz karę. Za swoją niesubordynację zrezygnujesz dziś z wieczery. Słyszałaś, co mówię? Odezwij się!

A ona – jakby była jego echem albo duchem samej siebie – powtórzyła szeptem:

– „Za swoją niesubordynację...”

I w tym momencie ruszyłam do ataku. Z wrzaskiem godnym ulicznego łobuza wyciągnęłam ręce i chwyciłam mesmerystę za kłaki. Zawylałam dziko i szarpnąwszy z całych sił, zerwałam mu z głowy perukę. Drugą ręką

pozbawiłam go sztucznej brody.

Lady Cecily wydała skrzekliwy pisk. Gdyby była zasznutowana w gorset, z pewnością by zemdląca. Ale nie, zachnęła się głośno i krzyknęła:

– Alexander *Finch*.

A on sterczał tam z obnażoną twarzą, nieprzysłoniętą nawet ciemnymi szklami noszonych na co dzień okularów, i najwyraźniej nie miał pojęcia, co zrobić ani co powiedzieć.

– Alexander *Finch*! – darła się rozwścieczona lady Cecily. Stało się tak, jak przewidywałam: mogła znosić upokorzenia ze strony kogoś, kogo podziwiała, jednak nie potrafiła ścierpieć świadomości, że padła ofiarą oszusta. – Uzurpator! Krętacz! – W jednej chwili role się odwróciły. A ja przyglądałam się temu z boku, cisnąwszy na bruk odrażające elementy jego przebrania. – Jak śmiesz robić ze mnie idiotkę!

– Zamilcz! – Próbował odzyskać utraconą władzę.

– Mam zamilknąć? Ty załgany karaluchu... nie, ty nędzna *larwo*! – Rzeczywiście, przypominał ją nieco z tą swoją bladą głową i wodnistymi oczami. – Ty parszywy robaku, chciałbyś to wyciszyć, ale wiedz, że nie spocznię, póki wszystkie sądy i kolegia w Anglii nie dowiedzą się, jaki z ciebie niegodziwiec! – I rzucając mu ostre jak brzytwa spojrzenie, które mogło zabić, odwróciła się na pięcie, by odejść.

Jej rozmówca nie miał jednak za grosz wstydu. Próbował ją pochwycić.

– Nie odwracaj się ode mnie. Mówię do ciebie.

Wywinęła się i odeszła. Nie próbowała nawet biec. Przemarznięte stopy, owinięte szmatami, poruszały się z gracją godną arystokratki. Być może cierpiała kiedyś na rozdwojenie jaźni, ale to już przeszłość. W tej chwili nikt nie wziąłby jej za żebraczkę: odpływała w dal, jak okręt pod żaglami. Jak dama w każdym calu.

– Jak śmiesz mi się sprzeciwiać, dziewucho jedna?

Nie odpowiedziała i nie zatrzymała się.

– Ty zadufana w sobie szmato, ostrzegam cię! – I chociaż Alexander *Finch* nie podniósł wcale głosu, coś w jego brzmieniu zmroziło mnie bardziej niż

nocny chłód. Czułam, że włoski jeżą mi się na karku.

Rozdwojenie jaźni?

Nie, to nie lady Cecily poszła w ślady doktora Jekylla i pana Hyde'a.

Nie przystanęła, a wręcz przyspieszyła nieco kroku.

– Jeszcze żadna smarkula nie pokazała mi pleców! – ryknął Finch, wyszarpując coś z kieszeni.

Coś długiego.

Długą białą pętlę.

Przedmiot, który wydawał się wić w ciemności jak biały wąż.

Co innego żywić podejrzewania, czy nawet znać w głębi serca prawdę, a co innego zobaczyć jej potwierdzenie na własne oczy. Widok ten pozbawił mnie na chwilę rozumu, mogłam więc tylko wrzasnąć:

– Nie! – I rzucić się za nim, by go powstrzymać.

Nic z tego nie wyszło.

Niewiele myśląc, uderzył mnie pięścią w twarz, aż poleciałam na bok. I w tej samej chwili przestał się mną interesować. Być może pamiętał moją paniczną rejteradę po naszym poprzednim nocnym spotkaniu i spodziewał się podobnej reakcji. Albo żywił przekonanie, że osoba płci żeńskiej potrafi jedynie piszczeć, mdleć lub uciekać. A może w swoim morderczym szale nie zaprzętał sobie tym głowy.

Po zadanych mi ciosie wylądowałam na bruku, gdzie leżałam przez pewną chwilę, usiłując złapać oddech. Sparaliżowana strachem. Niezdolna do żadnego ruchu.

Ale wzrok mi nie szwankował.

Widziałam, jak ten oszalały łajdak rzuca się jak drapieżna bestia w pogoń za lady Cecily. Dobiegłszy do niej, przerzucił jej linkę garoty przez głowę i zaciągnął.

Ofiara wykrzywiła twarz w grymasie bólu. Jej oczy stanęły w ślup. Dłonie uniosły się gwałtownie ku szyi, usiłując wyszarpnąć niewidoczną i złowieszczą istotę, która ją dusiła, mając przeciąć nić jej życia...

Zareagowała tak jak ja tamtej koszmarnej nocy.

I w tej samej chwili, leżąc ogłuszona, łapiąc oddech i przywołując wspomnienia, poznałam w pełni sens wyrażenia o nabiegających krwią oczach. Czarna noc przybrała barwę czerwieni, wściekłość przeszła mnie jak prąd galwanisty i skoczyłam na równe nogi. Błyskawicznym ruchem wyciągnęłam z ukrycia sztylet. Mogło się zdawać, że sam wskoczył do mojej dłoni. Uniosłam broń i popędziłam za mordercą zbrojnym w garotę.

Okrutnik. Nie miał żadnego powodu, by uczynić z niej niewolnicę, poza jednym: bawiła go władza. Z tego samego powodu zaatakował wtedy i mnie. Czuł przyjemność w tym, że mnie dusi, doprowadzając niemal na krawędź śmierci, zanim – choć mogło być i tak, że odstąpił od zamiaru zabójstwa, ponieważ mu przeszkadzono – nie odmówił sobie przyjemności przyjrzenia się mojej twarzy.

– Nędzna gnido! – krzyknęłam. – Ty szczurze rynsztokowy, ty odrażający, gadzinowaty... – Niech szlag trafi dobre wychowanie. Nie potrafiłam znaleźć wystarczająco obelżywego słowa na określenie drania, którego ugodziłam właśnie nożem.

Celowałam w napięty mięsień ramienia. Nie w serce. Nie byłabym w stanie pozbawić kogoś życia, nawet takiego potwora.

Z chrapliwym okrzykiem wypuścił z rąk swoją złowieszczą zabawkę do zabijania, a lady Cecily padła na bruk.

Zdaje mi się, że Alexander odwrócił się, by na mnie spojrzeć, i zasłonił się dłońmi przed dalszymi ciosami noża. Doprawdy, niewiele pamiętam. Wiem tylko, że dźgnęłam go ponownie, może w ramię albo w bark, a potem machałam sztyletem gdzie popadnie, zaślepiona krwistoczerwoną mgłą furii; nie wiem, ile razy go trafiłam, jak poważne rany mu zadałam, jakimi inwektywami go częstowałam, nie pamiętam też, czy usiłował wyrwać mi broń. Dopiero po pewnej chwili zorientowałam się, że moje ciosy padają w próżnię.

Zamrugałam, słysząc jego oddalające się kroki. Zamglone oczy odzyskały ostrość widzenia i zobaczyłam, że ucieka, usiłując tamować dłońmi krew.

Na kocich łbach widać było czerwone plamy.

Nieco dalej leżała lady Cecily, odziana w łachmany, blada jak śmierć i zastygła w bezruchu.

Niebiosa, litości, przecież sama uszłam poprzednio z życiem tylko dlatego, że ocalił mnie wysoki, usztywniany fiszbinami kołnierz. Ona go nie miała.

Leżała z rozrzuconymi kończynami, bez życia.

– Błagam, tylko nie to – szepnęłam i zaczęłam drzeć na całym ciele, bo złość gdzieś wyparowała i zastąpiło ją uczucie przerażenia. Trzęsącymi się rękoma bezwiednie wsunęłam zakrwawiony sztylet w ukrytą w gorsecie pochwę. – Błagam – zanosłam modły w noc, kiedy uklęknąwszy przy lady Cecily, spostrzegłam, jak głęboko wżarła się linka w jej delikatną szyję. Niech lichy porwie moje ręce, trzęsły się tak, że z trudem uchwyciłam to plugastwo w palce. Straciłam kilka drogocennych chwil na jego poluzowanie.

Gorączkowo sprawdzałam, czy oddycha i czy da się wyczuć na przegubie jej tętno. Wydawało mi się, że coś się tam ostatkiem sił trzepoce, ale byłam tak roztrzęsiona, że nie mogłam mieć pewności.

Pomoc. Muszę ściągnąć dla lady pomoc.

I dziwnym trafem, w który wmieszało się być może przeznaczenie, olśniło mnie: przecież wiem, gdzie znajdę ratunek.

Całkiem blisko.

Mimo ciężącego mi bezwładnego ciała lady Cecily, udało mi się stanąć na nogi. Ruszyłam, zataczając się lekko, w stronę skromnego domu, mieszczącego gabinet i mieszkanie. O tej porze drzwi i okiennice były już pozamykane, podjęłam jednak trud wdrapania się na białe kamienne schodki, oparłam się o ścianę i oswobodziwszy jedną rękę, uniosłam resztką sił obręcz kołatki.

I nie przestałam desperacko dobijać się do drzwi, póki mi ich nie otworzono. Podtrzymując nieprzytomną lady, weszłam chwiejnie, omal nie upadłszy, do frontowej sieni.

Zaskoczona pokojówkę, która wpuściła mnie do środka, zaszczyciłam

jedynie przelotnym spojrzeniem, ponieważ całą swoją uwagę skupiałam na równie zdumionym dżentelmenie, który wyszedł właśnie z biblioteki, trzymając w dłoni kieliszek z wieczornym trunkiem. Na doktorze Watsonie.

Próbowałam mu coś wyjaśnić, ale słowa uwięzły mi w gardle, ponieważ za plecami poczciwego doktora dostrzegłam zaproszonego na kolację gościa i przyjaciela – mojego brata – Sherlocka Holmesa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Szczęśliwie nie mogłam zareagować większą paniką niż ta, którą już okazywałam. Mówię tu o ruchach ciała, bo twarz zakrywał mi gęsty czarny welon.

I równie szczęśliwym trafem uwaga Sherlocka Holmesa i doktora Watsona skupiła się na zwiotczalym, a możliwe że i martwym, ciele przywleczonej przeze mnie dziewczyny.

– Wielkie nieba! – Watson skoczył ku mnie, pochwycił lady Cecyli w ramiona i uniósł jak niemowlę. A potem rzucił się do ciepłej i rześście oświetlonej biblioteki.

Mój brat podążył za nim. Spytał:

– Czy oddycha?

– Ledwo.

A więc żyła. Słyszając to, poczułam nagły zawrót głowy i dziwną lekkość; wydawało mi się wręcz, że zaraz uniosę się w powietrze, tak wielki ciężar spadł mi z serca.

Doktor Watson złożył zemdloną lady na skórzanej otomanie i z zawodową wprawą przytknął dwa palce do jej przegubu.

– Ma bardzo słaby puls. Holmesie, przynieś brandy.

Mój brat ruszył w stronę stolika z karafkami, tracąc mnie z oczu. Stojąca za moimi plecami pokojówka trzymała się kurczowo słupka poręczy schodów, jakby zaraz miała zemdleć. Mogłam bez zbytniego ryzyka odwrócić się na pięcie, wyjść za drzwi i rozpląnąć się w ciemnościach.

Powinnam tak zrobić. Nie znajdowałam powodu, dla którego miałabym zostać. Lady Cecyli była w dobrych rękach.

Wszystko natomiast przemawiało za tym, że należy wyjść. Doktor Watson

lub jego przyjaciel mogli w każdej chwili skierować swą uwagę na mnie; brat z pewnością by mnie rozpoznał. Zresztą lady Cecily po odzyskaniu przytomności mogłaby zwrócić się do mnie po imieniu, które w swojej głupocie jej wyjawiałam.

Każdy rozdygotany nerw kazał mi uciekać.

Ale nie, przeszłam do biblioteki jak wielka czarna ćma, którą zwabił płomień świecy, i dołączyłam do pozostałych osób.

Wśród których był mój brat.

I dziewczyna, z którą chciałam się zaprzyjaźnić.

I troskliwy niczym ojciec doktor Watson.

Kłęczał właśnie przy pacjentce, wyciągając z rany na jej szyi linkę.

– Jakim draniem bez serca musi być ktoś, kto dusi żebraczkę garotą. – I zawołał w stronę sieni: – Rose, każ posłać po policję!

Rose, jak się domyślałam, to służąca, która nie czuła się na siłach, aby mu odpowiedzieć.

Holmes, stojący już nad Watsonem z kieliszkiem brandy, stwierdził:

– To nie żebraczka. Przyjrzyj się jej zębom. Widać, że całe życie o nie dbała.

Watson przytknął kieliszek do ust dziewczyny. Nie od razu odpowiedział koledze.

– Popatrz na jej cerę i na rysy twarzy. Nasz gość to osóbką z wyższych sfer.

– Skoro tak, to dlaczego ma na sobie takie...

Mój brat przerwał mu w pół zdania swoim władczy tonem:

– W tym musi się kryć jakaś tajemnica. – Odwrócił twarz o jastrzębich rysach w stronę drzwi. Stałam w progu, może dziesięć stóp od niego. Kiedy spojrzenie jego stalowoszarych oczu padło na moją wybrudzoną pelerynę, uniósł ze zdziwienia brwi: – Czy to jest *krew*?

Zdaje się, że w świetle gazowych lamp trudno jednoznacznie stwierdzić, co zostawia na czarnym zabłoconym materiale mokre plamy.

– Krew? – Watson, podniósłszy głowę, by zobaczyć, o czym mówi Holmes,

także baczniej mi się przyjrzał, po czym wstał z kolan. – Czyżby była pani ranna?

Byłam poszkodowana. Posiniaczona twarz wciąż piekła mnie boleśnie po kontakcie z pięścią Alexandra Fincha. Potrząsnęłam jednak przecząco zakwefioną głową.

Ponownie mogłam i powinnam była uciec, ale jakieś zgubne pragnienie wmurowało mnie w podłogę.

Doktor Watson spytał:

– Dlaczego nic pani nie mówi?

– Słyszałem, że Siostra Uliczna jest niemową – wyjaśnił Holmes, nie patrząc na rozmówcę. Nie odrywał ode mnie spojrzenia swoich szarych oczu, jakby chciał przeniknąć wzrokiem gęsty woal.

– A może jest ranna i w szoku – zauważył doktor Watson. – To mi *naprawdę* wygląda na krew. I to w sporych ilościach.

– Brak nam danych do formułowania jakichkolwiek wniosków – stwierdził Holmes, ruszając ku mnie, by zbadać sprawę.

Wyciągnęłam spod habitu sztylet.

Mój brat stanął w miejscu. Dzielilo nas teraz może sześć stóp. Wszystko wokół zamarło i znieruchomiało na widok groźnego, ostrego jak brzytwa stalowego ostrza. Zdawało mi się nawet, że umilkło tykanie zegara. Pamiętam, że zapadła głucha cisza.

Srebrzysty czubek klingi spowijał całun czerwieni.

Po krótkiej chwili Watson przerwał ciszę, mówiąc nieco zduszonym głosem:

– Zdaje się, że to nie jest jej krew, Holmesie.

– A zatem chętnie się dowiem, czyja – mruknął słynny detektyw. I wyciągając ku mnie ręce w pojednawczym, acz stanowczym geście, przemówił tonem wyrzutu, z nutką przymilności: – Moja droga siostró...

Jego droga siostra.

Te słowa... jakże dziwnie na mnie podziały.

– Proszę porzucić ten protekcyjnalny ton! – Z trudem rozpoznałam brzmienie własnego, osobliwego głosu o arystokratycznym akcencie, głosu, który z założenia miał się nigdy nie wydobyć spod czarnego welonu. – Nie potrzebuję żadnej pomocy. Tymczasem lady Cecily... – Machnęłam sztyletem w stronę nieprzytomnej dziewczyny na otomanie – ...córka sir Eustace’a Alistaira wymaga opieki, której sama nie zdołam jej zapewnić. – Wątpię, by było to możliwe, ale ktoś powinien przede wszystkim zatroszczyć się o jej wyobcowaną psyche, o jej skrywaną leworęczną jaźń. Ale ponieważ policja była już zapewne w drodze, nie miałam czasu na udzielanie wyjaśnień. Dodałam szybko: – Złoczyńca, który ją dusił...

Lodowatym, acz drżącym głosem, znamionującym, jak się domyślam, niedowierzanie, brat wpadł mi w słowo:

– *Enola?* – Jego stężała i pobladła twarz upodobniła się do marmurowej rzeźby.

– Proszę nic nie mówić, tylko słuchać. – Szkoda czasu na melodramatyczne sceny, musiałam dokończyć to, co chciałam powiedzieć. – Niech panowie słuchają. Złoczyńca z garotą to Alexander Finch, młodzieniec, który wkradłszy się w łaski lady, poddał ją hipnozie i uprowadził. Podaje się za Camerona Shawa, ulicznego agitatora o robotniczym rodowodzie. Część jego przebrania znajdziecie na ulicy, a jego samego w gabinecie jakiegoś chirurga lub w szpitalu, z ranami kłutymi zadanymi tym oto ostrzem.

Miałam nadzieję, że Watson przyjął większość tych rewelacji do wiadomości, ponieważ mój brat ewidentnie mnie nie słuchał. Zareagował identycznie jak poprzednio:

– *Enola?*

Ach, jak bardzo pragnęłam móc go zapewnić, że moja akcja ze sztyletem była jedynie grą. Tak chciałam móc go uspokoić.

Widać było, że nie pojmuje moich słów. Pochylił się ku mnie, a na jego alabastrowej twarzy malowało się tłumione wzruszenie:

– *Enolu*, bądźże rozsądna. Nie możesz się dalej zachowywać w tak

niemądry sposób, żyjąc samotnie, bez nadzoru, bez ładu i składu.

Obawiałam się, że doktor Watson, jak poznałam po otwartych ustach, za chwilę wyskoczy z innym spostrzeżeniem, ale na szczęście jego uwagę ponownie przykuła pacjentka, która niespodziewanie drgnęła, jęcząc cicho.

Wróci do zdrowia. Ze ściśniętym sercem pożegnałam się z nadzieją na przyjaźń; musiałam zadowolić się pewnością, że już nic jej nie zagraża.

I nadzieją, że w końcu stanie się wolna.

Tak jak ja.

– Sherlocku – odezwałam się do brata cichym i poważnym głosem. – Doskonale sobie radzę sama, dziękuję.

– Chcesz mi powiedzieć, że wszystko jest z tobą w porządku?

– W miarę. Chociaż – dodałam – trochę się niepokoję o naszą mamę, ponieważ nie odpowiedziała mi na moją ostatnią wiadomość.

– Zdradź mi miejsce jej pobytu, to ją odszukam!

Ha! Więc jednak nie o wszystkim wiedział.

Odrzekłam mu:

– Z pewnością by sobie tego nie życzyła, nawet gdyby znalazła się w potrzebie.

– A ty, Enolu? Upierasz się, by iść w ślady tej samowolnej istoty? Stanie ci się krzywda!

– Mój drogi Sherlocku...– powiedziałam to niemalże z czułością, chociaż wciąż dzierżyłam sztylet w gotowości, by trzymać brata na dystans. – Najboleśniejszą krzywłą, jaka mogłaby mnie spotkać, jest utrata wolności i wtłoczenie w konwencjonalne ramy prowadzenia domu i małżeństwa.

– Chyba nie mówisz tego poważnie. Każda porządna kobieta czuje powołanie do wyznaczonej jej przez społeczeństwo roli. – Zrobił krok w moją stronę.

Powstrzymałam go, grożąc nożem.

– Nie zbliżaj się, ostrzegam. – Prawda jest taka, że nie potrafiłabym go w żaden sposób skrzywdzić, jednak znał mnie na tyle słabo, że

znieruchomiał.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, moja droga siostrzyczko. – I dodał błagalnie: – Pokaż mi swoją twarz.

Prosił o bardzo niewiele, jednak musiałam mu odmówić, ponieważ doktor Watson mógłby rozpoznać we mnie pannę Ivy Meshle.

– Nie. – W tej samej chwili pojęłam, że brat uciekł się do podstępu, żeby wymóc na mnie odłożenie broni. Do uniesienia welonu potrzeba bowiem dwojga rąk. – Nie, mój arcymądry braciszku. Odmawiam. – Mówiłam to z łagodnością w głosie, w nadziei, że zrozumie, jak bardzo jest mi drogi. – Teraz się oddalę. Proszę, byś przekazał naszemu bratu Mycroftowi najserdeczniejsze pozdrowienia...

Za moimi plecami rozległy się ciężkie kroki. Momentalnie opuściłam broń, by ukryć ją pod peleryną, odwróciłam się i oddaliłam się pospiesznie z biblioteki. W tej samej chwili w drzwiach wejściowych pojawił się przyprowadzony przez pokojówkę konstabl.

– Zatrzymać ją! – zawołał mój brat, ale służąca, przejęta sytuacją, od razu zaciągnęła policjanta do pomieszczenia, w którym złożono lady Cecily. Zanim Sherlock zdążył krzyknąć po raz wtóry, hycnęłam za próg i pobiegłam ulicą.

– Zatrzymać ją! – Głos brata przeszył nocną ciszę niczym sygnał trębacza. Za plecami słyszałam odgłos ciężkich kroków konstabla i lekkich susów brata.

Jak zwierzę uciekające przed nagonką, przeskoczyłam przez żeliwne ogrodzenie i wylądowałam na placyku przy suterrenach służby. Wybiegłam przez furtkę na końcu podwórza i popędziłam przez labirynt szop z narzędziami, warsztatików i zagród dla zwierząt, znajdujących się na tyłach kamienic. Schowałam się na chwilę w czyjejś wozowni, próbując złapać oddech i pozbierać myśli. Usłyszałam brata rozmawiającego z konstablem, a potem szcęk otwieranej przez tego ostatniego wiszącej na rogu ulicy skrzynki z aparatem telefonicznym.

No pięknie. Za chwilę będę ścigana przez całą londyńską policję.

– Przynieście mi latarnię – odezwał się władczy głos mojego brata. – Nie mogła daleko uciec.

Wybiegłam z wozowni drugą bramą i rzuciłam się na oślep do ucieczki. W głowie kołatały mi dręczące i rozpaczliwe myśli. Sherlock Holmes przetrząśnie każdą stajnię, obórkę i zagródkę. A na ulice wyszły już pewnie policyjne patrole. Nie miałam gdzie się schować.

Czarna peleryna, kaptur, welon i habit stały się od tej chwili moim znakiem rozpoznawczym. Musiałam się ich pozbyć.

Ale co zrobię potem? Pobiegnę do domu w czerwonym flanelowym *dessous*?

Skoro mam zmienić wygląd i zmylić pościg, muszę natychmiast poszukać schronienia.

Ale dokąd mogłabym się udać, skoro sprzysięgli się przeciwko mnie wszyscy mężczyźni?

I wszystkie zdane na łaskę mężczyzn kobiety?

Czy zawsze już tak będzie? Wiem, że sama odrzuciłam rolę narzuconą dziewczętom przez skostniałą tradycję, ale czy nieprzerwanie będę uciekać, kryć się, robić uniki, udawać kogoś innego? Enola, *alone*, skazana na samotność?

Wolałam nie odpowiadać sobie na to pytanie i zamiast tego zmusiłam się do intensywnego szukania wyjścia z bieżącej matni. I nagle znalazłam się na brukowanej jezdni. Przebiegłam na drugą stronę ulicy. Zdaje się, że już tu kiedyś byłam...

Baker Street.

Oczywiście.

Stopy wykazały się większą inteligencją niż mózg i poniosły mnie w jedyne z miejsc, w których mój brat z całą pewnością nie będzie mnie szukał.

W przyływie pobudzonej przez nową nadzieję energii pogalopowałam w stronę numeru 221, a potem przebiegłam na tyły budynku. Na małym podwórku stało tam, zapamiętane z mojej poprzedniej wizyty, samotne

drzewo, przedstawiciel życzliwego wspinaczce sękatego gatunku, zwanego „londyńskim platanem”. Bez trudu dotarłam po pniu do konarów, a potem, gimnastykując się przy tym nieco, przeszłam na dach kuchennego ganku.

I to w samą porę. Kiedy przysiadłam tam, ciężko dysząc, usłyszałam nawoływania dwóch policjantów, idących po przeciwnych stronach Baker Street.

– Sierżant gadał, że to dziewczucha w przebraniu zakonnicy.

– Podobno uzbrojona w nóż i niespełna rozumu. Mówią, że groźna, choć trudno w to uwierzyć.

– Jak nic histeryja – wymądrzał się któryś. – Często przypadłość słabej płci.

Ciekawe, czy i Sherlock tak o mnie myślał. Niespełna rozumu. Histeryczka.

Tak, to bardzo prawdopodobne.

Zdjąwszy uprzednio buty, żeby nie narobić hałasu, przemknęłam po dachu nad okno, które według wszystkich oznak należało do sypialni mego brata. Nacisnęłam delikatnie górną ramę, przesunęła się w dół bez oporu. Dobrze zgadłam, że nie była zablokowana. Bądź co bądź brata wychowała mama, zwolenniczka dobroczynnego dla zdrowia snu przy otwartych oknach.

Wślizgnęłam się do wnętrza i zasunęłam za sobą okno, układając w głowie plan, czego szukać w garderobie Sherlocka, by skompletować odpowiedni dla siebie strój. Wiedziałam, że brat dysponuje wieloma przebraniami. Bywało, że wcielał się w starsze panie. A mnie wystarczy spódnica, szal i jakieś nakrycie głowy.

Zamierzałam potem odpocząć do czasu, aż odgłos otwieranych drzwi frontowych zmusi mnie do ewakuowania się drogą, którą przyszłam.

Jedno było pewne: już nigdy więcej nie przebiorę się za Siostrę Miłosierdzia.

Ciekawe, czy nadal będę bezpieczna w roli Ivy Meshle. Możliwe, że nie. Holmes i Watson z pewnością zechcą porozmawiać o wydarzeniach tej nocy, a Watson mógłby się zdradzić z tym, że odwiedził „doktora Ragostina”.

Ciekawe, czy kiedykolwiek spotkam się jeszcze z lady Cecily.

Być może nie.

Jedyny sposób na zachowanie bezpieczeństwa i swobody to przyjąć rolę, którą powierzyła mi matka. Enola. Alone. Sama.

I kiedy dokładałam drewno do kominka na piętrze kamienicy przy Baker Street 221, powyższa myśl nappełniła mnie smutkiem. Znalazłam jednak odrobinę pociechy w tym, że chcąc nie chcąc, mój brat Sherlock udzielił mi prawdziwie rodzinnej gościny. Bądź co bądź to za jego sprawą znalazłam schronienie.

NADAL W OBJĘCIACH ZIMY, LUTY 1889

Świt. Jest świt. Wielki detektyw wchodzi po schodach do swoich pokoi. Stąpa ciężko, inaczej niż zazwyczaj, ponieważ wymęczył go i przygnębił wielogodzinny pościg za czarnym motylem. Przez kilka chwil motyl był niemal w zasięgu jego ręki, ale wyfrunął w nocny mrok i rozplynął się we mgle jak upiór... Zaraz, przecież jego siostra nie jest duchem, do diaska, to tylko chuda i tyczkowata pannica, która z całą pewnością nie ma skrzydeł. Nie mogła się wyrwać z kamiennego londyńskiego kręgu. Dokąd ją poniosło? Dlaczego brat nie może trafić na jej ślad?

Przybity swoim niepowodzeniem, przygarbiony, ze spuszczoną głową wchodzi do swoich prywatnych pokoi i zamyka za sobą drzwi.

Dziwne. W saloniku wita go przyjemne ciepło, jakby ktoś przez całą noc dokładał drewno do ognia. Ale to przecież niemożliwe.

A jednak. Spogląda na kominek i widzi wesoło pelgające płomyki. Nagle odzyskuje energię. Był tu jakiś intruz. Ale kto?

Podkręca w lampie gaz, żeby lepiej ocenić sytuację. Podejrzewa, nie, już *wie* – choć nie znalazł jeszcze namacalnych dowodów – i czuje w sercu ostre jak sztylet ukłucie rozżalenia. Zaciska pięści, żeby głośno nie kląć. W kominku widać zwęglone resztki czarnego materiału. To z pewnością były „habit zakonniczy”. Nie sprawdzając, jest pewien, że w kolekcji przebrań pojawiły się jakieś braki. Nader sprytna siostra znów uciekła, spędziwszy przedtem noc w zaciszu jego własnego mieszkania. Jedyne miejsce, w którym nie przyszłoby mu do głowy jej szukać.

– Co za *tupet* ma to dziewczuszyśko – syczy z zaciśniętymi zębami. – Co za bezczelna śmiałość, dezynwoltura, kompletny brak *hamulców*! A jednak, kiedy odkrywa kolejne poszlaki świadczące o tym, że siostra znów

wystrychnęła go na dudka, coś w nim pęka, znika napięcie mięśni, a kąciki wąskich warg wędrują w górę. Po chwili wybucha serdecznym i niemal radosnym śmiechem.

W dziale anonsów „Pall Mall Gazette” i w paru innych dziennikach i periodykach pojawia się ogłoszenie następującej treści:

Uwaga, moja Chryzantemo: szósta litera akceptacji, czwarta, druga i trzecia litera cierpliwości, pierwsza i czwarta litera pokory, pierwsza rozkwitającej przyjaźni, druga i trzecia podziwu, czwarta cierpliwości. A u ciebie? Twój Bluszczyk.

Nadawczyni uznała, że dalsze korzystanie z tej metody szyfrowania – czyli odwołanie się do maciejki, astra, dzwonka, barwinka i wrzосу – będzie całkowicie bezpieczne, ponieważ na biurku jej ukochanego adwersarza i rodzzonego brata znalazła kartkę, na której w desperacji zanotował:

??? Przykrość

Wdzięczność

Mysł

Prawdziwa miłość

YKWŚPRA a może M I Ł

Zadziwiająca, że tak znakomity detektyw nie dał rady złamać szyfru, który dziewczyna uznała za najprostszy w świecie. A przecież gdyby go zrozumiał, ruszyłby na poszukiwanie Cyganów, zamiast błąkać się po Londynie.

Autorka ogłoszenia zatem bez najmniejszych obaw publikuje wiadomość: JEST DOBRZE, ponieważ domyśla się – a przynajmniej taką ma nadzieję – dlaczego do tej pory jej matka się nie odezwała.

Biuro doktora Ragostina, Naukowca Perdytorysty, jest zamknięte aż do odwołania – czyli do czasu, kiedy „dr Ragostin” uzna, że dalsza działalność nie wiąże się z ryzykiem. Och, jak bardzo by chciała poświęcić odzyskany wolny czas na niesienie pomocy wynędzniałym biedakom marznącym na

ulicach East Endu, jednak wie, kto będzie tam na nią czekał, nawet za dnia. Dlatego też postanawia nie opuszczać swojego miejsca zamieszkania do czasu, gdy wygoi swoją posiniaczoną twarz i wymyśli, co ma robić dalej.

W prasie nie znajduje ani jednej wzmianki o lady Cecyli, ponieważ całą sprawę skutecznie wyciszono. Natomiast w kronice kryminalnej pojawiło się kilka słów o Alexandrze Finchu, którego aresztowano pod zarzutem usiłowania popełnienia morderstwa.

Dzienniki i czasopisma potrafiły także i zaskakiwać. Po paru dniach pojawia się notatka w dziale ogłoszeń drobnych „Timesa”, „Morning Post” i „Evening Standard” oraz w całej prasie codziennej:

Do E.H.: Błagamy o rozsądek. Całkowita amnestia, klniemy się na honor rodziny. Żadnych pytań. Skontaktuj się z nami. S.H. & M.H.

Adresatka nie zwleka z zamieszczeniem odpowiedzi w „Timesie” i w pozostałych gazetach. Następnego dnia pojawia się tekst:

Do S.H. & M.H.: Zjeżdżajcie. E.H.

Powołaniem każdej porządnej kobiety jest wypełnianie wyznaczonej jej przez społeczeństwo misji (mąż i dom plus lekcje śpiewu i fortepian w salonie), jednak ta konkretna kobieta postanowiła być nieporządna. Albo, precyzyjniej rzecz ujmując, wybrała karierę rodzinnej czarnej owcy.

Kilka dni później w dziale anonsów „Pall Mall Gazette” napotyka na kolejne frapujące ogłoszenie:

Zsad dope inęis eżma laizdeiw ezcąnpewilpez ceinć sonr eiw

Młodociana adresatka z łatwością odszyfrowuje tekst, czytając go wspak i ignorując podział na „wyrazy”. Potwierdza się jej przypuszczenie, dlatego matka nie zareagowała na jej wcześniejszy apel: nie chce i nie przyjdzie jej z pomocą. Nigdy. Ale i nie potrafiła bezpośrednio odmówić prośbie córki.

Dlatego milczenie było jedyną odpowiedzią, na jaką było stać tę ekscentryczną starszą panią.

Aż do teraz.

Odbiorczyni słyszy w drukowanych słowach głos, który często mówił jej coś podobnego w dzieciństwie:

Wierność nie czepliwe pnącze, wiedziałam, że się nie poddasz.

Innymi słowy: „Córko, wiedziałam, że doskonale poradysz sobie sama”.

Jest dobrze?

Jestem kłamczuchą. Nie jest dobrze. Całkiem nie jest.

Ale, postanawia dziewczyna o imieniu naznaczonym samotnością, będzie.

Przyjdzie taki dzień.

Sama się o to postara.

PRZYPISY

[1] *Jodhpurs* – typ bryczesów. (Wszystkie przypisy dodano w polskim wydaniu książki).

[2] Aluzja do *London Bridge Is Falling Down*, popularnej piosenki dla dzieci, opisującej próby odbudowywania pechowego mostu z różnych materiałów.

[3] Fajerka – odpowiednik dzisiejszego palnika.

[4] Passy – charakterystyczny ruch rąk magnetyzera lub hipnotyzera nad pacjentem.

[5] Catherine Greenaway – bardzo popularna pod koniec XIX w. brytyjska pisarka i artystka. Jej utrzymane w duchu prerafaelickim ilustracje stały się inspiracją dla projektantów zwiewnej odzieży.

[6] W XIX w. zbierane skrzętnie włosy służyły później do wypełniania fryzur ich właścicielki.

[7] *Ad infinitum* – łac. bez końca, w nieskończoność.

[8] *Et caetera* – łac. i tak dalej.

[9] W. Szekspir, *Dzieła dramatyczne, Makbet*, tłum. Józef Paszkowski, Warszawa 1875.

[10] Dziewiętnastowieczne „lodówki” były drewnianymi szafkami wybitymi od środka blachą i chłodzonymi wymienianym co jakiś czas blokiem lodu.

[11] *Dictum* – łac. dobitne słowa.

[12] Cockney – gwara miejska wschodniego Londynu.

[13] Masakra Peterloo – wydarzenia z 1819 roku w Manchesterze. Manifestacja na St. Peter's Field została krwawo stłumiona przez kawalerię.